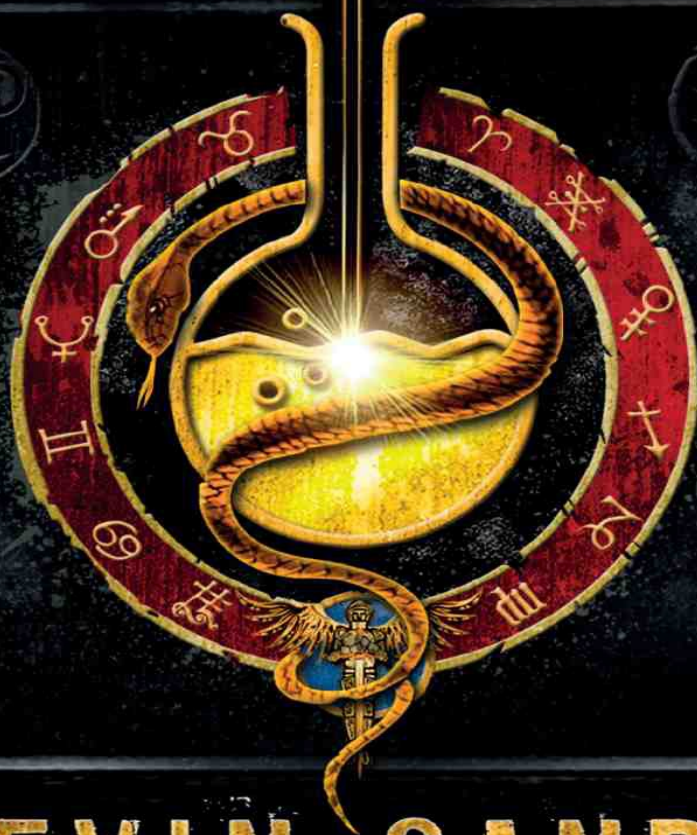




KLUCZ  
BLACKTHORNA



KEVIN SANDS

Kevin Sands

**KLUCZ BLACKTHORNA**

Tłumaczenie: Aleksandra Stan



Tytuł oryginału: *The Blackthorn Key*  
Text copyright © 2015 by Kevin Sands  
Cover illustration © Puffin Books  
Cover photographs (used in illustration) © Hermann Mock/cultura/Corbis  
Cover designer credit James Fraser  
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII  
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stan, MMXVII  
Wydanie I  
Warszawa MMXVII

# Spis treści

## Ostrzeżenie

## Czwartek, 28 maja 1665 roku. Wniebowstąpienie Pańskie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

## Piątek, 29 maja 1665 roku. Dzień Dębowego Jabłka

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

## Sobota, 30 maja 1665 roku. Dzień spalenia Joanny d'Arc, heretyczki

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

## Niedziela, 31 maja 1665 roku. Nawiedzenie Najświętszej Marii Panny

Rozdział 16

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Poniedziałek, 1 czerwca 1665 roku. Świętego Justyna  
Męczennika](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Czwartek, 2 czerwca 1665 roku. Świętego Erazma Obrońcy](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Od 3 czerwca do 21 czerwca 1665 roku. Koniec wiosny](#)

[Rozdział 37](#)

Kilka uwag historycznych

Podziękowania

## Ostrzeżenie

Receptury i remedia prezentowane w tej książce były używane przez prawdziwych aptekarzy, jednak jest powód, dla którego już się ich nie stosuje. Niektóre są wyrafinowane, inne niebezpieczne, a jeszcze inne po prostu śmiertelne. Więc jak to mówią: Nie próbujcie tego w domu. Serio.

## Czwartek, 28 maja 1665 roku Wniebowstąpienie Pańskie

Znalazłem.

Mistrz Benedict powiedział, że wcale nie był zaskoczony. Według niego w ciągu ostatnich trzech lat miałem kilka okazji, by w końcu to odkryć. Jednak dopiero dzień przed czternastymi urodzinami dotarło to do mnie tak wyraźnie, jakby sam Bóg szeptał mi do ucha.

Mój mistrz wierzy, że takie okazje powinny być upamiętnione. Zatem jak przykazał, spisałem swoją formułę. Mój mistrz zasugerował mi tytuł:

*Najgłupszy pomysł świata*

*Christopher Rowe*

*Uczeń mistrza Benedicta Blackthorna, aptekarza*

*Przygotowanie:*

*Przełóż prywatne notatki mistrza swego. Znajdź recepturę zapisaną sekretnym kodem swojego mistrza, rozszyfruj ją. Następnie ukradnij potrzebne składniki z zapasów mistrza. Na koniec – i to jest najważniejszy z kroków – pójź do najlepszego przyjaciela, chłopaka z porządnym charakterem i kiepskim osądem podobnym twojemu – i wymów te słowa: „Zbudujmy armatę”.*



## Rozdział 1

– Zbudujmy armatę – powiedziałem.

Tom mnie nie słuchał. Był bardzo skoncentrowany, język przygryzł zębami i przygotowywał się do walki z wypchanym czarnym niedźwiedziem strzegącym przedniego rogu sklepu mojego mistrza. Tom zdjął swoją lnianą koszulę i heroicznie przerzucił ją przez antymonowe czarki połyskujące na stoliku wystawowym, stojącym przy ogniu. Z najbliższej dębowej półki wziął pokrywę słoja – według etykiety zawierającego Kurzajkobój Blackthorna – i trzymał ją w pozycji obronnej niczym miniaturową ceramiczną tarczę. W jego prawej ręce wałek do ciasta zatrzęsł się złowieszczo.

Tom Bailey, syn piekarza Williama, był najlepszym niby-żołnierzem, jakiego widziałem. Mimo że starszy ode mnie tylko o dwa miesiące, był aż o stopę wyższy i zbudowany jak kowal, choć też trochę pulchny od podjadania ciast swego ojca. W bezpiecznym zakątku sklepu mojego mistrza, z dala od koszarów walki, takich jak: śmierć, ból czy choćby lekkie zbesztanie, odwaga Toma nie miała sobie równych.

Spojrzał z pogardą na nieożywionego niedźwiedzia. Klepki podłogi trzeszczały, gdy zbliżył się do straszliwie zakrzywionych pazurów bestii. Przesunął szafkę z kuriozami, aż zadźwięczały mosiężne odważniki, i wyciągnął w salucie swą umączoną maczugę. Wstrzymany zwierz milcząco ryknął i obnażył długie na cal zęby obiecujące śmierć, a przynajmniej kilka minut precyzyjnego polerowania żeber.

Siedziałem z tyłu na ladzie, machając nogami i stukając podszwami o rzeźbiony cedr. Mogłem pozwolić sobie na cierpliwość. Przy Tomie i jego rozumie, który pracował, jak mu się podobało, było to czasem konieczne.

– Myślisz, że możesz ot tak sobie kraść moje owce, panie Niedźwiedziu? – zapytał Tom. – Dzisiaj nie będę miał dla ciebie litości. – Nagle zatrzymał wałek wyciągnięty w powietrze w pół pchnięcia. Prawie mogłem zauważyć, jak pracują trybiki w jego mózgu. – Czekaaj, co takiego? – Spojrzał na mnie zdziwiony. –

Co mówiłeś?

– Zbudujemy armatę – powtórzyłem.

– Co to znaczy?

– Dokładnie to, co myślisz. Ty i ja. Zbudujemy armatę. No wiesz – rozłożyłem ręce – bum?

Tom zmarszczył brwi.

– Nie wolno nam.

– Dlaczego nie?

– Ludzie nie mogą tak po prostu budować armat, Christopherze – powiedział to tak, jakby tłumaczył małemu tępemu dziecku, dlaczego nie można jeść ognia.

– Ale z tego właśnie się biorą armaty – upierałem się. – Ludzie je budują. Myślałeś, że Bóg zsyła armaty z nieba na Wielki Post?

– Wiesz, co miałem na myśli.

Skrzyżowałem ręce.

– Nie rozumiem, dlaczego nie jesteś tym podekscytowany.

– Może dlatego, że nigdy nie ponosisz konsekwencji swoich intryg.

– Jakich intryg? Tu nie ma żadnych intryg.

– Spędziłem całą noc, wymiotując przez „eliksir siły”, który wynalazłeś – przypomniał.

Wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle.

– A tak. Przepraszam. – Wzdrygnąłem się. – Chyba dodałem za dużo czarnych ślimaków. Trzeba było dać trochę mniej ślimaków.

– Trzeba zdecydowanie mniej działań Toma.

– Nie bądź dzieckiem – powiedziałem. – Poza tym wymiotowanie jest dobre. Równoważy humory.

– Lubię moje humory takie, jakie są – odpowiedział Tom.

– Tym razem mam recepturę. – Chwyciłem pergamin, który oparłem o wagę na blacie, i pomachałem nim. – Prawdziwą. Od mistrza Benedicta.

– Recepturę na armatę?

– Nie na całą armatę. Na proch.

Tom zamarł. Spojrzał na słoje wokół siebie, jakby gdzieś pośród setek eliksirów, ziół i proszków rozstawionych w sklepie mógł

znaleźć remedium, które wyciągnie go z tej sytuacji.

– To nielegalne.

– Znajomość receptury nie jest nielegalna.

– Ale wykorzystanie jej – już jest.

Miał rację. Tylko mistrzowie aptekarze, i tylko ci z edyktem królewskim, mieli pozwolenie na mieszanie prochu strzelniczego. Zarówno do mistrzostwa, jak i do posiadania edyktu było mi daleko.

– Poza tym lord Ashcombe jest w mieście – przypomniał Tom.

To mną wstrząsnęło.

– Widziałeś go?

Tom pokiwał głową.

– Na Cheapside, po nabożeństwie. Miał przy sobie dwóch ludzi króla.

– Jak wyglądał?

– Srogo.

Właśnie „srogiego” go sobie wyobrażałem. Lord Richard Ashcombe, baron Chillingham, był lojalnym generałem króla Karola i Strażnikiem Jego Wysokości tu, w Londynie. Pracował nad rozbiciem szajki seryjnych morderców. W ciągu ostatnich czterech miesięcy pięciu mężczyzn zginęło we własnych domach. Każdego przed śmiercią związano i torturowano, rozplątano mu brzuch i się wykrwawiał.

Trzy ofiary to aptekarze, dlatego doszukiwałem się morderców w nocnych cieniach. Nikt nie wiedział, czego chcą zabójcy, ale wysłanie lorda Ashcombe’a oznaczało, że król zamierzał ich dopaść. Lord Ashcombe zdobył sławę, rozprawiając się z wrogami Korony – zazwyczaj przez zatknięcie ich głów na palach na miejskim skwerze.

Mimo wszystko nie musieliśmy być ostrożni.

– Lord Ashcombe się tu nie pojawi – powiedziałem do Toma i do siebie. – Nikogo nie zabiliśmy. A królewski strażnik raczej nie wpadnie tu po drodze po czopki, prawda?

– A twój mistrz? – zapytał Tom.

– On też nie potrzebuje czopków.

Tom się skrzywił.

– Ale wraca tu, prawda? Już prawie pora na obiad. – Wymówił

słowo „obiad” z pewną tęsknotą.

– Mistrz Benedict właśnie kupił nową edycję zielnika Culpepera – powiedziałem. – Jest teraz z Hugh w kawiarni. Nie wróci całe wieki.

Tom przycisnął swoją ceramiczną tarczę do piersi.

– To zły pomysł.

Zeskoczyłem z lady i uśmiechnąłem się.

Aby być aptekarzem, trzeba zrozumieć, że cała tajemnica tej profesji tkwi w recepturze.

To nie przepis na pieczenie ciasta. Elixiry, kremy, żele i proszki mistrza Benedicta, tworzone z moją pomocą, wymagały niezwyklej ostrożności. Łyżka za mało nitrytu, szczypta za dużo anyżu, a cudowne lekarstwo na opuchliznę teżało w bezwartościową zieloną breję.

Jednak nowe receptury nie spadają z nieba. Trzeba je odkryć.

To zajmuje tygodnie, miesiące albo nawet lata ciężkiej pracy. Do tego wymaga fortuny na składniki, sprzęt, węgiel do podtrzymania ognia i lód do chłodzenia kąpieli. Poza tym jest to niebezpieczne. Bucha ogień. Topią się metale. Elixiry o słodkim zapachu wyzerają od środka. Nalewki wyglądające tak niegroźnie jak woda wydzielają śmiertcionośne opary. Każdy nowy eksperyment to ryzykowanie życia. Dlatego też prawidłowa receptura jest cenniejsza niż złoto.

Jeśli umie się ją przeczytać.

↓M08→

1314112702

043029092427213116281931330624291430190930331104302909:

Tom podrapał się po twarzy.

– Myślałem, że będzie więcej słów i takich tam...

– To szyfr – powiedziałem.

Westchnął.

– Dlaczego to zawsze musi być szyfr?

– Bo inni aptekarze zrobią wszystko, by wykraść twoje sekrety. Kiedy będę miał swój sklep – ciągnąłem z dumą – wszystko będzie zaszyfrowane. Nikt nie zwędzi moich receptur.

– Nikt nie będzie chciał twoich receptur. No, może poza trucicielami.

– Przecież cię przeprosiłem.

– A może to jest zaszyfrowane – odezwał się Tom – ponieważ mistrz Benedict nie chce, żeby ktokolwiek to przeczytał. I mówiąc „ktokolwiek”, mam na myśli także ciebie.

– On mnie co tydzień uczy nowych szyfrów!

– Nauczył cię tego?

– Na pewno miał zamiar.

– Christopherze!

– Ale już go złamałem. Spójrz. – Wskazałem na notację ↓M08→. – To szyfr podstawieniowy. Każde dwie cyfry to jedna litera. To pokazuje ci, jak je zamienić. Zaczynij od 08 i podstaw M. Licz dalej. Więc 08 to M, 09 to N i tak dalej. Jak tu.

Pokazałem mu tabelkę, którą zrobiłem.

A	Ą	B	C	Ć	D	E	Ę	F	G	H	I	J	K	L	Ł
24	25	26	27	28	29	30	31	32	01	02	03	04	05	06	07

M	N	Ń	O	Ó	P	R	S	Ś	T	U	W	Y	Z	Ż	ź
08	09	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Tom zerkał to na szyfr, to na ciąg liczb u góry strony.

– Jeśli zamienisz liczby na odpowiednie litery...

– ...otrzymasz wiadomość. – Odwróciłem pergamin na stronę, na której spisałem swoje tłumaczenie.

*Proch*

*Jedna część węgla drzewnego. Jedna część siarki. Pięć części saletry. Zemleć osobno. Wymieszać.*

I dokładnie tak zrobiliśmy. Rozłożyliśmy się na większej

wystawce, z dala od kominka, ze względu na rozsądną uwagę Toma, że proch i płomień najlepiej się ze sobą nie łączą. Tom przełożył rzeczy ze stolika, zdjął z okna obok niedźwiedzia moździerz i tłuczki, a ja ściągnąłem z półek słoje ze składnikami.

Zmełłem węgiel drzewny. Chmury sadzy unosiły się w powietrzu, mieszając się z ziemistym zapachem suszonych korzeni i ziół zwisających z krokwi. Tom, przyglądając się niespokojnie frontowym drzwiom sklepu w oczekiwaniu na mistrza – zajął się saletrą, krusząc kryształki wyglądające jak zwykła sól kuchenna. Siarka była już drobnym żółtym proszkiem, więc gdy Tom łączył składniki, przyniosłem z warsztatu na zapleczu zasklepioną z jednej strony mosiężną rurę. Użyłem gwoźdźca, by zrobić dziurę przy jej zamkniętym końcu, i wsunąłem w nią zwój plecionego, popielatego sznurka.

Tom uniósł brwi.

– Mistrz Benedict ma lont artyleryjski?

– Używamy go do odpalania rzeczy z daleka – odpowiedziałem.

– Wiesz co – zaczął Tom – rzeczy, które trzeba podpalać z daleka, chyba lepiej nie podpalać w ogóle.

Mieszanka, którą otrzymaliśmy, wyglądała zupełnie niegroźnie, po prostu jak drobny czarny proszek. Tom wsypał miksturę do rury, a ja ją podtrzymałem. Wąska strużka osypała się, prósząc drobiny węgla drzewnego na podłogę. Ubiłem proch w lufie bawełnianą przybitką.

– Czego użyjemy jako kuli? – zapytał Tom.

Mistrz Benedict nie miał w zapasie niczego, co dobrze mieściłoby się w rurze. Najlepsze, co mogłem wymyślić, to garść ołowianego śrutu, którego używaliśmy jako strużyn w naszych remediach. Bryłki zadzwoniły o mosiądz i z głuchym odgłosem spadły na bawełnę na dnie.

Teraz potrzebowaliśmy celu, i to szybko. Przygotowanie wszystkiego zajęło więcej czasu, niż przewidziałem, i chociaż zapewniałem Toma, że mistrz szybko nie wróci, to jego powroty nie były łatwe do przewidzenia.

– Nie odpalamy tego na zewnątrz – zdecydował Tom.

Miał rację. Sąsiedzi nie spojrzeliby łaskawym okiem na przelatujący przez ich obejście ołowiany śrut. I choć wypchany bóbr na kominku był kuszącym celem, mistrz Benedict na pewno nie doceniłby naszej wojny ze zwierzyną dekorującą jego sklep.

– Co ty na to? – zapytałem. Z sufitu obok kominka zwisał mały, żelazny kocioł. – Możemy strzelać w dno.

Tom odsunął antymonowe czarki na drugiej wystawce, robiąc miejsce na kocioł. Podniosłem naszą armatę i przycisnąłem ją do brzucha, by się nie chwiała. Tom oderwał kawałek pergaminu z naszej odszyfrowanej receptury i trzymał go nad ogniem, aż się zajął. Następnie podpalił lont armaty. Iskry zasyczały i gnały do rury niczym płonący szerszeń. Tom dał nura za ladę i wyglądał sponad blatu.

– Patrz na to – powiedziałem.

Eksplozja mało nie urwała mi uszu. Zobaczyłem rozbłysk ognia, chmurę dymu, a rura odrzuciła mnie niczym rozsierzony byk i trafiła dokładnie między nogi.

## Rozdział 2

Upadłem na podłogę jak worek kartofli. Armata zadudniła o deski obok i dymiąc, potoczyła się dalej. Z daleka usłyszałem pytanie:

– Wszystko w porządku?

Zwinąłem się w kulkę, rękoma ochraniając krocze i starając się nie wymiotować.

Wszędzie unosił się dym, jakby opadło nas zszarzałe powietrze. Tom wyłonił się z niego, machając rękoma i kaszląc.

– Christopherze? Nic ci nie jest?

– Mmmnnnggggffff – odpowiedziałem.

Tom rozejrzał się za czymś, co mogłoby mi pomóc, ale niestety, nie było żadnego Kojącego Kataplazmu na Krocze Blackthorna. Nagle powtórzył zduszonym głosem:

– Christopherze?

Zmrużyłem oczy i przez dym dojrzałem problem. Nie tylko ja dostałem w delikatne miejsce. Kocioł, w który tak ostrożnie celowałem, nie miał nawet rysy. Natomiast niedźwiedź stojący w rogu sklepu miał porządny powód do wściekłości. Ołowiany śrut z naszej armaty rozszarpał mu futro między nogami. Zwierzę ryczało w niemym gniewie, podczas gdy jego słomiane wnętrzności sypały się na kupkę między łapami.

Tom przyłożył dłonie do policzków.

– Twój mistrz nas zabije – powiedział.

– Poczekaj – poprosiłem, a ból powoli zastępowała otchłań przerażenia rosnąca mi w brzuchu. – Poczekaj. Możemy to naprawić.

– Jak? Masz zapasowe krocze niedźwiedzia na zapleczu? – Tom ścisnął swoje policzki i jęknął.

– Po prostu... daj mi chwilę pomyśleć – odpowiedziałem i oczywiście w tym momencie mistrz Benedict wrócił do domu.

Nie zrobił kroku do środka, tylko zatrzymał się w progu. Był tak wysoki, że musiałby schylać się u wejścia. Mój mistrz stał zgarbiony, a ciemne loki peruki powiewały mu od wieczornej bryzy. Tulił chudymi ramionami duży, oprawiony w skórę tom, nowy zielnik



Culpepera. Spod ciemnego aksamitnego płaszcza widać było bordowy płócienny pas, szeroki na stopę, owinięty wokół bioder. Pas miał kieszonki, każdą niewiele większą od kciuka. W każdej znajdowała się zakorkowana lub zalana woskiem ampułka. Były też inne schowki z różnymi użytecznymi rzeczami, jak krzesiwo i hubka, pinceta i srebrna łyżka o długiej ręczce. Mój mistrz sam zaprojektował pas do przenoszenia składników i remediów – nie musiałem ich za nim nosić, kiedy szliśmy na wizytę domową.

Mistrz Benedict mierzył wzrokiem mosiężną armatę, która przetoczywszy się po sklepie, zatrzymała się u jego stóp, wciąż ciągnąc za sobą smużkę dymu. Jego oczy zwęziły się, gdy prześledził jej tor do nas, wciąż leżących na podłodze.

– Wejdzmy, Benedikcie – zabrzmiał głos z tyłu. – Na dworze jest zimno.

Krzepki mężczyzna przecisnął się obok mistrza i strząsnął kurz z obszytego futrem płaszcza. Był to mistrz Hugh Cogghall, który piętnaście lat temu zakończył nauki u mistrza Benedicta. Teraz, będąc też mistrzem, miał prywatny warsztat w sąsiedniej parafii.

Zmarszczył nos.

– Pachnie jak... – przerwał, gdy zauważył mnie i Toma.

Zakrył usta ręką, spoglądając bokiem na mojego mistrza.

Poruszając się najostrożniej, jak umiałem, podniosłem się z podłogi, aby przed nimi stanąć. Tom stanął obok mnie, sztywny jak posąg.

Głębokie, ciemne żyły pulsowały na czole mistrza Benedicta. Kiedy przemówił, jego głos był zimny jak lód.

– Christopherze?

Przełknąłem ślinę.

– T-tak, mistrzu?

– Czy przegapiłem wojnę, kiedy mnie nie tu było?

- Nie, mistrzu.

– Może kłótnię w takim razie? Dyskusję o polityce dworu? – Jego słowa ociekały sarkazmem. – Czy purytanie ponownie przejęli parlament i obalili naszego króla, który powrócił do kraju?

Moja twarz płonęła.

– Nie, mistrzu.

– Więc być może – syczał przez zaciśnięte zęby – zechciałbyś mi wyjaśnić, dlaczego, na Święte Imię Boże, ustrzelełeś mojego niedźwiedzia?

– Nie chciałem – odpowiedziałem. Tom obok mnie pokiwał energicznie głową. – To był wypadek.

Wydawało się, że to go jeszcze bardziej rozzłościło.

– Celowałeś do bobra i chybiłeś?

Nie ufałem swojemu głosowi. Wskazałem na kocioł, wciąż przechylony na bok na stole wystawowym w pobliżu ognia. Przez chwilę mistrz Benedict milczał. Potem powiedział:

– Strzelałeś bryłkami ołowiu... w żelazny kocioł... z odległości sześciu stóp?

Spojrzałem na Toma.

– Ja... my... tak?

Mój mistrz zamknął oczy i uniósł rękę do czoła. Potem nachylił się.

– Thomas – powiedział.

Tom zadrżał. Pomyślałem, że zaraz zemdleje.

– Tak, sir?

– Idź do domu.

– Tak jest, sir. – Tom przemknął bokiem, cały czas niezgrabnie się kłaniając.

Chwycił koszulkę z wystawki i uciekł na ulicę, zatraskując za sobą drzwi.

– Mistrzu... – zacząłem.

– Bądź cicho! – warknął.

Byłem.

Normalnie w tym momencie uczeń – w tym przypadku ja – dostałby porządne ojcowskie lanie. Ale w ciągu trzech wspólnych lat mistrz Benedict nigdy mnie nie uderzył. Było to tak niezwykle, że minął cały rok pod jego opieką, zanim zdałem sobie sprawę, że naprawdę nigdy nie będzie mnie bił. Tom, który czuł ciężką rękę ojca na co dzień, uważał, że to niesprawiedliwe. Ja czułem, że było to więcej niż uczciwe, zważywszy na to, że spędziłem moje pierwsze

jedenaście lat w sierocińcu Cripplegate, gdzie mistrzowie rozdzielali bicia jak cukierki na Dzień Dziecka.

Czasem miałem trochę obaw, że mistrz Benedict mnie uderzy. Zamiast tego jednak kierował na mnie to swoje spojrzenie, kiedy zrobiłem coś nie tak. Jego rozczarowanie godziło we mnie bardzo mocno, trafiając w samo serce i tam zostając.

Tak jak teraz.

– Pokładam w tobie zaufanie, Christopherze – mówił. – Każdego dnia. To nasz sklep. Nasz dom. Tak go traktujesz?

Pochyliłem głowę.

– Ja... ja nie chciałem.

– Armata. – Mistrz Benedict gotował się ze złości. – Mogłeś wypalić sobie oczy. Rura mogła wybuchnąć. A jeśli trafiłbyś w kocioł... Pan nasz musi kochać głupców, bo nie mam pojęcia, jakim cudem chybiłeś – zdrapywałbym cię kawałek po kawałku od teraz aż po Boże Narodzenie. Czy nie masz za grosz rozumu?

– Przepraszam – bąknąłem.

– I postrześliłeś mojego cholernego niedźwiedzia.

Hugh parsknął.

– Nie zachęcaj go – powiedział mistrz Benedict. – Sam mnie już przyprawileś o życie w zgryzocie. – Hugh uniósł ręce w uspokajającym geście. Mistrz Benedict ponownie zwrócił się do mnie: – Skąd w ogóle wzięłeś proch?

– Zrobiłem.

– Zrobiłeś? – zdawało mi się, że w końcu zauważył słoje na stole.

Zobaczył też pergamin z szyfrem, który z Tomem zostawiliśmy obok. Przyjrzał się mu. Nie mogłem odczytać wyrazu jego twarzy.

– Rozszyfrowałeś to? – zapytał.

Pokiwałem głową.

Hugh wziął pergamin z rąk mojego mistrza i dokładnie go zbadał. Spojrzał na mistrza Benedicta. Coś zdawało się przejść między nimi, ale oczywiście nie wiedziałem, co myślą. Poczułem nagły przypływ nadziei. Mój mistrz był zawsze zadowolony, kiedy zaskakiwałem go czymś nowym. Może doceni, że sam rozwiązałem zagadkę.

Albo i nie. Mistrz Benedict dźgnął kościstym palcem moje żebra.

– Skoro jesteś taki zdolny, chcę, żebyś przepisał swoją recepturę na tę dzisiejszą małą przygodę trzydzieści razy. I następne trzydzieści razy po łacinie. Ale najpierw posprzątasz ten pokój. Odłożysz wszystko tam, gdzie należy. A potem będziesz szorował podłogę. Sklep, warsztat, każdy cal w tym domu. Jeszcze dziś. Aż po sam dach.

Dach? Chciałem się rozplakać. Dziś nie byłem święty, ale uczniowie byli zawsze spracowani do wyczerpania. Mistrz Benedict może był miłszy niż inni mistrzowie, których znałem, ale moje obowiązki nie były inne. Dzień zaczynałem przed szóstą. Budziłem się pierwszy i szykowałem sklep, pomagałem klientom, asystowałem mistrzowi w warsztacie, ćwiczyłem na własną rękę, uczyłem się i tak dalej aż do późna po zachodzie słońca. Potem musiałem odstawić wszystko na swoje miejsce, przygotować ostatni posiłek dnia i posprzątać sklep na jutro, zanim w końcu mogłem pójść spać na słomianym sienniku, który służył mi za łóżko. Jedyne odpoczynek miałem w niedziele i nieczęste święta.

Mieliśmy właśnie sam środek dwudniowego wolnego, które zdarzało się raz na dekadę: dzisiaj było Wniebowstąpienie, a jutro był Dzień Dębowego Jabłka. Marzyłem o tej przerwie przez cały rok.

Zgodnie z dokumentami pobierania nauk mistrz Benedict nie mógł mnie zmusić do pracy w dzień wolny. Z drugiej strony zgodnie z tymi samymi dokumentami nie wolno mi było kraść jego własności, robić prochu ani strzelać do wypchanych niedźwiedzi. W zasadzie do jakichkolwiek niedźwiedzi. Więc z opuszczonymi ramionami powiedziałem tylko:

– Tak, mistrzu.

Odstawiłem garnki i składniki na półki. Mistrz wziął naszą armatę i ukrył ją gdzieś w warsztacie na tyłach. Spędziłem kilka minut na zbieraniu zabarwionych sadzą ołowianych kulek śrutu, które potoczyły się w każdy róg sklepu. Zastanawiałem się, co zrobić z biednym misiem.

Mistrz Benedict powiesił swój pas aptekarza z ampułkami składników i remediów za ladą i zniknął na zapleczu. Powiodłem

wzrokiem od pasa do niedźwiedzia w kącie. Pomyślałem, że można by zszyć kilka kieszeni razem i owinać to wokół bioder bestii.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu.

Hugh siedział zgarbiony na krześle przy kominku i przeglądał strony nowego zielnika mego mistrza. Nawet nie spojrzał poza tom, gdy to mówił.

– Nie chciałem użyć tego pasa – powiedziałem – ale nie mogę miśka tak zostawić. – Zastanowiłem się chwilę. – A gdyby dać mu jakieś spodnie?

Hugh pokręcił głową.

– Dziwny z ciebie chłopiec.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, otworzyły się frontowe drzwi. Poczulem zapach wody różanej zmieszanej z potem.

Przyszedł Nathaniel Stubb, aptekarz posiadający sklep dwie ulice dalej, regularnie co tydzień wczłapujący do nas, by popsuć atmosferę. Przychodził szpiegować swoją najbliższą konkurencję, o ile to właściwe słowo. My sprzedawaliśmy bowiem prawdziwe remedia, a on zarabiał, sprzedając Orientalne Wszystkoleczące Pastyłki Stubba, które wedle plakatów rozklejonych na każdym rogu miasta miały leczyć każdą dolegliwość, od ospy po dżumę. Z tego, co zaobserwowałem, jedynym efektem zażywania pastylek Stubba było odchudzenie sakiewki.

Niemniej jednak klienci kupowali je garściami. Stubb obnosił się ze swym bogactwem – ciężkie pierścienie ze szlachetnymi kamieniami obejmowały jego tłuste palce, w rękę trzymał laskę zakończoną srebrną głową węża, a brokatowy dublet opinał lśniąca, jedwabną koszulę. Jej dół był śmiesznie nastroszony przez otwarty rozporek – rzekomo zgodnie z nową modą. Wyglądał, jakby napchał swoje kalesony bezami.

Stubb machnął laską w stronę Hugh.

– Coggs shall.

Hugh skinął głową.

– Gdzie on jest? – zapytał.

Hugh zdążył odpowiedzieć przede mną:

– Mistrz Benedict jest zajęty.

Stubb pogładził swój dublet i obrzucił wzrokiem nasz sklep. Jak zwykle jego spojrzenie zatrzymało się na półce za ladą, gdzie trzymaliśmy najcenniejsze składniki, jak pył diamentowy i sproszkowane złoto. Wreszcie mnie zauważył.

– Jesteś uczniem?

Jako że było święto, nie miałem niebieskiego fartucha, który musiał nosić każdy uczeń. Zbiło go to z tropu, bo mieszkałem tu zaledwie trzy lata.

Skinąłem głową.

– Tak, mistrzu Stubb.

– Więc go przyprowadź – powiedział.

Polecenie to wprawiło mnie w zakłopotanie. Oficjalnie musiałem słuchać tylko poleceń mojego mistrza. Z drugiej jednak strony, nie okazując należytego szacunku innym mistrzom, można było narobić sobie problemów z Gildią Aptekarzy. Stubb nie był człowiekiem, z którym chciało się mieć na pieńku. Poza tym coś w zachowaniu Hugh mówiło mi, że lepiej, jeśli Stubb nie będzie rozmawiał z mistrzem Benedictem. Popełniłem więc drugi błąd tego wieczoru: zawahałem się.

Stubb mnie uderzył.

Walnął mnie w bok głowy końcem swojej laski. Poczułem ostry ból, gdy srebrne zęby węża wbiły się w górną część mojego ucha. Upadłem obok gablotki z osobliwościami, przyciskając rękę do ucha i krzycząc z zaskoczenia i bólu.

Stubb wytarł laskę o rękaw dubletu, jakby kontakt ze mną ją skaził.

– Przyprowadź go, powiedziałem.

Mina Hugh stężała.

– Mówiłem ci, że Benedict jest zajęty. A chłopak nie jest twój, więc trzymaj ręce przy sobie.

Stubb wyglądał na znudzonego.

– Nie jest też twój, Coggsall, więc trzymaj język za zębami.

Mistrz Benedict pojawił się w drzwiach za kontuarem, wycierając ręce w ścierkę. Rozejrzał się i zmarszczył brwi.

– Czego chcesz, Nathanielu?

– Słyszałeś? – zapytał Stubb. – Było kolejne morderstwo. –  
Uśmiechnął się. – Ale może już o tym wiesz.

## Rozdział 3

Hugh zamknął księgę, którą czytał, trzymając palce między stronami. Mistrz Benedict rozłożył ścierkę na ladzie i powoli wygładził jej brzegi.

– Kto to był? – zapytał.

Kolejny aptekarz, pomyślałem i serce zaczęło mi łomotać. Tym razem jednak był to ktoś inny.

– Wykładowca z Cambridge. – Stubb wbijał każde słowo w mistrza Benedicta niczym szpile. – Wynajął na lato dom w Riverdale. Nazywał się Pembroke.

Hugh spojrział na mojego mistrza.

– Znalazła go praczka – ciągnął Stubb. – Brzuch rozplątany jak u poprzednich. Znałeś go, czyż nie?

Stubb wyglądał jak kot, który osaczył mysz. Myślałem, że nawet zacznie mruczeć.

Mistrz Benedict patrzył na niego ze spokojem.

– Christopherze? Ja?

– Idź wyczyścić gołębnik – powiedział.

Oczywiście. Dlaczego miałbym zostać. Mimo że człowiek, którego mój mistrz znał, został zamordowany, to jako uczeń nie mogłem się sprzeciwić, więc po prostu wyszedłem, burcząc pod nosem.

Parter naszego domu miał dwa pokoje, oba zajęte przez mojego mistrza. Od frontu był sklep, z tyłu warsztat. To tu trzy lata temu dotarło do mnie, co to znaczy być uczniem.

Tego dnia nie wiedziałem, czego oczekiwać. W Cripplegate starsi chłopcy uwielbiali drażnić młodszych opowieściami o okrucieństwach mistrzów wobec uczniów. „To jak bycie więźniem w lochach Tower. Dają ci spać tylko dwie godziny na noc. Wszystko, co możesz zjeść, to pół kromki spleśniałego chleba. Biją cię, gdy tylko ośmielisz się spojrzeć im w oczy”.

Pierwsze spotkanie z mistrzem Benedictem wcale mnie nie uspokoiło. Kiedy wybrał mnie na tyłach Wielkiej Hali Gildii Aptekarzy z grupki chłopców, zastanawiałem się, czy nie przyciągnąłem najgorszego mistrza ze wszystkich. Jego twarz nie



była niezyczliwa, a do tego był absurdalnie wysoki. To, jak górował nad jedenastoletnim chłopcem, sprawiało, że miałem wrażenie, jakbym spotkał mówiącą brzozę.

Gdy podążałem za mistrzem Benedictem do mojego nowego domu, w głowie miałem opowieści chłopców z sierocińca. Brałem je do serca. Całe życie nie pragnąłem niczego bardziej niż opuścić sierociniec. Teraz, gdy to marzenie się spełniało, bałem się bardziej niż kiedykolwiek. Mój nowy dom.

Skwar południowego słońca był nieznośny, a sterty gnoju zatykające odpływy ścieków wydzielały najgorszy fetor, jaki Londyn czuł od lat. Niezbyt zwracałem na to uwagę, pogrążony w myślach. Mistrz Benedict, najwyraźniej zagubiony w swoim świecie, ledwo zwracał uwagę na cokolwiek. Co najmniej półtorej kwarty moczu wylanego z nocnika przez okno na drugim piętrze rozbryznięto się kilka cali od jego stóp, a on nawet się nie wzdrygnął. O mało nie przejechała go dorożka, choć okute żelazem koła stukały po bruku, a konie były tak blisko, że czułem ich zapach. Mistrz Benedict zatrzymał się na chwilę, po czym kontynuował marsz w kierunku sklepu, jakby spacerował przez Clerkenwell Green. Może naprawdę był drzewem? Nic nie zbijało go z tropu.

Nie mogłem powiedzieć tego o sobie. Skręcało mnie w środku, gdy mistrz Benedict otwierał frontowe drzwi sklepu. Nad wejściem wisiał podniszczony dębowy szyld kołyszący się na parze srebrnych łańcuchów.

BLACKTHORN

## ULGA NA WSZELAKIE ZŁOŚLIWE HUMORY

Wyryte w drewnie liście bluszczu, pokryte zieloną farbą, okalały jasnoczerwone litery. Poniżej był złoty róg jednorożca, symbol aptekarzy.

Mistrz Benedict wprowadził mnie do środka sklepu. Wyciągałem szyję, patrząc na wypchane zwierzęta i różne osobliwości zapełniające półki. Ale dopiero warsztat sprawił, że stanąłem jak wryty. Na każdym calu stołu, ściśnięte na półkach i schowane pod

rozklekotanymi stołkami, stały setki aptekarskich słoików, wypełnione liśćmi i proszkami, wodami i kremami. Dookoła nich były niezliczone narzędzia i przyrządy: formowane szkło, podgrzewane olejowymi palnikami; płyny bulgoczące nieznanymi zapachami, garnki i kotły, duże i małe, żelazne, miedziane i cynowe. Piec buchnął w kącie niemal parzącymi falami gorąca z rozdziawionej paszczy, szerokiej na dwanaście stóp i na cztery wysokiej. Tuziny eksperymentów gotowały się na trzech stojakach, w jednym końcu żarzyły się węgle, a w drugim tańczyły płomienie. Gładkie, czarne krągłości pieca, uformowane niczym spłaszczona cebula, łączyły się w kanał dymowy, z którego wychodziła rura pompująca spaliny przez tylną ścianę, by mieszały się z odorem śmieci, odpadków i gnoju, unoszącym się ponad londyńskimi ulicami.

Stałem z otwartymi ustami, aż mistrz Benedict włożył mi w ręce żeliwny garnek.

– Zagotuj wodę – powiedział.

Następnie usadził mnie na stołku na końcu środkowego stołu roboczego, w pobliżu tylnych drzwi, które prowadziły do małej grządki z ziołami w alejce za domem. Przedemną były trzy puste cynowe kubki i mały słoik wypełniony setkami maleńkich czarnych nasion o nerkowatym kształcie. Każde z nich było wielkości połowy biedronki.

– To dendera. Przyjrzyj się i powiedz, co odkryłeś.

Nerwowo wybrałem jedno z nasion i obracałem je w palcach. Pachniało jak zgniłe pomidory. Dotknąłem go koniuszkiem języka. Smak nie był lepszy niż zapach: gorzki i oleisty, z korzennym posmakiem. Zaschło mi w ustach.

Powiedziałem mistrzowi Benedictowi, czego doświadczyłem. Pokiwał głową.

– Dobrze. A teraz weź trzy nasiona, rozgnieć je i umieść w pierwszym kubku. W drugim umieść sześć, a dziesięć w ostatnim. Następnie zalej je wrzątkiem i zaparz.

Zrobiłem, jak mi kazał. Gdy napar naciągał, zapytał:

– Czy wiesz, czym jest astma?

– Tak, mistrzu – odpowiedziałem.

Kilkoro dzieci w sierocińcu ją miało. Pewnego lata, gdy powietrze było przesiąknięte dymem i smrodem, dwóch chłopców zmarło na nią jednego dnia, dusząc się, a mistrzowie stali bezradni, nie mogąc im pomóc.

– W małych dawkach – mówił mistrz Benedict – dendera skutecznie leczy astmę. – Podsunął mi pierwszy kubek. Trzy nasiona wirowały na dnie w ciemniejącej wodzie. Cuchnęło. – To odpowiednia dawka dla człowieka o przeciętnej posturze.

Przysunął mi kolejny kubek.

– Ta dawka dendery spowoduje okropne halucynacje, istne żywe koszmary. Gdy to przeminie, ciało pacjenta będzie dręczone bólem przez kolejne dni.

Podał mi ostatni kubek.

– To cię zabije. Wypij to, a w pięć minut będziesz martwy.

Gapiałem się na kubek. Właśnie przygotowałem truciznę. Zszokowany, podniosłem wzrok na mistrza Benedicta i zauważyłem, że uważnie mi się przygląda.

– Powiedz mi – mówił – czego się właśnie nauczyłeś?

Otrząsnąłem się z zaskoczenia i starałem się coś wymyślić. Oczywistą odpowiedzią były właściwości dendery i mikstury, które mogłem zrobić z nasion. Ale ze sposobu, w jaki mistrz Benedict na mnie patrzył, wnioskowałem, że czekał na coś więcej.

– To ja jestem odpowiedzialny – odpowiedziałem. Brwi mistrza Benedicta strzeliły w górę.

– Tak – potwierdził, wyglądając na zadowolonego. Wskazał na otaczające nas zioła, oleje i minerały. – Te składniki to dary Boga dla nas. To nasze narzędzia. Musisz zapamiętać, że to tylko narzędzia. Mogą uleczyć albo zabić. Narzędzie nigdy nie decyduje samo. To robią ręce – i serce – tego, kto ich używa. Spośród wszystkich zasad, których cię nauczę, Christopherze, nie ma ważniejszej. Rozumiesz?

Skinąłem głową z podziwem – i ze strachem – z powodu zaufania, jakim mnie obdarzył.

– Teraz chodźmy na spacer, na którym dostaniesz ostatnią lekcję

na dziś – powiedział.

Mistrz Benedict wepchnął mi w dłonie ciężką, skórzaną sakwę i przewiązał swój pas aptekarski wokół bioder. Przyglądałem mu się zafascynowany, gdy prowadził mnie ulicami, a pasek od sakwy wbijał mi się w ramię.

Zabrał mnie do rezydencji na północnym krańcu miasta. Dla chłopca z Cripplegate to równie dobrze mógł być pałac królewski. Służący w liberii wpuścił nas do ogromnego holu i kazał czekać. Staralem się nie gapić na otaczający nas przepych: satynowy adamaszek na ścianach, złote wykończenia, wielki żyrandol, szlifowane szkło błyszczące w słońcu z kryształowych okien, strop, na którym malowane konie galopowały między drzewami pod bezchmurnym, błękitnym niebem.

Służąca o okrągłej twarzy poprowadziła nas krętymi marmurowymi schodami do bawialni. Czekala tam na nas kobieta w średnim wieku, w żółtym wydekoltowanym gorsecie na jasnopomarańczowej sukni z lśniącego materiału wyszywanego kwiatami. Suknia otwierała się u dołu, ukazując szmaragdową halkę. Kobieta leżała na purpurowym aksamitnym szezlongu, jedząc ze srebrnej misy czereśnie.

Jej wysokie czoło marszczyło się, gdy wypluwała pestki.

– Panie Blackthorn, jest pan okrutny. Oczekiwałam pana w boleściach. Mistrz Benedict skłonił się lekko. Wtem sprawił, że podskoczyłem, gdyż do niej krzyknął, jakby była niedosłyszająca.

– Przepraszam za opóźnienie, lady Lucy. Proszę pozwolić przedstawić sobie Christophera.

Odsunął się. Lady Lucy patrzyła na mnie krytycznym wzrokiem.

– Młodyś jak na aptekarza, czyż nie? – powiedziała.

– Uch, nie, moja pani. To znaczy tak, moja pani – jąkałem się. – Jestem uczniem.

Spochmurniała.

– Niesiesz włócznię? Cóż masz na myśli, chłopcze?

Spojrzałem w stronę mistrza Benedicta, ale nie odczytałem na jego twarzy żadnej podpowiedzi. Spróbowałem jeszcze raz, tym razem unosząc głos jak on wcześniej.

– Jestem uczniem!

– Czemu od razu nie mówiłeś? Zaczynajcie więc. Moje plecy przechodzą iście diabelskie tortury. – Służąca zaczęła rozsznurowywać gorset lady Lucy. Zaskoczony odwróciłem wzrok.

– Nie bądź śmieszny – powiedziała lady Lucy.

Odwróciła się do mnie plecami, przyciskając jedwab do piersi, podczas gdy służka otworzyła tył gorsetu. Skóra wzdłuż kręgosłupa była czerwona i otarta. Musiała ją niemożliwie swędzieć.

Spojrzałem na mistrza Benedicta ponownie, nie wiedząc, co mam robić. Wskazał na sakwę, którą niosłem. Znalazłem tam ceramiczny słoik z szerokim otworem, zatkany korkiem. Otworzyłem go i aż mnie odrzuciło. Wewnątrz był grudkowaty, ciemnobrązowy krem wyglądający niczym zawartość pieluchy niemowlaka. Pachniał też podobnie.

– Nałóż na wysypkę – powiedział cicho mistrz Benedict. – Warstwa musi ją pokryć, ale nie może być gruba.

Wzdrygnąłem się, wkładając palce w maź i modląc się, by nie była tym, czym się zdawała. Następnie rozsmarowałem trochę tej mazi na plecach lady Lucy. Ku mojemu zaskoczeniu nie tylko nie narzekała na zapach, ale wyraźnie ulżyło jej, gdy ta breja spływała po jej skórze.

– Dużo lepiej – westchnęła. – Dziękuję, panie Blackthorn.

– Powrócimy jutro, madame! – krzyknął mój mistrz, a służąca wyprowadziła nas z pokoju.

Włożyłem słoik z powrotem do sakwy. Przy okazji zauważyłem wewnątrz niej wełnianą szmatkę na dnie. Wyciągnąłem ją i starałem się zetrzeć z palców tyle smrodliwej mazi, ile mogłem.

– Więc? – Mistrz Benedict uniósł brwi. – Czego cię to nauczyło? Odpowiedziałem bez zastanowienia.

– Zawsze zabierać bawełnę do zatkania nosa.

Nagle uświadomiłem sobie, jak to zabrzmiało. Skuliłem się, oczekując, że mistrz Benedict zbije mnie za bezczelność, tak jak zrobiliby to mistrzowie w Cripplegate.

Zamiast tego zaskoczony mrugnął. Potem, odchylając głowę, zaśmiał się ciepłym, przyjaznym śmiechem. Pamiętam, że po raz

pierwszy pomyślałem, że będzie dobrze.

– W rzeczy samej – powiedział Mistrz Benedict. – Cóż, jeśli uważasz, że to było złe, poczekaj, czego nauczę cię jutro. – Zachichotał. – Chodźmy więc, Christopherze, do domu.

Nauczył mnie więcej następnego dnia, jak obiecał, i każdego kolejnego. Wyobrażałem sobie dotąd życie aptekarza tylko w sklepie, moim odkryciem stał się warsztat na zapleczu. Tu mistrz Benedict pokazał mi, jak mieszać pastę z korzenia prawoślazu z miodem, by złagodzić ból gardła; jak rozetrzeć brzożową korę i zrobić z niej napar uśmierzający ból; jak łączyć sześćdziesiąt cztery składniki przez cztery miesiące, by stworzyć driakiew, antidotum na jad węży. Nauczył mnie także własnych sekretnych receptur i szyfrów do ich odczytania. W tym pokoju odnalazłem moją przyszłość, tworząc cuda z darów Bożych.

Tak było czasami. Dziś wszystko, co miałem, to trochę ziarna, wiadro i szufelka.

Zabrałem, co miałem zabrać, i wyszedłem. Drzwi naprzeciw pieca wiodły na górę, strome schody były tak stare, że przy każdym kroku jęczały jak przerażony osioł. Na pierwszym piętrze znajdowała się kuchnia, mała, ale dobrze zorganizowana, oraz spiżarnia zawsze z bochnem chleba, kołem sera, wędzonymi rybami i beczułką czy dwiema piwa. Reszta pokoi była zavalona wyposażeniem warsztatu.

Część drugiego piętra też służyła do przechowywania skarbów mistrza Benedicta, ale mieściły się tam obiekty innej jego pasji: książki. Jedyne, co można było porównać z obsesją mojego mistrza na punkcie odkrywania nowych receptur, było odkrywanie nowych księzek. I to od niego przejąłem. Poza codziennymi lekcjami mistrz Benedict oczekiwał, że będę sam studiował, nie tylko receptury czy właściwości różnych materiałów, ale też jego niezliczone tomy. Z nich uczyłem się filozofii, historii, teologii, języków obcych, nauk ścisłych i wszystkiego, co wzbudzało zainteresowanie mistrza podczas cotygodniowych spotkań z przyjacielem, księgarzem Isaakiem.

U szczytu schodów były wejścia do prywatnych pokoi mistrza

Benedicta. Kolejne księgi zajmowały tu ściany, sprawiając, że przejście było tak wąskie, iż trzeba było przeciskać się obok poręczy, by dostać się do drzwi. Naprzeciw pokojów mistrza umocowana była drabina prowadząca do klapy w suficie. Otworzyłem zasuwkę i wspiałem się przez nią w wieczorny chłód.

Dach naszego domu był płaski. Lubiłem przychodzić tu w gorące letnie noce, gdy powietrze było chłodniejsze i nie tak zepsute smrodem ulic. Dziś niestety nie było mi dane poczuć ulgi – wiatr wiał od północnego wschodu, niosąc zapach wrzącego tłuszczu i moczu z mydlarni cztery ulice dalej.

Trzymaliśmy tu nasze ptactwo w przestronnym gołębniku z drewna i drutu w rogu balkonu. Gdy odhaczyłem drzwi tego schronienia, skrzydła zafurkotały głośno. Kilka bardziej zuchwałych ptaków dziobnęło rękawy mojej koszuli, ale straciły zainteresowanie, gdy zobaczyły, że moje wiadro jest puste. Jedna pulchna, pstrokata gołębia samiczka sfrunęła ze swej żerdki i stuknęła mnie dziobem w stopę.

– Cześć, Bridget – powiedziałem.

Zagruchała. Odłożyłem szufelkę na podłogę i podniosłem gołębicę. Była ciepła, a jej pióra miękkie w moich palcach.

– Wyrzucili mnie – pożałowałem. – Znowu.

Bridget potarła główką o mój kciuk. Tuląc ją w zgięciu łokcia, wyciągnąłem garść jęczmienia z kieszeni i patrzyłem, jak wyskubywała ziarna z mojej dłoni. Umysł wciąż drażył konwersację, z której mnie wyproszono. Stubb zawsze był oślizgły, ale dziś sposób, w jaki patrzył na nasz sklep, sprawiał, że przewracało mi się w żołądku. Nie było tajemnicą, że sklep mego mistrza miał się dobrze i że Stubb nie lubił konkurencji. Wiedziałem, że kilka lat temu chciał odkupić sklep. Kiedy mistrz Benedict odmówił, Stubb oskarżył go o kradzież receptur. Nikt nie wziął wtedy tego na poważnie, ale dziś zacząłem się zastanawiać, jak daleko człowiek taki jak Stubb mógł się posunąć w dążeniu do celu?

I dlaczego przyszedł tutaj, informując mistrza Benedicta o kolejnym morderstwie? Wiedział coś o wcześniejszych? Sześciu mężczyzn dosłownie zarżnięto, trzech z nich było aptekarzami –

a ostatnia ofiara знаła mojego mistrza.

Coraz bliżej – pomyślałem. Coś zaciskało się niczym pętla.

Zadrzałem, ale nie z zimna. Na dole padały ważne słowa. A ja byłem tu jak uwięziony na dachu. Cóż, mistrz Benedict mógł mnie odesłać, jeśli tak chciał. Ale kiedy skończyłem swoje obowiązki tutaj, musiałem wrócić do warsztatu.

– I jeśli przez przypadek coś usłyszę – powiedziałem do Bridget – to nie będzie moja wina, prawda?

Wziąłem jej milczenie za zgodę i zabrałem się do pracy. Podłoga gołębnika była grubo zasłana szarobiałymi glutami. Bridget, przechodząc mi z trzepotem z ramienia na ramię, skubała moje włosy za uszami, gdy zdrapywałem wierzchnią warstwę odchodów z podłoża i wrzucałem je do wiadra. Kiedy skończyłem, przeniosłem gołębicę z kołnierza na słomę z tyłu gołębnika, z dala od krawędzi, gdzie było ciepło i mogła się przyjemnie wymościć.

– Rano przyniosę ci śniadanie – powiedziałem. Kiwnęła łebkiem i zagruchała na pożegnanie.

Nie trzymaliśmy ptaków tylko dla zabawy. Gołębie kupy były wartościowe. Czasem sprzedawaliśmy ich trochę ogrodnikom na rynku – były świetne do hodowli szparagów – ale robiliśmy z nich coś o wiele cenniejszego niż nawóz.

Wróciwszy do warsztatu, rozpieczętowałem beczkę stojącą w rogu. Odór, który się z niej wydobył, mało mnie nie powalił. Dławiąc się, wrzuciłem do kadzi to, co zeszkrobałem z podłogi gołębnika, następnie rozpiąłem rozporek i nasikałem do środka – ot, kolejny obowiązek ucznia. Z powrotem zamknąłem beczkę. Nie mogłem jej otwierać przez kolejne trzy miesiące, aby po tym czasie rozlać śmierdzącą mieszanę do tac stojących na słońcu, by zaschła w spiczaste białe kryształki saletry.

Kiedy skończyłem, podkradłem się pod drzwi i przyłożyłem ucho, oczekując, że rozmowa się już skończyła. O czymkolwiek mówili, musiało to być ważne. Stubb wciąż tu był. I prawie krzyczał.

– Nadchodzi zmiana, Benedykcie – powiedział. – Tym razem musisz być po właściwej stronie.

– Nie trzymam żadnej strony – mówił mój mistrz. – Te sprzeczki



mnie nie dotyczą.

– Może więc złoto cię przekona. Z odpowiednimi koneksjami, odpowiednim poparciem moglibyśmy zbić fortunę...

– Pieniądze nie są problemem – powiedział mistrz Benedict. – Nie mam z tym nic wspólnego. Masz mnie za kogoś innego.

Stubb parsknął.

– Udawaj, ile chcesz. Dokonujesz wyboru, w taki czy inny sposób. Przerwali.

– Czy to groźba? – zapytał mój mistrz.

Głos Stubba stał się śliski jak olej.

– Oczywiście, że nie, Benedykcie. Koniec końców, jaki ja mam związek z tymi machlojami? Nie mam żadnego. Zupełnie żadnego.

Słyszałem ciężkie kroki Stubba, skrzypnięcie i trzask frontowych drzwi. Przez moment było cicho. Wtedy Hugh przemówił do mojego mistrza tak cicho, że musiałem mocno przycisnąć ucho do drewna, by go słyszeć.

– Co teraz robimy?

– Jesteśmy ostrożni – odpowiedział mistrz Benedict.

– A jeśli Pembroke się wygadał?

– Nie zrobiłby tego.

– Nie każdy potrafi znieść tortury – powiedział Hugh.

– Nie, Nathaniel by tego nie wiedział. On tylko zgaduje.

– Cholernie dobrze zgaduje.

– Stubb nie jest problemem – stwierdził mistrz Benedict. – Musimy uważać na tego ucznia.

Zmarszczyłem brwi. Jakiego ucznia? Co miał na myśli?

– Trzech z sześciu trafili, Benedykcie – przypomniał Hugh. – Nie możemy dłużej udawać, że to tylko zbieg okoliczności. Jeśli Stubb jest w stanie nas rozgryźć, dla innych to tylko kwestia czasu. Simon już uciekł z miasta.

– Dokąd?

– Do Francji, do Paryża – jak myślę. Nie chce mieć z nami do czynienia. Przerwali rozmowę.

– Też chcesz odejść? – zapytał mistrz.

– Wiesz, że nie – odpowiedział Hugh. – Ale nie damy rady dłużej.

Stubb w tym miał rację. Musimy wybrać, i to niedługo.

Mój mistrz westchnął.

– Wiem.

Kiedy mistrz Benedict otworzył drzwi do warsztatu, udawałem, że dopiero skończyłem z beczką.

– Obawiam się, że nie mogę dziś zjeść z tobą kolacji – powiedział.

– Muszę wyjść.

Nie było to niespotykane. Mistrz Benedict często opuszczał dom wieczorem, wracając długo po tym, jak poszedłem spać.

– Tak, mistrzu.

Wychwycił coś w moim głosie.

– Coś nie w porządku? – zapytał. – Przykro ci z powodu tego, co się dziś stało? Chodź tu.

Objął mnie ramieniem.

– Przepraszam, że byłem na ciebie zły – powiedział. – Ale, na tchnienie Boże, Christopherze, czasem się zastanawiam, czy Blackthorn będzie jeszcze stać, gdy wrócę do domu. Musisz myśleć, nim zaczniesz działać.

– Wiem, mistrzu. Miałeś rację. Nie dlatego się martwię. – Chociaż wciąż nie chciałem zmywać podłóg.

– To o co chodzi?

– Czego chciał Stubb? – zapytałem.

– Mistrz Stubb – skarcił mnie delikatnie – chciał tego co zawsze. Szybkiej drogi do fortuny.

– To dlaczego mówił o morderstwach?

– Ach. Więc to cię trapi.

Teraz, kiedy w końcu to wydusiłem, reszta wypłynęła ze mnie jak Tamiza po wiosennych roztopach.

– Szajka zabójców jest na wolności i nikt nie może ich zatrzymać. Tom myśli, że to katolicy, a jego matka, że to purytanie. Ja myślę, że to ktoś jeszcze gorszy i nawet król się go boi. Do tego znałeś człowieka, którego ostatnio zamordowali, i zabijają aptekarzy. – Wziąłem wdech.

– Więc? – zapytał mistrz Benedict.

– Więc... jesteśmy aptekarzami.

– Jesteśmy? – Wyglądał na zdziwionego. – Ano jesteśmy! To dobrze dla nas.

– Mistrzu.

Roześmiał się serdecznie.

– Nie przejmuj się morderstwami, chłopcze; wybujała wyobraźnia zatrzyma ci serce. Nie ma żadnej „szajki zabójców”. Nikt nie poluje na aptekarzy. A Nathaniel Stubb jest niegroźny.

Ale on ci groził! – prawie krzyknąłem, zanim zorientowałem się, że wydałoby się, iż podsłuchiwałem. Rozpaczliwie szukałem czegoś, co mógłbym powiedzieć, i zdecydowałem się na pytanie:

– Więc jesteśmy bezpieczni?

– Jak królewskie pludry – odpowiedział. – Teraz się uspokój. Nie jestem w żadnym niebezpieczeństwie. Dopóki nie zbudujesz nowej broni palnej – ty też nie. Nie ma się czym martwić. – Mistrz Benedict poklepał mnie po ramieniu. – Obiecuję.

Chciałem mu wierzyć, ale nie byłem pewien, czy mi się to uda. Ktoś zabijał tych biednych ludzi. I Hugh chyba myślał podobnie.

„Trzech z sześciu trafili – powiedział. – Nie możemy dłużej udawać, że to tylko zbieg okoliczności”. Co to znaczyło? Nic dobrego, tego byłem pewny. Cokolwiek to było, nie zamierzali mi powiedzieć. Jeśli chciałem się dowiedzieć, musiałbym podsłuchać coś więcej.

Tak czy inaczej, nie mogłem nic z tym zrobić dzisiejszego wieczoru. Głodny, odkroiłem na kolację kawał sera ze spiżarki i popiłem go kubkiem piwa. Wziąłem się do odbywania swojej kary. Przepisałem recepturę na armatę po angielsku i po łacinie, aż zdrętwiała mi ręka, później wyszorowałem podłogi i stopnie schodów aż po dach. Kiedy skończyłem, trzy godziny po zmroku, zarygłowałem drzwi od frontu, zamknąłem okiennice, wgramoliłem się pod sklepową ladę na mój siennik i zasnąłem.

Obudził mnie hałas. Najpierw myślałem, że dochodzi z ulicy. Usłyszałem go jeszcze raz, z drugiej strony lady. Ceramiczny słoć stuknął o półkę.

Na pewno zamknąłem sklep przed snem. Nie zarygłowałem tylko tylnych drzwi, żeby mistrz Benedict mógł wejść, ale były zamknięte

i tylko ja i mistrz wiedzieliśmy, gdzie chowaliśmy klucz. Mistrz Benedict zawsze wchodził przez warsztat i szedł do siebie prosto na górę. Nigdy nie wchodził od frontu.

Znów to usłyszałem. Krok i ciche skrzypnięcie desek.

Ktoś tu był.

## Rozdział 4

Sięgnąłem pod słonę, chwytając swój nóż. Serce łomotało mi w piersi. Plan. Potrzebowałem planu.

Wymyśliłem od razu kilka. Mogłem zaskoczyć sprawcę, wyskakując spod lady. Mogłem biec po pomoc. Ale mogłem też zostać na miejscu i posikać się ze strachu.

Poważnie rozważyłem trzecią możliwość. Jeśli byłby to złodziej, wszedłby za kontuar. Nasze najdroższe składniki były na półkach, kilka stóp nade mną. Jeśli zaś był to zabójca... Ścisnąłem nóż, jakby to był Excalibur. W rzeczywistości miałem tylko dwucalowe ostrze, luźno osadzone w ręczce i tępe jak młyński kamień. Ledwo kroilem nim nawet jabłko.

Ukląknęłam i wyjrzałam zza lady. Węgla w palenisku wciąż się lekko żarzyły. Nie widziałem intruza, ale w stłumionym czerwonym świetle rzucał na ścianę cień.

Ogromny cień.

Był gigantem. Niesamowicie, niemożliwie wysokim.

Zatem walka nie wchodziła w grę. Zsikanie się nie było dobrym planem. Pozostawała możliwość numer dwa. Zakraść się do wejścia, otworzyć drzwi, wybiec na zewnątrz i wrzeszczeć jak dziewczyna.

A mistrz Benedict! – pomyślałam. – Co z nim, jeśli wróci do domu?

Gigant odsunął się od półek. Niósł ceramiczny słoik i nie szło mu to najlepiej. Męczył się, chrząkał, aż odłożył go z głośnym stuknięciem na stół wystawowy obok kominka.

Teraz, kiedy był bliżej rdzawej poświaty węgla, widziałem go trochę lepiej. Wcale nie był gigantem. Był wysoki, owszem, ale rozmiaru człowieka. I chociaż cień sprawiał, że zdawał się barczysty, był raczej chudy. Właściwie miał dokładnie taką sylwetkę jak mój...

– Mistrzu? – zapytałam.

Mistrz Benedict oparł się o stół.

– Tak. Idź spać.

Mało to prawdopodobne. Serce wciąż mi waliło jak armaty Jego Królewskiej Mości.

Co on robił z tym słoikiem w środku nocy?

– Wszystko w porządku?

– Tak, Christopherze. Nic mi nie jest. Wracaj spać.

Podszedłem do kominka i użyłem węgla, by podpalić knot lampy. Gdy się zaświeciła, mało jej nie upuściłem.

Mistrz Benedict wyglądał, jakby właśnie wrócił z wojny. Nie miał peruki, a jego krótkie, siwe włosy były pozlepiane i brudne. Ubrania były tak ubłocone, że kolor niebieski zdawał się tylko wspomnieniem. Pół twarzy miał czarne. Wyglądało to na sadzę.

– Czy ktoś cię zaatakował? – zapytałem. – Czy to Stubb? – Skuliłem się. – Czy mordercy?

– Nic mi nie jest. – Próbował się odwrócić, ale ruchy miał niezdarne, był roztrzęsiony.

Spojrzałem na jego ramię.

– Pozwól mi pomóc.

– Nic mi nie jest – powtórzył.

– Proszę, mistrzu. Daj się zaprowadzić do swojego pokoju.

Po chwili przytaknął. Uniosłem jego prawą rękę, by położyć ją na swoim ramieniu. Krzyknął z bólu. Wtedy zauważyłem, że jego płaszcz jest rozdarty.

Zaprowadziłem mistrza na górę, przyświecając nam lampą. Jego ciężar, który na mnie spoczywał, zdawał się rosnąć z każdym skrzypiącym stopniem. Na szczycie schodów otworzyłem drzwi i wprowadziłem go do sypialni.

Pachniała egipskim kadzidłem. Przy jednej ścianie, obok pieca, stało wąskie łóżko ze skromną bawełnianą pościelą i jedną poduszką. Obok prosty stolik, którego jedną krótszą nogę uzupełniała złożona owcza skórka. Nocnik stał na wiązowym, rzeźbionym w róże krześle przy biurku pod otwartym oknem. Biurko zavalone było papierami i zasypane popiołem z podstawki na kadzidło, rozwianym przez nocną bryzę. Pełno tu też było książek, całe stosy wysokie przynajmniej na dwanaście tomów.

Księgarz Isaac – pomyślałem – musi opływać w dostatek.

Przeprowadziłem mistrza do łóżka i położyłem go tak ostrożnie, jak tylko mogłem. Patrzyłem na niego przez chwilę, niepewny, co robić.

Mistrz Benedict cię przyuczył – mówiłem sobie. – Jesteś przygotowany. Uspokoilo mnie to.

Zapaliłem lampę na stole, zamknąłem okiennice i pogrzebałem w dogasających węglach w piecu, aby trochę ogrzać mistrza. Przyjrzałem mu się. Myślałem, że jego płaszcz był rozdarty, ale teraz w lepszym świetle zobaczyłem spaloną kruszącą się wełnę i szerniałą skórę jego ciała! Zranił go ogień? Moje serce też płonęło ogniem zemsty wobec tego, kto go zranił.

– Odpocznij chwilę, mistrzu – powiedziałem.

Pobiegłem na dół do warsztatu, starając się przypomnieć sobie wszystko, czego mnie nauczył o leczeniu oparzeń. Przyniosłem dwa wiadra wody. Wróciłem szukać remediów, których potrzebowałem. Jedno z nich, krem ze sproszkowanego srebra, już stało na wierzchu, wyjęty przez mistrza, gdy jeszcze spałem. Po kolei wnosilem słoje na górę, do tego jeszcze mały cynowy garnek pełen wody i kubek.

Mistrz Benedict leżał na poduszce i wolno oddychał. Patrzył, jak ustawiam garnek na ogniu i słoje na stoliku obok. Zacząłem ściągać z niego płaszcz, ale skrzywił się, gdy uniosłem jego ręce, więc użyłem noża by rozciąć materiał. Płaszcz był tak zniszczony, że mógłby służyć jedynie na szmaty.

Ulżyło mi, gdy na skórze ramion zobaczyłem pęcherze. Nie był mocno poparzony. Zmyłem sadzę z ran i z twarzy. Odmierzyłem suszony mak z jednego ze słoików i wrzuciłem do wody wrzącej w garnku, a po minucie wlałem płyn do kubka stojącego przy łóżku. Mak był najlepszym sposobem na ból, jaki Bóg zesłał temu światu, a ten wywar miał też właściwości rozluźniające.

Mistrz Benedict popijał napój, gdy smarowałem jego oparzenia kremem ze srebra, by zapobiec gniciu ciała. Owijałem rany materiałem i usuwałem resztę jego brudnych ubrań.

Wyglądał źle. Dotąd nie wydawał mi się stary, ale dziś widziałem w nim każdy rok życia, zmęczoną skórę i słabe kości. Miał wysuszone i zaczerwienione dłonie. Nie były poparzone, więc nałożyłem na nie grubą warstwę miąższu aloesu i owinąłem je tak, jak wcześniej ramię mistrza.

– Tak wiele się nauczyłeś – powiedział miękko. Zarumieniłem się

zażenowany, ale dumny.

– Dziękuję, mistrzu.

Zaczął znów mówić, ale głos uwiązł mu w gardle. Miał zażawione oczy obwiedzione czerwoną kreską. Serce mi się krajało. Nigdy nie widziałem, żeby płakał.

– Czy mogę zrobić coś jeszcze? – zapytałem. Wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka.

– Dobry z ciebie chłopak – odpowiedział.

Nie mogłem się wysławić. Skłoniłem głowę i wtuliłem się w ciepło jego dłoni.

Oczy mu się zamykały. Herbatka z maku działała. Pomogłem mu się wygodnie ułożyć i przykryłem go kołdrą.

– Śpij dobrze, mistrzu.

Zgasłem lampę na stole. Doniosłem drugą do drzwi, gdy znowu przemówił:

– Zaczekaj.

Wpatrywał się w płomień lampy. Migotał, a smużki dymu tańczyły po szkle.

– Jutro jest Dzień Dębowego Jabłka – powiedział.

– No... tak. Urodziny króla.

– I twoje. Pamiętał.

– Czy ty i Tom zebraliście już swoje dębowe gałązki? – zapytał.

– Dziś rano.

Zastanawiałem się, po co mnie zatrzymał, kiedy odezwał się prawie szeptem:

– Czy za dużo od ciebie wymagam? Nie byłem pewien, o co mu chodzi.

– Mistrzu?

– Nikt ci nigdy nie dał wyboru – powiedział. – W sierocińcu kazali ci się uczyć. Gildia cię przetestowała. Nikt ci nigdy nie dał wyboru. – Spojrzał mi w oczy. – Jeśli odesłałbym cię i poszedłbyś inną drogą – zapytał – gdzieś, gdzie byłoby bezpiecznie, gdzie nie można by cię skrzywdzić... to co byś wybrał?

Pytanie zbiło mnie z tropu. Czy jakikolwiek mistrz kiedykolwiek pozwolił swojemu uczniowi wybierać? Przypomniała mi się



pod słuchana rozmowa mistrza z Hugh.

„Musimy wybrać, i to niedługo”.

Gdy morderstwa zaczęły się cztery miesiące temu, Tom i ja droczyliśmy się, że zabójcy chcą nas dorwać. Nie trwało długo, by nasze żarty ucichły, kiedy to, co działo się w mieście, zaczęło nas przytłaczać.

Dzisiejszej nocy w ciemności bałem się bardziej niż kiedykolwiek. Jeszcze mi nie przeszło. Część mnie chciałaby odejść – w jakieś bezpieczne miejsce, bez Stubba, morderców, powodów do strachu. Ale byliśmy razem. Zostawić mistrza Benedicta samego? Nie umiałbym. Nie mógłbym.

Powiedziałem to z przekonaniem, by i on wiedział.

– Nie, mistrzu. Jestem wdzięczny za życie, które mi dałeś. Cokolwiek się wydarzy, chcę zostać z tobą.

Nic nie odpowiedział. Czekałem przy drzwiach, niepewny, czy chciał, żebym już poszedł. Miałem wrażenie, że się wahał. W końcu przemówił.

– Mam coś dla ciebie.

Wskazał małą paczuszkę owiniętą lnem, spoczywającą na szczycie jednego ze stosów książek.

– Co to jest? – zapytałem.

– Prezent.

Oślupiałem. W dwa poprzednie Dni Dębowego Jabłka mistrz Benedict przynosił do domu na kolację moją ulubioną pieczeń z wieprza. Sam jadł oszczędnie, głównie patrząc z rozbawieniem, jak napychałem się słodkim, białym mięsem, wylizując tłuszcz spomiędzy palców. Zawsze uważałem, że pieczeń była specjalnie na święto. Teraz pomyślałem, że może przynosił ją dla mnie.

Ale nigdy wcześniej nie dostałem prawdziwego prezentu.

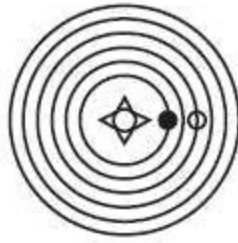
– Mogę... mogę otworzyć?

– Chyba już jest po północy. Więc twoje święto jest dzisiaj. – Pokiwał głową. – Proszę bardzo.

Pociągnąłem za płótno. Straciłem dech w piersiach.

Pod materiałem był wypolerowany, srebrzysty sześcian, nieco większy niż moja dłoń. Na górze, wyryta w metalu cienkimi,

gładkimi liniami, widniała seria okręgów.



Drżącymi palcami obróciłem kostkę. Na każdej z pozostałych pięciu ścianek był wygrawerowany symbol:

– Jest piękna – powiedziałem.

– Rozpoznajesz metal?

Stuknąłem w ściankę paznokciem. Nie było to srebro. Cyna raczej też nie. Zważyłem kostkę w dłoni. Nie była wiele cięższa od śliwki.

– Antymon?

– Dobrze. Inaczej znany jako?

– The Black Dragon, Czarny Smok. Niektórzy mówią, że ma mistyczne właściwości. Ale powoduje wymioty, gdy się go zje.

– Doskonale.

Przycisnąłem kostkę do piersi.

– Dziękuję bardzo.

– Nie ekscytuj się. – Oczy mu iskrzyły. – To tylko połowa prezentu. Wytrzeszczyłem oczy.

– Jest coś więcej?

– Dostaniesz resztę, jeśli to otworzysz.

Przez chwilę nie byłem pewny, co miał na myśli. Chyba chodziło mu o kostkę.

– Otwiera się?

Podniosłem ją do światła. Górną część okrężyła ledwo dostrzegalna linia. Spróbowałem w tym miejscu podważyć ściankę, ale nawet nie drgnęła.

– Jak to otworzyć? Uśmiechnął się.

– Mówiłem. Resztę dostaniesz... jeśli to otworzysz. Potrząsnąłem kostką. Wewnątrz coś zagrzechotało.

– Co tam jest?

– Zepsułbym ci niespodziankę, czyż nie? Przyda ci się jednak trochę pomocy. – Już prawie zasypiał, więc mówił niewyraźnie. – Klucz jest na dole, gdzieś w sklepie. A to – wskazał na książkę, na której kostka wcześniej leżała – pomoże ci go odnaleźć.



**Piątek, 29 maja 1665 roku**  
**Dzień Dębowego Jabłka**

## Rozdział 5

Walenie we frontowe drzwi sprawiło, że podskoczyłem. Przez moment myślałem, że ludzie, którzy skrzywdzili mojego mistrza, przyszedli dokończyć robotę. Wątpiłem jednak, że chciałoby im się pukać.

Obróciłem się na krześle, wsadziłem palce między strony książki, którą dostałem od mistrza. Okiennice były wciąż zamknięte, drzwi zaryglowane. Czekałem.

Nastąpiło więcej uderzeń.

I nareszcie głos:

– Christopherze! Jesteś tam? Wpuść mnie.

Otworzyłem drzwi. Na progu stał Tom, zgarbiony pod płaszczem, starając się osłonić przed deszczem paczkę zawiniętą w wełnę. Tak się zaczytałem, że straciłem poczucie czasu. Niebo było mocno zaciągnięte dymnoszarymi chmurami, ale nie była to już noc.

Tom przepchnął się obok mnie do ciepłego sklepu.

– Nareszcie.

– Która godzina? – zapytałem.

– Nie wiem. Ósma? Może dziewiąta? Bicie na szóstą było wieki temu. – Zadrżał. – Uch. Nie znoszę zimna. – Otrząsnął płaszcz i bryłki lodu rozsypały się po podłodze.

– Pada grad? – zapytałem. – Już prawie czerwiec.

– To omen. – Tom podszedł do kominka, gdzie powoli płonęło samotne polano. Położył na stole paczkę i wyciągnął dłonie do płomieni. – Wczoraj popełniono kolejne morderstwo.

– Wiem.

Opowiedziałem Tomowi o wizycie Stubba i powrocie mojego rannego mistrza w nocy.

Tom wytrzeszczał oczy.

– Kto go zaatakował?

– Nie chciał mi powiedzieć, ale nie byli to zwykli rabusie. Poparzyli go.

– To mogli być mordercy – powiedział Tom. – Moja matka mówi, że to jakiś kult.

Spojrzałem na niego.

– Kult? Gdzie to usłyszała?

– Od pani Mullens. Jej mąż jest urzędnikiem i ona powiedziała, że on mówi, że szeptają o tym w sądzie. Że morderstwa to mogą być ofiary z ludzi. – Tom zadrżał i skrzyżował palce. – Są wieści z zachodnich parafii o zarazie. Mówię ci, ta pogoda to omen. Miasto się psuje.

Może Tom miał rację? Grad prawie w czerwcu był jak omen. Wolałbym jednak, by boskie ostrzeżenia były nieco bardziej czytelne. Można by pomyśleć, że dla Wszechmogącego nie byłoby trudne napisać w chmurach PRZESTAŃCIE KRAŚĆ SŁODKIE BUŁECZKI czy coś.

Wskazałem na paczkę, którą przyniósł Tom.

– Co jest w środku?

Uśmiechnął się, zapominając o nieprzyjemnościach.

– Otwórz.

Odwinąłem wełnę. Otoczył mnie zapach ciepłych jabłek i cynamonu. Wewnątrz był świeżo upieczony placek, ciasto pofalowane i lekko zbrązowiałe, z którego unosiła się para.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział Tom.

Dzień robił się coraz lepszy. Uściskałem go i chyba ośliniłem mu koszulę. Przyszło mi też coś do głowy.

– Czy ukradłeś to ciasto z piekarni ojca? Tom zrobił oburzoną minę.

– Oczywiście, że nie.

– Naprawdę?

– Cóż... w zasadzie to je pożyczyłem.

– Pożyczyłeś? Będziemy musieli je oddać? Pomyślał o tym chwilę.

– W pewnym sensie.

– A jeśli twój ojciec się dowie? Zbije cię. Tom wzruszył ramionami.

– I tak by mnie zbił. Mogę przynajmniej mieć z tego ciasto.

– Tom!

Uśmiechnął się.

– Żartuję. Matka pozwoliła mi zrobić je dla ciebie. Jedzmy.

Co też uczyniliśmy, napychając sobie usta słodyczą. Zostawiłem kawałek dla mojego mistrza, który lubił dobry placek prawie tak samo jak ja, a resztę pożarliśmy. To było chyba najlepsze ciasto, jakie w życiu jadłem, i to nie dlatego, że Tom zrobił je specjalnie dla mnie. Miał do tego rękę. Gdy Tom przejmie rodzinną piekarnię, prześcignie nawet swojego ojca.

Oblizałem nadzienie z palców, a Tom wydał z siebie potężne beknięcie. Spróbowałem mu dorównać, ale poszło mi źle.

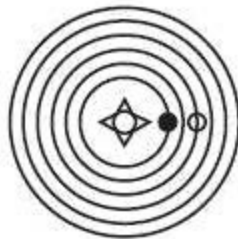
– Żałosny wysiłek – prychnął. Zauważył książkę, którą zostawiłem otwartą na stoliku obok ognia, i jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej pogardliwe. – Na wełniane skarpety diabła! Czy ty się uczyłeś? We własne urodziny?

– To nie dla pracy – powiedziałem. – To przez prezent od mistrza Benedicta. Z dumą pokazałem mu antymonową kostkę.

Tom był pod wrażeniem.

– Dał ci to? To musi być warte fortunę.– Potrząsnął, słuchając, jak grzechocze. – Co jest w środku?

– Nad tym właśnie pracuję. Spójrz. – Obróciłem sześcian wierzchem do nas.



– Co to jest? – zapytał.

– Nasz Wszechświat. Słońce, Ziemia i pozostałe pięć planet. Każdy okrąg to orbita.

– Och. Och, no tak, krążą. – Przesunął palec po symbolu na środku. – Dlaczego Ziemia ma kolce? Czy to są góry?

– To nie jest Ziemia – odpowiedziałem. – To Słońce.

– Dlaczego Słońce jest w środku?

– Bo tam właśnie jest Słońce.

– Tak? – Tom zmarszczył brwi. – Według kogo?

– Tego człowieka – podałem mu książkę.

Przyjrzał się okładce zmrużonymi oczami.

– Sys... System... Co to jest?

– *Systema cosmicum* – wyjaśniłem. – To po łacinie. Oznacza „system kosmiczny”. Autor twierdzi, że Słońce jest w centrum wszechświata, a wszystkie planety krążą wokół niego.

Tom przekartkował dzieło ze sceptycznym wyrazem twarzy, aż doszedł do strony tytułowej.

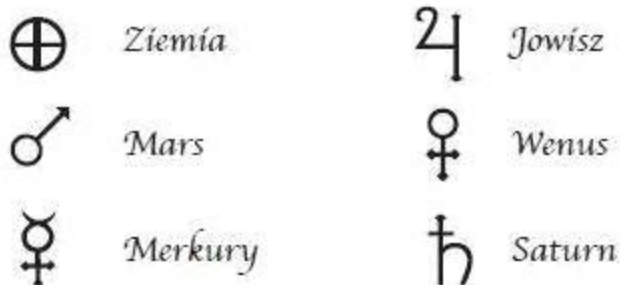
– Galileo Galilei. Wygląda mi na katolika – osądził z dezaprobatą.

– To jest na tym wieczku. Słońce w środku i sześć planet dookoła. Merkury najbliżej, później Wenus, Ziemia... – zobacz, to kółko na trzecim pierścieniu to my – dalej Mars, Jowisz i Saturn. Wszystkie.

Tom obrócił kostkę.

– A te inne symbole?

– To są planety. – Wyciągnąłem kartkę pergaminu spod tylnej okładki książki, wypełnioną gładkim, znajomym pismem mistrza Benedicta.



Tom zerkał a to na pergamin, a to na kostkę.



– Ale tu jest tylko pięć symboli – powiedział. – Są Jowisz, Wenus, Saturn, Ziemia... Brakuje Merkurego.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Spójrz znowu na górę.



Na pierwszy pierścień, najbliżej Słońca. Na tę kropkę, gdzie powinien być Merkury.

Przyjrzał się.

– Och! To dziurka.

– Myślę, że to jest miejsce na klucz. A brakujący symbol jest wskazówką. – Wskazałem na półkę za nami. Był na niej ceramiczny słoć, mniejszy od swoich sąsiadów. – Możesz to zdjąć?

Tom usłużnie wstał i chwycił słoć jedną ręką. Wyglądał na zdziwionego.

– Ciężki jest.

Wziąłem pusty kubek ze stojaka za ladą i odkorkowałem słoć.

– To – powiedziałem – jest żywe srebro.

Przechyliłem słoć nad kubkiem, ostrożnie go opróżniając. Wypłynęła z niego lśniąca, srebrzysta ciecz.

Tom był zdumiony.

– Jak to stopiłeś?

– Już było stopione. Nie jest gorące. – Zanurzyłem palec w płynie.

– Zobacz, można tego dotknąć.

Tom ostrożnie wystawił palec. Lekko musnął powierzchnię i zaraz go cofnął, zostawiając drżące fale, które prawie natychmiast zamarły. Spróbował jeszcze raz, zatapiając palec głębiej.

– Dziwne w dotyku. Prawie jakby go nie było. Do czego to jest?

– Leczy choroby. Naprawdę ciężkie, których dostajesz na swoim... no wiesz. Ale nam potrzebny jest... klucz! – Obróciłem słoć do góry dnem.

Nic się nie stało.

– Mam teraz bić brawo? – zapytał Tom.

Zajrzałem do wnętrza słoja.

– Nic tu nie ma.

– Dlaczego myślałeś, że będzie?

– Bo merkuriusz ma być kluczem. – Potrząsnąłem kubkiem, sprawdzając, czy nic nie prześlizgnęło się wraz z płynem. – To prawdziwa nazwa żywego srebra. Mówi się na nie merkuriusz. Otwór jest w miejscu, gdzie powinna być planeta Merkury.

– To sprytne – przyznał Tom, patrząc na sześcian – nie wiem, jak

chcesz tu włożyć klucz. Dziura jest za mała. I okrągła. Nie ma czegoś takiego jak okrągłe klucze.

Miał rację. Okrągły klucz nie miał sensu, bo nie miałby żadnych zębów. Ale mistrz Benedict obiecał, że jest klucz i że był w tym pokoju.

Wtedy na to wpadłem.

– Tom! Jesteś geniuszem!

– Jestem?

Wskazałem na dziurkę.

– Jak byś tam włożył klucz?

– Mówiłem ci, że się nie da. Dziurka jest za mała. Musisz mieć coś, co się tam wślizgnie... – Oczy rozszerzyły mu się, gdy poruszyłem kubkiem, chlupocząc merkuriuszem. – Płynny klucz? Jak to możliwe?

– Sprawdźmy.

Tom przytrzymał kostkę. Ostrożnie przechyliłem kubek. Trzy krople płynnego metalu chlapnęły o powierzchnię, przesuając się po wygrawerowanych liniach jak małe, srebrne paciorki. Spłynęły ku otworowi i wpadły do środka. Mimo to nic się nie stało.

– Może potrzeba więcej – zastanawiał się Tom.

Polałem drugi raz i trzeci.

Klik.

Łączenie górnej części kostki rozchyliło się. Odrobine.

Powoli podniosłem wieczko. Zajrzałem do środka.

Zaparło mi dech.

## Rozdział 6

Tom nachylił się.

– Co to jest? Co to jest?

Wyciągnąłem przedmiot i położyłem go na ladzie.

Przed nami leżała moneta, lśniąca i srebrna. Prawdziwie srebrna.

Tom wybałuszył oczy.

– Szyling. Dostałeś szylinga.

Szyling. Całe dwanaście pensów. Byłem bogaty.

Moneta była nowa, z wybitym na środku profilem króla. Dookoła widniał napis *Carolus II Dei Gratia. Karol II, z łaski Bożej. Dzień Dębowego Jabłka, dzień jego koronacji, jego urodziny. I moje.*

Promieniałem.

Tom podniósł szylinga, zachwycając się nim. Ja jeszcze raz zajrzałem do kostki zagadki.

– Spójrz na to – powiedziałem.

Sześcian był z antymonu, poza ścianką naprzeciw zawiasu. Tam szkło pozwalało nam przyjrzeć się mechanizmowi zamka. Kanalik prowadził żywe srebro z góry do zbiorniczka z przodu, gdzie była dźwignia. Kiedy nalaliśmy odpowiednio dużo żywego srebra, ciężar przeważał dźwignię, co otworzyło zapadkę.

– Wspaniałe – zachwycał się Tom.

Było to nawet bardziej wspaniałe, niż się wydawało. Mistrz Benedict uwielbiał chować rzeczy jedne w drugich. Szyfry w szyfrach, zamki w zagadkach. Dlatego też wewnątrz mojego prezentu był kolejny podarek. A do tego lekcja z symboli.

Nie – pomyślałem. – Nie tylko lekcja.

Wczoraj, zanim mistrz Benedict wręczył mi prezent, wahał się. Zapytał, czy chcę zostać przy nim, bez względu na niebezpieczeństwo, w którym się znalazł. Nawet gdy zapewniłem go, że tak, nadal nie był w pełni przekonany. Przygotował dla mnie ten prezent, ale do ostatniej chwili nie był zdecydowany, czy mi go dać.

Kostka, książka, jego słowa, ta zagadka... to było coś więcej niż lekcja. To był test.

Ale czego?

Przeciagnałem palcem po rowkach w sześcianie. Tom powiedział, że był wart fortunę. Nie obchodziło mnie to. Obojętnie z jakiego powodu mistrz Benedict mi go wręczył, jego podarunek znaczył dużo więcej. Umarłbym z głodu na ulicy, zanimbym go komukolwiek oddał.

– Zaczekaj tu – powiedziałem.

Poszedłem na górę do pokoju mistrza. Wciąż spał, jego pierś miękko unosiła się i opadała. Nie obudziłem go. Na stoliku przy łóżku zostawiłem kawałek ciasta.

W sklepie położyłem otwartą kostkę na ladzie obok książki mistrza Galileusza, tam, gdzie mistrz Benedict na pewno mógł ją zobaczyć.

Tom wciąż obracał monetę w palcach.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Może znajdę jakiegoś przyjaciela, który pomoże mi wydać tego szylinga.

– Jestem jakimś takim przyjacielem.

– Och? Więc jak myślisz, co powinienem z nim zrobić?

– Kupić lody? – zapytał z nadzieją.

– Dzisiaj? Jest tak zimno na zewnątrz.

– Uwielbiam zimno.

– Przed chwilą mówiłeś, jak go nie znosisz.

Tom wyglądał na oburzonego.

– Nigdy tak nie mówiłem.

– No dobra. – Twarz mu się rozjaśniła, pełna blasku niczym ogień.

– Ale musimy zachować pensa.

– Na co? – zapytał.

– Na cóż by innego – wyszczerzyłem zęby – niż jajka.

To może być dużo pieniędzy, ale podczas święta szyling nie jest wart tak wiele, jak by się wydawało.

Późnym rankiem deszcz przestał padać. Brukowane ulice były strasznie ubłocone, więc deszcz nie pomógł w odblokowaniu odpływów i drogi śmierdziały tak obrzydliwie jak zawsze. Chmury się rozeszły i ciepło słońca odbijało się w obliczu miasta. Wszędzie

wisiały chorągwie, porozpinane od jednego balkonu do drugiego, migając kolorami i układając jaskrawe wzory w królewski herb. Tłum naciskał, wypełniając każdą uliczkę, by zobaczyć atrakcje, ogrody, artystów: żonglerów i akrobatów, i muzyków, a nawet tańczącego konia. I chociaż oficjalnie był to dzień odpoczynku, uliczni sprzedawcy pracowali, nawołując niczym kruki, wykorzystując świąteczną życzliwość, by żądać niebotycznych cen za przyjemności, na które normalnie ludzie by sobie nie pozwolili.

Nigdy w życiu nic sobie nie kupiłem, bo nigdy nie miałem pieniędzy. Kilka funtów, które odziedziczyłem jako dziecko, było przechowywanych przez mistrzów w sierocińcu na opłaty wstępne za możliwość zostania uczniem, a uczniom się nie płaciło. Jeśli chodzi o Toma, to jego rodzina sprzedawała wiele ciast, ale on nigdy nie miał pieniędzy dla siebie, gdyż jego ojciec trzymał sznurki od sakwy zaciśnięte mocniej niż stryczek.

I mój szyling szybko się rozszedł. Pierwsze cztery pensy wydałem na kremowe lody z wodą pomarańczową, tak jak obiecałem Tomowi. Cukiernik nawet pozwolił nam je przygotować. Tom zaciekle kręcił korbą, wyrabiając śmietaną, mleko i cukier z wodą pomarańczową w wiaderku zanurzonej w solonym lodzie. Lody były tak pyszne, że kupiłem trzeciego dla nas do podziału, tym razem polanego miodem z cytryną. Później po pensie poszło na cukierki z orzechami i garść gumy chicle, przywiezionej aż z Nowego Świata, i jeszcze dwa pensy na obiad złożony z parującej jagnięciny z ziemniakami i groszkiem w maśle ziołowym. Zostały nam dwa pensy: jeden na pół tuzina zgniłych, śmierdzących jaj i jeden, który aż wypalał mi dziurę w kieszeni.

Jaja, oczywiście, nie były do jedzenia. Na Dzień Dębowego Jabłka każdy nosił na ubraniu gałązkę dębu upamiętniającą powrót naszego króla, Karola II, Wesołego Monarchy, którego życie zostało cudem przez Boga ocalone, gdy ukrył się przed purytańskimi zdrajcami wysoko w koronie dębu. Po dekadzie wygnania i uciśnienia nasz król odzyskał należne sobie miejsce w 1660 roku, po śmierci Olivera Cromwella oraz upadku brutalnych i ponurych rządów purytanów. Teraz w Londynie znów można było urządzać

festiwale i się bawić.

Tylko najwięksi nudziarze zostali dziś w domach – albo, jak sędzę, purytanie, których mógł martwić widok dzieci tańczących wokół drzewek majowych i dziewczynki na przedzie, machającej grubą, dębową laską ze zbielałą od słońca purytańską grzechoczącą czaszką u góry. Lepiej było mieć dębinę przy klapie, by nie zostać obrzuconym. Popularne były owoce, a błoto łatwo dostępne. Ja jednak zawsze uważałem, że prawdziwą klasę pokazywały zgniłe jaja.

Po pięciu latach od powrotu króla wszyscy już to wiedzieli. Nikt nie ważył się wyjść na ulicę nieprzybrany. Prawie nam się poszczęściło, kiedy dębowe jabłko odpadło dżentelmenowi od płaszcza, ale zanim do niego dobiegliśmy, zdążył wyjąć je z błota po przywitaniu się z czterema pomidorami i cebulą.

Późnym popołudniem nie mogłem już wytrzymać.

– To okropne – żaliłem się. – Co ja zrobię z półtuzinem zgniłych jaj?

– Dodaj do któregoś ze swoich remediów – zaproponował Tom.

Już miałem się odciąć, kiedy stanąłem jak wryty.

– Co jest? – zapytał Tom.

Nathaniel Stubb. Widziałem go po drugiej stronie Lombard Street. Przeciskał się przez tłum, odganiając swoją srebrną laską dzieci, które podeszły zbyt blisko.

Krew mi zawrzała. Mistrz Benedict twierdził, że to nie Stubb go zaatakował. Nie byłem pewien, czy mu uwierzyłem, i prawdę mówiąc, nie obchodziło mnie to teraz. Chciałem zemsty. I wiedziałem, że znajdę ją tam, na tym człowieku.

Spojrzałem na jego kołnierz.

Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Kolejny prezent urodzinowy, aż od samego Boga.

Chwyciłem Toma za ramię.

– Nie ma dębiny – powiedziałem.

– Niestety ma – wskazał Tom.

Stropiłem się. Miał. Absurdalnie małe – liche wręcz – dębowe jabłko wisiało na płaszczu Stubba. Zsunęło się z zapinki i zwisało

luźno z klapy.

Luźno?

Tom znał to spojrzenie.

– Nie, nie, nie.

– Tak, tak, tak – powiedziałem.

– To nie fair.

– Tylko Bóg może to osądzać – spróbowałem rozwiąć jego wątpliwości. – Podejź i to strąć.

Wyglądał na spanikowanego.

– Ja? Nie ma mowy.

– Ja nie mogę. Wie, kim jestem. – Właściwie pewnie już o mnie zapomniał, ale mimo wszystko widział mnie.

– Jeśli zna ciebie – powiedział Tom – może znać i mnie. Zapomnij.

– Proszę. Prooooooszę. On odchodzi.

Tom założył ręce na piersi i ani się ruszył. Wtedy wpadłem na pomysł. Świetny pomysł.

Pobiegłem naprzód, a Tom niechętnie podążył za mną. Na rogu trzech chłopców, dziewięcio- czy dziesięcioletnich, bawiło się w turniej rycerski, pędząc ku sobie z pełną prędkością i mocno zgiętymi klonowymi gałązkami. Dziewczynka w wieku około dwunastu lat siedziała nieopodal na podeście, przy straganie z rybami, zdając się nie zważać na ich zapach. Przyglądała się akcji, okręcając lok kasztanowych włosów wokół palca i głaszcząc burego kota, który mruczał jej na kolanach.

– Cześć – powiedziałem.

Chłopcy wstrzymali na chwilę zabawę i przyglądali nam się uważnie – mnie, bo miałem jajka, a Tomowi, bo górował nad wszystkimi. Jeden z nich, chudy i żylasty, wyszedł nam naprzeciw z dziwną mieszaniną śmiałości i strachu.

– Czego?

Pokazałem na Stubba po drugiej stronie ulicy.

– Strąć jego dębinię, a dam każdemu z was po jajku do rzucenia.

Trzeba przyznać, że się zastanawiał. Niestety, śmigająca srebrna laska wygrała tę wewnętrzną walkę.

– Nie-e. Uderzy mnie.

– Nie, jeśli będziesz dość szybki – kuśiłem. Ale dzieciak tylko pokręcił głową.

To było straszne. Odwróciłem się, by odejść.

– Ja cię znam – usłyszałem wysoki głos.

Odwróciłem się. To ostatnie zdanie wypowiedziała dziewczyna ze schodów.

– Byłeś w Cripplegate – dodała.

Zaskoczyła mnie. Niewiele w Cripplegate było dziewczynek i mieszkały osobno. Widywaliśmy je głównie przy posiłkach, kiedy starsze dzieci były wyznaczone do pomocy mistrzom w opiece nad młodszymi. Mnie umieszczono w kuchni, gdzie gotowałem buliony pod okiem głównego kucharza Sedleya, który lubił przywalić podopiecznym w czoło długą, drewnianą łyżką, kiedy popełnili błąd. Oberwałem w czaszkę wystarczająco wiele razy, by stać się całkiem niezły w przyprawianiu zup.

Prawdę mówiąc, to przez buliony zostałem przydzielony do nauki na aptekarza. Czasem zdarzało się, że mężowie wysokiego stanu odwiedzali naszą szkołę. Pewnej niedzieli, gdy miałem dziewięć lat, Cripplegate odwiedzili trzej członkowie Rady Gildii Aptekarzy. Gdy podawałem zupę, jeden z nich, Oswyn Colthurst, przywołał mnie.

Byłem zapatrzony w aptekarzy. Z tego, co było mi o nich wiadomo, posiadali niemalże magiczne talenty. I chociaż nasz dyrektor, wielebny Talbot, zawsze traktował swoich gości z poważaniem, to sposób, w jaki zachwycał się Radą Gildii, sprawił, że uświadomiłem sobie, jak niesamowicie potężni muszą być ci ludzie.

Chociaż Oswyn był najmłodszym członkiem Rady, najbardziej mnie interesował z całej trójki. Miał głowę ogoloną na łyso i wbrew modzie nie nosił peruki. Popatrzył na mnie bystryimi oczami i powiedział:

– Słyszałem, że to tobie powinniśmy dziękować za ten pyszny posiłek? Staralem się nie gapić na skórę jego głowy.

– Tylko za wywar do niego, mistrzu Colthurst – wydukałem.

– Wywar to najważniejsza część. Masz prawdziwy talent do ziół.

Prawdopodobnie był tylko miły dla osieroczonego chłopca –



mężczyzna z jego pozycją musiał jadać w dużo lepszych lokalach niż stołówka Cripplegate – ale serce mi urosło po jego pochwale.

– Dziękuję, mistrzu. Wielebny Talbot nachylił się.

– Christopherowi zostało trochę spadku. Zamierzamy użyć tych pieniędzy, by uczył się na kucharza.

– Jeśli ma fundusze – powiedział Oswyn – czemu nie wysłać go do naszej Gildii?

Wielebny Talbot wydawał się równie zaskoczony jak ja. Oswyn wyglądał, jakby dobrze się bawił.

– Myślisz, że tylko mężowie wysokiego stanu mogą zostać aptekarzami? – zapytał. – Wręcz przeciwnie. Wszystko, czego wymagamy, to metodyczny rozum, poszanowanie natury i przenikliwa żądza wiedzy. – Oswyn wskazał na mnie swoją łyżką.

– Chłopcy tacy jak Christopher są tym, czego brakuje naszej Gildii: prostymi Anglikami, którzy dorastali, znając ciężką pracę. – Wrócił do jedzenia. – Przemyśl to, wielebny – powiedział i ta uwaga wyznaczyła moją przyszłą ścieżkę życia. Od następnego dnia moje lekcje – i ku mojemu niezadowoleniu – baty, gdy źle odpowiedziałem – podwoiły się. Wielebny Talbot nie przeżyłby, gdybym przyniósł wstyd szkole, oblewając egzamin wstępny do Gildii Aptekarzy.

Przyglądałem się teraz twarzy dziewczyny z podestu. Opuściłem sierociniec trzy lata temu, więc musiała mieć wtedy jakieś dziewięć lat. Miała duże zielone oczy i lekko zadarty nos obsypany piegami.

Przypomniałem ją sobie. Przybyła do Cripplegate kilka lat przed tym, zanim go opuściłem, jej rodzice zmarli w kupieckiej podróży do Francji. Pomagałem pielęgniarce dbać o nią podczas swojej ostatniej zimy, karmiłem ją rosółem przez trzy tygodnie, gdy miała ciężki przypadek gościa. Miała na imię... Susanna? Sarah?

Przypomniałem sobie.

– Sally.

Zarumieniła się, zadowolona, że ją pamiętałem.

– Co się z tobą działo? – zapytała.

– Jestem uczniem. U mistrza aptekarskiego Benedicta Blackthorna – odpowiedziałem z dumą. Pokiwała głową, jakby jej

to odpowiadało. – Ile ci jeszcze zostało? – zapytałem.

– Kilka miesięcy. Może. Próbowali znaleźć mi pracę, ale... –  
Wzruszyła ramionami.

Wiedziałem, co miała na myśli. Mistrzowie robili, co mogli, by ulokować gdzieś swoich podopiecznych, nim skończyli oni trzynaście lat, ale nie każdy zdobywał pracę albo szansę jako uczeń. Jeśli wyrosłeś i nie miałeś dokąd pójść... życie na ulicy nie było łatwe. Zwłaszcza dla dziewcząt. Pamiętam, jak niewiele miałem w Cripplegate: właściwie nic poza nadzieją na coś lepszego. Dla Sally było to jeszcze bardziej nieosiągalne niż wtedy dla mnie.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem ostatniego pensa. Podałem go jej.

– Masz.

Wybałuszyła oczy. Trzej chłopcy gapili się wraz z nią. Jeden nawet postąpił krok do przodu, ale Sally zeskoczyła z podestu i już była przed nim. Kot spadł z jej kolan i dał nogę za róg, przewracając po drodze wiklinowy kosz.

Sally zacisnęła pięść wokół monety. Patrzyła na swoje knykie, jakby się bała, że srebro może wyciec. Odwróciłem się.

– Zaczekaj.

Kiwnęła głową w stronę Stubba, który stał na drodze, czekając niecierpliwie, aż parada jaskrawo pomalowanych owiec przejdzie dalej.

– Co on zrobił?

– Groził mojemu mistrzowi – odpowiedziałem.

Wyciągnęła rękę.

– Daj mi jajo.

Spojrzałem na srebrną laskę Stubba. Poczułem już kiedyś jej uderzenie.

– Nie musisz.

– Chcę.

Podałem jej jedno z jaj. Obróciła je w palcach, nie patrząc na mnie.

– Robiłeś dobrą zupę – powiedziała cicho i zaczęła przeciskać się na drugą stronę ulicy.

Trzech chłopców podeszło po jajka. Przesuwaliśmy się powoli, chowając za wozem, który zatrzymał się przy drodze.

Tom, stojąc z tyłu, patrzył z dezaprobatą i burczał pod nosem coś o zasadach i czymś tam jeszcze.

Gdybym się nie przyglądał, nie widziałbym, jak Sally to zrobiła. Mimo zasięgu laski Stubba zwyczajnie strzepnęła jego dębowe jabłko. Spadło i wylądowało na bruku.

Sekundę później krzyknęła:

– On nie ma dębiny!

Przez moment Stubb nie rozumiał, o co chodzi. Zdał sobie sprawę, że wszyscy mu się przyglądają. Jego ręce powędrowały do klapy, ale znalazły tam tylko ostry koniec otwartej zapinki. Rozejrzał się panicznie po ziemi.

Rzuciłem pierwszy. Jajko rozbryznęło się na jego ramieniu, śląc żółtą maź w stronę jego ucha. Odrzuciło go, jakby oberwał z muszkietu.

Jajo Sally trafiło go w szyję, rozpryskując się na pofalowany kołnierz. Następnie rzucali chłopcy. Jeden spudłował, trafiając w przerażoną owcę, pozostałym się udało – trafili w ramię i biodro.

Tłum dołączył, celując w Stubba wszystkim, co było pod ręką. Najlepiej poszło Tomowi. Odsunął się tak daleko, że nie byłem pewny, czy w ogóle trafi, ale jego jajo poszybowało między rękami uciekającego Stubba i wylądowało dokładnie na czubku jego głowy.

Śmiałem się, jakbym stracił rozum. Tom wydawał się zadowolony. Na odchodne krzyknąłem radośnie: „Niech żyje król!”.

Przepychaliśmy się przez tłum, uciekając od chaosu. Zabawa zabawą, ale gdy sprawiedliwość została wymierzona, naprawdę nie chciałem być złapany. Dzień Dębowego Jabłka czy nie, ale Stubb był mistrzem Gildii, w której ja zaledwie pobierałem nauki. Jeśli doszłoby do oskarżeń, nie byłbym zwycięską stroną. Mimo to było coś wyjątkowo satysfakcjonującego w fakcie, że jaja, którymi oberwał, kupione były za szylinga zarobionego pracą u mojego mistrza.

– To najlepszy dzień w moim życiu – powiedziałem. Tom przeczesał wzrokiem tłum w poszukiwaniu pościgu.

– Co teraz?

– Nie wiem. – Oparłem się o okiennice warsztatu dmuchacza szkła, dysząc i próbując złapać oddech. – Skończyły się nam pieniądze. Możemy iść na jakieś bójkę na pięści w parku albo do Tower i jeszcze raz zobaczyć królewskie zoo. Nie. Zaczekaj.

Zorientowałem się, że ucieczka zabrała nas tuż poza granice parafii. Dom Hugh był niedaleko.

– Wyszedł z mistrzem Benedictem wczoraj wieczorem – powiedział Tomowi. – Może mistrz Hugh będzie wiedział, kto go zaatakował.

– Zdrajcy! – krzyknął chrapliwy głos z tyłu.

Obróciłem się przerażony, że Stubb nas znalazł. Zamiast człapiącego aptekarza zobaczyłem wariata – jego twarz spękaną i zmęczoną życiem, włosy w nieładzie i bez peruki. Podarte, postrzępione ubrania ledwo okrywały jego pokryte strupami ręce i nogi.

Spojrzał na mnie wybałuszonymi oczami.

– Zdrajcy! – powtórzył.

Rzucił się do przodu i złapał mnie za ramiona. Odór zgniłego mięsa wyziewał spod jego poczerniałych zębów.

– Wśród nas są zdrajcy!

Czułem na sobie wzrok tłumu. Próbowałem się odsunąć, ale mężczyzna miał żelazny uścisk.

– Odczep się! – rzuciłem.

– Czy ich znasz? Widzisz? – Potrząsnął mną. – Kult Archanioła poluje. Na kogo?

Tom spróbował wepchnąć się między nas, ale nawet jego silne ręce na brudnym stroju mężczyzny nie były w stanie mnie uwolnić. Szaleniec nachylił się jeszcze bliżej. Myślałem, że zwymiotuje od smrodu.

– Nie są tymi, o których myślisz – wyszeptał, śląc podejrzliwe spojrzenia w ciekawski tłum. – To nie są ich twarze.

Tomowi wreszcie udało się odepchnąć mężczyznę. Szaleniec poleciał na bruk, a błoto upstrzyło jego wytarte bryczesy nowymi plamami.

– Strzeż się – powiedział mężczyzna. – Zbliża się zmiana. Gniew Boży oparzy nas wszystkich. Spójrz! Jego generał nadciąga!

Wskazał za nas, ale Tom miał już dosyć. Wciągnął mnie w zbity tłum, który zaczął drwić z szaleńca na bruku.

– Dzięki – powiedziałem.

Potarłem ramiona dłońmi. Wciąż bolały w miejscach, które ścisnął mężczyzna.

Tom zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy nieznajomy nie wraca.

– Wszystko w porządku?

Szczerze mówiąc, byłem wstrząśnięty.

– O co mu chodziło?

– Jak to o co? Facet był szalony.

– Nie słyszałeś, co mówił?

Kult Archanioła. Choć dzień zrobił się cieplejszy, zadrzałem. Pomyślałem o poparzonym ramieniu mojego mistrza i wczorajszej wizycie Stubba w sklepie.

Zbliża się zmiana. Aptekarz powiedział dokładnie to samo. Tom drwił.

– Co z tego? Dziwi mnie, że nie ostrzegł nas, że Księżyc jest z sera.

Szmer przeszedł przez tłum wokół nas. Najpierw myśleliśmy, że to z powodu wariata, ale zdawało się, że nadciągnął z przeciwnej strony. Tom wysunął szyję, patrząc ponad głowami przechodniów. Nagle złapał mnie za łokieć.

– Spójrz!

Wspiąłem się na pobliską skrzynkę i wyśledziłem, co zobaczył Tom. To było dwóch żołnierzy. Byli odziani w pikowaną skórę, mieli pałasze przy jednym boku, a pistolety skałkowe przy drugim. Ich beżowe tabardy ozdobione były na środku piersi królewskim herbem. Choć nacisk tłumu był silny, twardo przedzierali się naprzód, robiąc miejsce mężczyźnie idącemu za nimi.

Miał znakomicie uszyte ubranie, bez wątplenia od mistrza krawiectwa. Mimo to opinająca ciało satyna wydawała się nie na miejscu, jakby ktoś próbował ubrać panterę. Jak ludzie króla przed nim niósł własną broń: ciężki, zaprawiony w bojach miecz

i pistolet z perłową rękojeścią. Czarne studnie jego oczu sprawiały, że tłum milkł, gdy przechodził. Jego lewy policzek był naznaczony bliznami, krętym szlakiem od nosa aż po szyję.

– To on! – szepnął Tom. – To lord Ashcombe. – Pociągnął mnie za ramię. – Chodź.

Podążyliśmy jego śladem, Tom swoją masą torował nam drogę przez tłum. Żołnierze wprowadzili lorda Ashcombe'a w alejkę, która wiała się za rzędem nadzwyczaj wielkich domów i otwierała się na rozległą przestrzeń. Zagradzał ją wysoki, zdobiony płot z kutego żelaza. Za nim był zadbany prywatny ogród.

Pięciu mężów czekało na kamiennej dróżce obok rozkopanego klombu, pod gałęziami wierzby, przed dużym posągami anioła. Jeden z nich trzymał łopatę. Drugi chodził w tę i w tę. Trzeci ścisnął smycz psa myśliwskiego, którego łapy i pysk były pokryte błotem. Pies szczekał szaleńczo w stronę ziemi. Wyglądał, jakby coś odkrył.

Gdy lord Ashcombe dotarł do bramy, mężczyzna z szarfą parafialnego konstabla wyprostował się w salucie.

– Otwórz – powiedział lord Ashcombe.

Jego głos był szorstki niczym szept demona.

Konstabl przekręcił klucz w kłódce, która zamykała bramę. Lord Ashcombe wszedł do środka. Konstabl zamknął za nim bramę, a ciżba naparła na płot.

Przecisnąłem się do przodu i chwyciłem ogrodzenia. Tomowi udało się stanąć za mną. Trzymał mnie za ramiona, by ustać w miejscu mimo przepychającego się tłumy.

Lord Ashcombe podszedł tam, gdzie go oczekiwano. Poranny deszcz zamienił klomb w błoto. Mężczyzna z łopatą dokończył to, co zaczął pies, kopiąc rów w ziemi. Kamienny anioł spoglądał w dół, miał złożone skrzydła, a na jego twarzy malował się smutek. Królewski strażnik przyklęknął i sięgnął do środka.

Wyjął coś, co wyglądało jak ubłocona maczuga, ale nią nie było.

Lord Ashcombe omiótł wzrokiem ziemię. Mężczyźni obok niego odsunęli się. Tłum nabrał powietrza. Wyraz twarzy lorda Ashcombe'a był tak niezmienny jak kamiennego anioła.

Patrzył na ramię. Ramię mężczyzny, oderwane od jego ciała, zniekształcone, poparzone i poczerniałe.

## Rozdział 7

Tom i ja wpadliśmy do sklepu, potykając się o siebie.

– Mistrzu! – wołałem. – Było kolejne mor...

Przerwałem. Mistrz Benedict klęczał na podłodze przy ladzie, próbując zebrać swoimi zabandażowanymi rękami kawałki ceramiki ze zbitego słoja. Drugi mniejszy słoje leżał obok, miał odłupany kawałek denka i powoli wylewał z siebie resztkę krwi dzika. Czerwony płyn biegł strużkami między szparami desek i brudził kolana spodni mistrza.

Podszedłem, by mu pomóc.

– Wszystko w porządku?

Uniósł ręce, wskazując końce palców wystające z masy materiału.

– Te bandaże są bardzo uciążliwe. Ukląknę obok niego.

– Zajmę się tym, mistrzu. Powinieneś odpoczywać.

– Nic mi nie jest. – Wciąż zbierał śliskie skorupy, dopóki nie położyłem swoich dłoni na jego. Westchnął i pokiwał głową. – Będziemy potrzebowali więcej kremu na oparzenia.

– Przygotuję go dziś wieczorem – zapewniłem.

Zebrałem kawałki zbitych słoików. Tom pomagał mi, omijając krew dzika, która wędrowała po podłodze, jakby polowała na jego buty.

– Przyniosę piach – powiedział.

– Lepiej przynieś trociny – poinstruowałem go. – Są w pudle przy piecu w warsztacie.

Tom przyciągnął ciężkie pudło z zaplecza z dużo większą łatwością, niżby to przyszło mnie. Braliśmy garści trocin i rzucaliśmy je na podłogę. Zbrylając się i czerwieniejąc, szybko nasiąkały krwią.

Mistrz Benedict patrzył na nas z ciekawością.

– To dlatego zbierasz trociny? Skinąłem głową.

– Mistrzowie w sierocińcu ich używali. Są lepsze na rozlane rzeczy niż piasek. Pochłaniają też zapach. Co było błogosławieństwem, gdy pięćdziesięcioro dzieci pozostawiało po sobie dużo płynów z każdego końca.

Mistrz Benedict zdawał się zafascynowany trocinami. Czyszczenie



plam było zadaniem ucznia, więc nie musiał zaprzętać sobie tym głowy, od kiedy z nim mieszkałem. Używanie trocin zamiast piasku było tak zwyczajne, że nie zasługiwało na uwagę mojego mistrza. Tę prostą technikę znałem od zawsze. Myślałem, że on wie wszystko.

Wyglądał przez okno, zatopiony w myślach. Wtem wytrzeszczył oczy.

Złapał mnie za ramiona.

– Mistrzu? – zapytałem przestraszony. Potrząsnął mną.

– Wspaniale, chłopcze. Dobra robota. Naprawdę dobra robota.

Nie zatrzymując się, by oczyścić poplamione ubranie, porwał płaszcz z wieszaka i zarzucił na siebie. Wybiegł na ulicę.

– Zaczekaj! Mistrzu! Muszę zmienić ci opatrunek! – krzyknąłem za nim, ale rzucił się za przejeżdżający powóz i zniknął w świątecznym tłumie. Nie wziął ze sobą pasa ze składnikami, bo wisiał on na haku za ladą.

Tom łypnął na mnie okiem.

– Wszędzie dziś szaleńcy – wymamrotał.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić.

**Sobota, 30 maja 1665 roku**  
**Dzień spalenia Joanny d'Arc, heretyczki**

## Rozdział 8

Nie wiedziałem, co robić.

Po sprzątnięciu krwi przygotowałem – jak obiecałem – nową porcję Łagodzącego Kremu na Poparzenia Blackthorna. Następnie poszliśmy z Tomem na dach i siedzieliśmy na krawędzi, machając nogami, z garściami pełnymi kukurydzy. Połową nakarmiliśmy Bridget, która skakała nam z ramienia na ramię. Resztę zrzucaliśmy na dół, starając się trafiać ziarnami w peruki dżentelmenów przechodzących ulicą.

Kiedy Tom poszedł do domu, skuliłem się przy ogniu w sklepie z książką mistrza Galileo, czekając, aż mój mistrz powróci.

Musiałem odpłynąć, bo obudziło mnie w fotelu bicie dzwonów na szóstą. Ogień dawno zgasł, zmarzłem, a plecy bolały mnie, jakbym spędził noc w Tower, przykuty do najmniej wygodnego koła tortur.

Przygotowałem sklep do otwarcia, zmiatając z podłogi wczorajsze, już zaschnięte błoto. Sprawdziłem nasze zapasy i zrobiłem listę rzeczy, których potrzebowaliśmy z poniedziałkowego targu. Poszedłem na górę i nakarmiłem gołębie. Kiedy wracałem, dotarło do mnie, że wczoraj, gdy z całym Londynem świętowaliśmy na ulicach, bruk był solidnie oblepiony błotem. Jednak na naszych schodach nie było świeżych śladów.

Drzwi do sypialni mistrza Benedicta były zamknięte.

– Mistrzu?! – zawołałem.

Cisza.

Zapukałem lekko.

– Mistrzu, już rano. Odpowiedziała mi cisza.

Innym razem zostawiłbym go w spokoju. Ale nie było normalne, że mistrz Benedict zasnął w dzień roboczy. Wszedłem do środka. Pokój był pusty, łóżko zasłane.

Nie wrócił.

Zapukałem do sąsiada, cukiernika Sinclaira, i do krawca Grobhama z drugiej strony, ale ani uczeń, ani mistrz nie widzieli mojego mistrza. Kelnerzy w Brakującym Palcu, tawernie

naprzeciwno, gdzie czasem jadał kolację, też go nie widzieli.

Niepokój skręcał mi żołądek. Myślałem o ciele, które widzieliśmy wczoraj z Tomem, spalonym i pogrzebanym pod aniołem w prywatnym ogrodzie, i dopiero po chwili przypomniałem sobie, że widziałem go długo po tym, jak zostało wykopane ramię tamtego nieszczęśnika.

Ze strasznych myśli wyrwał mnie głos.

– Chłopcze! Chłopcze!

Przed naszym zamkniętym sklepem puciołowata kobieta w wyblakłej zielonej sukience machała do mnie ceramicznym słojem. Rozpoznałem Margaret Wills, jedną ze służących barona Cobleya.

– Potrzebuję tego więcej! – wrzasnęła.

Chciała kupić syrop z ipekakuany, środek przeciwwymiotny. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, mamrocząc pod nosem. Miałem większe problemy niż torsje barona Cobleya.

Wpuściłem ją do sklepu, włożyłem niebieski fartuch i napełniłem jej słoje. Zanotowałem to w rejestrze, dopisując koszt do rachunku barona, który już miał wielorybie rozmiary. Chciałem zamknąć sklep i dalej szukać mistrza, ale gdy Margaret wyszła, pojawił się karczmarz Francis z paskudną wysypką na pośladkach. Zająłem się nim, a właściwie recepturą, bo sam musiał nałożyć sobie maść. Po nim przyszedł Jonathan Tanner i zanim się obejrzałem, sklep był pełen ludzi.

A później – nareszcie, nareszcie, nareszcie – wszedł do warsztatu mistrz Benedict.

Czułem, jakby zdjęto mi z pleców ładunek ołowiu. Nic mu się nie stało. Właściwie, nie licząc worów pod oczami, wyglądał na bardzo zadowolonego. Nie miałem szansy z nim pomówić, bo ledwo wszedł do sklepu, już był otoczony klientami. Posłał zmęczony uśmiech w moją stronę i wziął się do pracy.

Do obiadu udało nam się zredukować tłum do pięciu osób: u mnie był William Fitz z sączeniem z mażowiny usznej, u mistrza Benedicta lady Brent z opuchniętą ręką, a trzy osoby czekały jeszcze na obsłużenie, zanim mogliśmy zrobić przerwę. Właśnie kończyłem

dopisywać rachunek pana Fitz'a do rejestru, gdy lady Brent zapytała:

– Czy pan mnie słucha, panie Blackthorn?

Mój mistrz, stojąc za ladą, patrzył nieprzytomnie na frontową szybę. Próbowałem zobaczyć, co przyciągnęło jego wzrok, ale jeden z klientów zasłaniał okno: krępy chłopak około szesnastu lat, w niebieskim fartuchu, uśmiechał się krzywo do wciąż nienaprawionego niedźwiedzia w kącie.

– Panie Blackthorn? – powtórzyła. Mistrz mrugnął.

– Chwileczkę, madame. Muszę sprawdzić nasze zapasy. Kiedy wrócił minutę później, był blady.

– Więc? – zapytała lady Brent. – Może pan to zrobić? Mistrz Benedict potarł czoło.

– Tak. Tak, oczywiście. Będzie gotowe w poniedziałek.

Nie wyglądał dobrze. Próbowałem pochwycić jego wzrok, ale ledwo na mnie spojrzał. Odwrócił się, przeszukując półki, po czym podszedł do rejestru na ladzie.

– Christopherze! – warknął. Podskoczyłem.

– Chodź tu! – zażądał.

Przeszedłem za ladę. Mój mistrz nie wyglądał już na chorego. Był wściekły. Dźgnął kościstym palcem w rejestr.

– Obsługiwałaś barona Cobleya dziś rano?

– Tak, mistrzu, nie... – wydukałem – ...jego służącą.

– A czy nie prosiłem cię już – aż dwa razy – żebyś ściągnął jego należność następnym razem, gdy przyjdzie?

Prosił?

– Ja... przepraszam, mistrzu, nie pamiętam.

Uderzył mnie.

Dostałem w bok szczęki. Cios otwartą ręką trzasnął jak grzmot. Zatoczyłem się i wpadłem na półkę z takim impetem, że zagrzechotały słoje.

– Jesteś beznadziejny – powiedział.

Stałem tam, zgarbiony, opierając się o drewno. Mój policzek płonął. W ustach bolało mnie jeszcze bardziej. Czułem na sobie wzrok wszystkich klientów, lady Brent patrzyła z ciekawością, a chłopaka przy drzwiach wyraźnie rozbawiło widowisko za ladą.

– Zrób coś dobrze – powiedział mistrz Benedict. – Chociaż raz. – Wziął garść pensów i kilka wytartych szylingów z kasy. – Idź na giełdę i kup cały natron, jaki mają. I nie wracaj, nim tego nie zrobisz.

– Ale... – Jego zwięzające się oczy powstrzymały mnie. Spuściłem głowę. – Tak, mistrzu.

– I przynieś lady Brent jej syrop. A mnie sok z cytryny.

Przyniosłem mu słoje. Fuknął ze złością.

– Przepraszam za mojego ucznia, lady Brent – powiedział.

– Nie trzeba, panie Blackthorn – rzekła. – Słudzy potrzebują ostrej reprimendy. Mój mąż kupił bambusowy bicz z Orientu z tego właśnie powodu.

– Kupił może i słonia? Potrzeba by słoniowego kopniaka, żeby tego chłopaka nauczyć moresu.

Zaśmiała się. On też. Uciekłem.

Ledwo widziałem, dokąd idę. Byłem tak nieprzytomny, że mało nie wpadłem na chłopaka dwukrotnie większego od Toma, grającego w kości z długowłosym kolegą w alejce za naszym domem. Wymamrotałem przeprosiny i obszedłem ich, a każdy krok wzmagął dudnienie w mojej głowie.

Uderzył mnie.

Policzek wciąż mnie piekł. Bolała mnie też ręka. Dopiero gdy spojrzałem w dół, zorientowałem się, że monety, które mi dał, ścisnąłem tak mocno, aż rozcięły mi skórę.

Nic nie rozumiałem. Przysięgłbym na własne życie, że nigdy nie kazał mi ściągnąć należności od barona Cobleya. A wysłanie mnie po natron... który był na rynku w środy...

Na pewno już był wyprzedany.

Coś musiało być nie tak. Widywałem wcześniej mistrza Benedicta złego, ale nigdy tak mocno. Chciałem wrócić, porozmawiać z nim, błagać, żeby powiedział, co tak naprawdę źle zrobiłem. Ale kazał mi nie wracać.

I mnie uderzył. Wytarłem oczy o rękaw.

Królewska giełda była wypełniona po brzegi. Sprzedawcy, ściśnięci ramię przy ramieniu, zachwalali swoje dobra, krzyczeli,

targowali się, kłócili. Podchodziłem do każdego kramu i za każdym razem otrzymywałem tę samą odpowiedź.

– Dziś nie ma, chłopcze. Spróbuj w środę.

Polowałem godzinami. Rozważałem nawet pójście do innego aptekarza, ale on by podniósł cenę, a to nie ucieszyłoby mistrza Benedicta. W końcu poddałem się i wróciłem do domu. Wciąż jeszcze było jasno. Bałem się, co mój mistrz powie, ale musiałem dowiedzieć się, co dziś się stało. Chciałem z nim porozmawiać, przeprosić, sprawić, by wszystko było jak dawniej.

Wszedłem przez warsztat, bo byłem zbyt przestraszony, by pokazać się w sklepie z pustymi rękami. Co dziwne, drzwi na zaplecze nie były zamknięte na klucz, a okiennice zasłonięto. W palenisku dogorywające węgle dawały dość światła, by co nieco widzieć. Zmarszczyłem czoło, dostrzegając szczypce pozostawione w popiele. Chciałem je wyjąć, ale oderwałem od nich rękę, przeklinając.

Śliniłem palce. Szczypce mnie sparzyły. Musiały tam leżeć całe wieki. Niewielki szklany słoik stał obok pieca, a pokrywka leżała na podłodze.

Obok mrowiły się rozsypane malutkie, czarne, nerkowate nasiona. Podniosłem jedno i potarłem w palcach. Pachniało trochę pomidorami.

Dendera. Pierwsze remedium, którego mistrz Benedict mnie nauczył. W małych dawkach pomagało oddychać pacjentom z astmą. Trochę więcej tworzyło śmiertelnie truciznę. Dlaczego ten słoik był otwarty?

Nie słyszałem żadnej rozmowy w sklepie. Światło w przejściu było tak przyćmione jak w warsztacie. Znów zmarszczyłem brwi. Było jeszcze kilka godzin do zachodu słońca. W sklepie nie powinno być tak cicho.

Ruszyłem do drzwi. Usłyszałem chlupot. Pod stopami miałem kałużę. Strużki od niej prowadziły dalej długimi, ciemnymi śladami, jakby przeciekało coś ciężkiego, co było ciągnięte.

Podążyłem za śladami. Sklepowe okiennice były zatrzaśnięte, ogień już dogorywał. Drzwi frontowe zamknięto na skobel. Mokry

ślad mazał się po podłodze, zmieniając się w szkarłat. Zapach, gorący i metaliczny, wypełniał całe pomieszczenie. W samym środku tego wszystkiego był mój mistrz.

Zostawili go osuniętego na ladę, ze związanymi sznurem nadgarstkami i kostkami. Miał rozplataną pierś. Brzuch też. Otwartymi oczami patrzył na mnie, ale nie mógł mnie zobaczyć. Już nigdy. Przenigdy.



## Rozdział 9

Przyszli wszyscy. Cukiernik Sinclair i krawiec Grobham, i karczmarz Francis z kelnerami. Sąsiedzi i obcy. Stłoczyli się. Gapili.

Nim przyszli, odciąłem sznur krępujący mojego mistrza i złożyłem jego ciało na podłodze. Kawałki liny leżały nieopodal, obok wełnianego koca, którego użyłem do przykrycia ciała. Koc zabarwił się czerwienią. Także od tego, jak go tuliłem.

Siedziałem obok mistrza, z ręką spoczywającą na kocu, na jego klatce piersiowej. Wszyscy stali dookoła, beзуżyteczni. Tak jak ja.

Sinclair nachylił się.

– Chodź, chłopcze – powiedział łagodnie. – Zabierzemy cię stąd. Odtrąciłem go. Nie chciałem, żeby tu byli. To był nasz dom.

Zbyt wielu było tych gapiów. Chciałem się położyć, zapaść w podłogę, zasnąć. Nigdy się nie obudzić.

Ktoś opróżnił pokój zamiast mnie. Złe wieści szybko się rozchodzą. Przybyli ludzie króla, tych dwóch żołnierzy, których widziałem wczoraj.

Przepchnęli się przez tłum, za nimi podążał lord Ashcombe. Wszyscy się uciszyli. Lord Ashcombe wystąpił do przodu, stanął koło mnie. Z bliska blizny na jego policzku wyglądały jak mapa piekła. Przechylił głowę w kierunku tłumy.

– Wynoście się – powiedział.

Przez moment nikt się nie poruszył. Lord Ashcombe odwrócił się, ledwo zerkając przez ramię. Nie musiał dwa razy powtarzać.

Zostałem z moim mistrzem, a inni wyszli. Jeden z ludzi króla położył rękę na moim kołnierzu. Pachniała naoliwioną skórą i potem.

– Zostaw go – powiedział lord Ashcombe.

Żołnierz zajął miejsce przy swoim partnerze, strzegąc drzwi. Lord Ashcombe kucnął i ściągnął wełniany koc. Jego oczy przemknęły po moim mistrzu, jego ciele, twarzy i smugach krwi. Powiodłem paznokciem między słojami drewna.

– Znalazłeś go? – zapytał lord Ashcombe. Pokiwałem głową.

– Ktoś ty?

– Christopher Rowe – odpowiedziałem. – Był moim mistrzem.

Królewski strażnik spojrział na sznur, który odciąłem od ciała mistrza Benedicta. Końce, postrzępione i pierzaste, zaczęły już nasiąkać jego krwią.

– Dlaczego je odciąłeś? Spojrzałem na lorda Ashcombe’a.

– A co miałem robić?

Przez moment nie odpowiadał.

– Mów, co wiesz.

Powiedziałem. Przynajmniej większość tego, co wiedziałem. O otwarciu sklepu. Powrocie mistrza Benedicta. O tym, jak wysłał mnie po natron. O powrocie. Nie powiedziałem, że mnie uderzył. Nie powtórzyłem jego ostatnich słów.

Kłęcząc koło mnie, lord Ashcombe rozejrzał się po pokoju. Czuję, że przygotowuje przesłuchanie.

– Czy twój mistrz często wychodził na noc?

– Nigdy – odpowiedziałem. – Zwykle wychodził wieczorem, ale zawsze wracał około północy.

– Czemu wczoraj nie wrócił?

– Nie wiem.

– Ktoś był z nim w konflikcie?

– Nathaniel Stubb – odpowiedziałem. – Aptekarz. Chciał przejąć nasz sklep. Groził mojemu mistrzowi. – Opowiedziałem lordowi Ashcombe’owi o wizycie Stubba w czwartkową noc. – I ktoś zaatakował go tego wieczoru. – Zdjąłem opatrunek z ramienia mistrza, by pokazać oparzenie pod spodem. Jego ciało było już zimne.

– Czy twój mistrz był religijny? – zapytał lord Ashcombe.

Pytanie zbiło mnie z tropu.

– Ja... tak. Zabierał mnie na msze co niedzielę i przestrzegał świąt.

– Kościół Anglii?

– Oczywiście.

– A co sądził o Jego Wysokości?

To mnie rozzłościło.

– Był lojalny. Zawsze. Jak każdy prawdziwy Anglik.

Lord Ashcombe wstał. Podszedł do półek. Powoli przesuwając palec po grzbietach książek. Wtem przestał.

– Mówiłeś, że twój mistrz należał do Kościoła Anglii.

– Tak.

Lord Ashcombe wyciągnął z półki księgę. Była duża i oprawiona w brązową skórę. Uniósł ją tak, bym widział okładkę: *Święci Kościoła tradycji rzymskokatolickiej*.

Mistrz Benedict dał mi ją przeczytać trzy miesiące wcześniej.

– To tylko książka – powiedziałem. – Część moich nauk. Należymy do Kościoła Anglii. Proszę zapytać wielebnego Wrighta.

Lord Ashcombe przerzucał strony, przyglądając się ilustracjom.

– Macie jeszcze jakieś prace na temat religii? – zapytał. – Albo o zaświatach? O niebie lub piekle?

– Mistrz Benedict ma książki o wszystkim. Miał – dodałem w myślach. Nie ma. Już nie.

– Czy rozmawiał z tobą o tym, co czytał?

– Codziennie.

Lord Ashcombe wyjrzał znad książki.

– A czy kiedykolwiek rozmawiał z tobą o Kulcie Archanioła?

Słowa szaleńca zabrzmiały echem w mojej głowie. „Kult Archanioła poluje”. Objąłem swoje ramiona. Mokra od krwi koszula przylegała do mojego ciała.

Wzbierała we mnie gorycz. Lord Ashcombe był obrońcą Jego Wysokości. Gdzie był nasz obrońca? Gdzie był królewski strażnik, kiedy go potrzebowaliśmy? Dlaczego chcieli nas dopaść? Czemu skrzywdzili mojego mistrza?

I gdzie ja byłem, kiedy on umierał? Kiedy mistrz Benedict mnie potrzebował?

Pochyliłem głowę.

– A zatem? – zapytał lord Ashcombe.

– Mistrz Benedict nie wierzył, że istniał taki kult.

Lord Ashcombe chrząknął, jakbym właśnie powiedział coś wybitnie głupiego, siedząc obok niewątpliwej ofiary kultu.

– Więc – mówił – lady Brent była ostatnim klientem, którego obsługiwał, zanim cię odesłał?

– Nie. Byli jeszcze William Fitz i Samuel Waltham. I jeszcze dwóch innych. Nie wiem, kim byli.

– Opisz ich.

Próbowałem sobie ich przypomnieć.

– Jeden był uczniem, miał koło szesnastu lat. Trochę wyższy ode mnie. Duży. Umieśniony, ale nie gruby. Rudawe włosy. Drugi to mężczyzna, może koło trzydziestki. Miał porządny płaszcz. Długą czarną perukę, z lokami nad uszami. Miał garbaty nos, jakby kiedyś złamany.

– Ktoś czekał na zewnątrz? Okrążał sklep?

Nie przypominałem sobie nikogo okrążającego sklep. Ale też nie zwracałem na nic szczególnej uwagi, gdy wychodziłem. Byłem zbyt zajęty użalaniem się nad sobą. Teraz było mi za to strasznie wstyd.

– Nie było cię po południu – powiedział lord Ashcombe, a ja przytaknąłem.

– Więc ktoś mógł wejść.

Nagle zamarłem.

– Rejestr. – Lord Ashcombe miał skonsternowaną minę. – Zapisujemy wszystko, co sprzedajemy – powiedziałem. – Jeśli byli jacyś klienci... – urwałem.

– O co chodzi?

– Nie ma rejestru.

Nie było go na ladzie. Wciąż otwarty stał tylko kałamarz. Była też krew, zasychająca już w plamę rozmazaną po drewnie. Poza tym lada była pusta. Przeszedłem dookoła, żeby sprawdzić, czy rejestr gdzieś nie spadł, ale nigdzie go nie było. Leżał tylko mój siennik, kostka zagadka i nóż na niej. Na ladzie stała pusta kasa. Obróciłem ją.

– Zabrali nasze pieniądze – powiedziałem.

– A to? Co to jest? – Wskazał lord Ashcombe.

Oto i był. Rejestr leżał na półce, pod słojem soku z cytryny, który mistrz Benedict kazał mi przynieść z zaplecza, zanim wyszedłem. Pióro, a przynajmniej jego kawałki, leżały na skórzanej okładce. Ktoś złamał je na pół.

Lord Ashcombe dotarł tam pierwszy. Wyciągnął skórę spod słoika,

zostawiając ceramikę grzechoczącą o drewno. Rozłożył księgę na ladzie i otworzył ją, kartkując aż do końca. Wciąż czułem kwaśny zapach cytryny.

Przyglądał się przez chwilę.

– Nie umiem tego przeczytać – powiedział.

Nie spodziewałem się, żeby umiał. W rejestrze mistrz Benedict zapisywał imiona i remedia skrótami, często po łacinie. Nauczył mnie tego szyfru. Używaliśmy go po części dlatego, że tak było szybciej, a po części dlatego, że chroniło to nasz biznes przed niepowołanymi oczami.

Większość wpisów tego dnia była moja. Ostatnie trzy były spisane ręką mistrza.

†Δujar.Odyma.rbi ma w l.dop.3Hg.Uhu.←

↓M08→ koniec.miecz

neminidixeris

Przyglądałem się temu.

Lord Ashcombe z uwagą mnie obserwował.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Ja... nie. – Czułem, że twarz mi płonie. – To... notatki. Żebym pamiętał, by kupić więcej składników, których już nie mamy. Olej szklany i... inne. Liczby pokazują ile. – Trzymałem dłoń na stronie. – Nie zapisał zamówienia lady Brent. Ani nikogo po niej.

Czarne studnie oczu lorda Ashcombe'a zdawały się przeświećlać mnie na wskroś.

On wie – pomyślałem. – On wie, że kłamiesz.

Miał już coś powiedzieć, gdy frontowe drzwi skrzypnęły i się otworzyły. Odwrócił się tak samo jak strażnicy.

Zrobiłem to, nie myśląc. Zacisnąłem palce na stronie i pociągnąłem, a chwilę później zatrzasnąłem rejestr. Przy ruchu przy drzwiach i hałasie z ulicy wydawało mi się, że nikt nie zauważył, iż wyrwałem kartkę.

## Rozdział 10

Schowałem ręce za plecami i złożyłem kartkę. Uniosłem koszulę i wsunąłem złożony papier za pas.

Wiekowy mężczyzna wkuśtykał przez drzwi, opierając się na sękatej, drewnianej lasce. Jeden z żołnierzy położył mu rękę na piersi, zatrzymując go. Mężczyzna czekał spokojnie.

Kartka z rejestru zsunęła się trochę niżej po moich plecach.

– Wpuście go – powiedział lord Ashcombe.

Poznałem mężczyznę i dwóch kolejnych, którzy za nim podążali, chociaż nie widziałem żadnego z nich od trzech lat. Byli to członkowie Rady Gildii Aptekarzy.

Kulejący staruszek, ubrany od stóp do głów w szmaragdowozielony jedwab, to sir Edward Thorpe, Wielki Mistrz Aptekarzy. Stał na czele Gildii, zanim się urodziłem. Chodziły słuchy, że utrzymywał się przy życiu dzięki temu, że wynalazł eliksir młodości. Jeśli była to prawda, to musiał chodzić po ziemi z samym Mojżeszem, bo sir Edward wyglądał, jakby miał kilka tysięcy lat. Nawet jego peruka była siwa.

Towarzyszyli mu strażnicy Gildii, Valentine Grey i Oswyn Colthurst. Ledwo znałem Valentine'a, i to głównie z plotek. Był sekretarzem Gildii i mówiono, że najbogatszym aptekarzem w mieście. Z pewnością złoty łańcuch na jego szyi był tak gruby, że można było go dostrzec aż z niebios. Mówiono też, że był trochę zrzędlivy, a po ponurym grymasie opadniętych kącików jego ust byłem w stanie w te pogłoski uwierzyć.

Oswyna dobrze pamiętałem. To on zachęcił dyrektora sierocińca, by wysłał mnie do Gildii. Z nim też miałem egzamin wstępny do Gildii Aptekarzy. Myślałem, że skoro chciał, bym do niej dołączył, to da mi coś łatwego. Skończyłem, trzęsąc się przed nim, a on ostrym głosem i uważnym okiem męczył mnie, pytając o nauki ścisłe, matematykę, historię, teologię i najbardziej o łacinę. Myślał, że na tym się wyłożę, ale zarobiłem tyle łań w sierocińcu, że mówiłem po łacinie niczym Juliusz Cezar. Wtedy, pocąc się przy odpowiedziach, myślałem, że jest on tyranem. Ale po zdaniu

egzaminu, gdy sir Edward i Valentine ledwie pokiwali głowami, Oswyn uśmiechnął się do mnie i ciepło powitał mnie w Gildii.

Dziś nie było uśmiechów. Smutno skinął do mnie głową, nim dołączył do reszty Rady nad ciałem mojego mistrza. Valentine westchnął: „Niech Bóg ma nas w opiece” i przeżegnał się. Oswyn skrzyżował ręce i się odwrócił.

Sir Edward pokręcił z powagą głową i przemówił do lorda Ashcombe’a głosem pewniejszym, niż zdawało mi się to możliwe, patrząc na jego wiekowe ciało:

– Nasza Gildia jest atakowana, Richardzie. Błagamy o pomoc Jego Królewskiej Mości.

– I jestem tu, Edwardzie – odpowiedział lord Ashcombe.

– Co dokładnie robiąc? – odezwał się Oswyn głosem pełnym pogardy. Riposta królewskiego strażnika była równie wroga.

– Wykonując swoją pracę, purytaninie.

Widziałem, jak surową minę przybrał lord Ashcombe, gdy pojawił się Oswyn. Teraz wiedziałem dlaczego.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że był purytaninem. Ubierał się skromnie w porównaniu z innymi członkami Rady, miał zwykły płaszcz z brązowej wełny na prostym, czystym lnianym, a jego ogolona głowa bez peruki wyraźnie odróżniała go od pozostałych mężczyzn. Była w nim też swego rodzaju srogość: jego ostre upomnienia, gdy wykladałem się na pytaniu podczas egzaminu wstępnego do Gildii Aptekarzy, trafiały mnie równie mocno jak szybkie razy wielebnego Talbota. Lecz kiedy porozmawiałem z nim później, zrozumiałem, że nie odpytywał mnie tak ostro z powodu niegodziwości. Musiał się upewnić, że byłem gotowy na naukę.

– Jest wielu, którym nie spodoba się mieć w swoim gronie sierotę – powiedział, wskazując na innych chłopców i mistrzów kręcących się po korytarzu.

– Będą chcieli, by powinęła ci się noga. Ale nie wątp w siebie, Christopherze. Miarą człowieka nie jest to, skąd pochodzi. – Po tych słowach zaakceptowałem swoje dorastanie w Cripplegate bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Więc purytanin czy nie, nie wydawał mi się okropny.

Mimo to podejrzewałem, że lord Ashcombe, który był przez dziewięć lat na wygnaniu z królem Karolem we Francji i w Niderlandach, miał prawo do własnego zdania na ten temat. Gdy nasz król powrócił, lord Ashcombe przewodził eliminowaniu purytanów z władz. Ci, którym udowodniono zdradę – i kilku innych – zostali straceni. Sposób, w jaki patrzył na Oswyna, mówił mi, że królewski strażnik miał ochotę nadziać kolejną głowę na pikę na London Bridge.

Sir Edward położył uspokajająco rękę na ramieniu Oswyna.

– Wybacz mojemu koledze po fachu jego gwałtowność, Richardzie. Ale trafił on w sedno. Benedict Blackthorn to już czwarty członek naszej Gildii, który zginął.

– Więc może wy powiecie mi coś o Kulcie Archanioła? – zapytał lord Ashcombe.

Sir Edward zmarszczył brwi.

– Myślisz, że morderca jest aptekarzem?

– Członkowie naszej Gildii to porządni ludzie – wtrącił Valentine. Wyglądał na jeszcze bardziej skwaszonego niż wcześniej. – I są lojalni wobec Korony.

– Niektórzy z was – rzucił lord Ashcombe.

Oswyn zeszywniał. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wkroczył Nathaniel Stubb.

Gotowała się we mnie złość. Krew wrzała mi w żyłach. To, że ujrzałem tego szczura w naszym domu, jątrzyło tylko wciąż świeżą ranę w moim sercu.

Ludzie króla go pochwycili.

– Puśćcie mnie!

– Kto to jest? – zapytał lord Ashcombe. Stubb starał się wyrwać.

– Jestem tu, by zgłosić roszczenia do majątku tego sklepu.

– Nie teraz, Nathanielu. – Oswyn wyglądał na poirytowanego.

– Mam prawo – powiedział.

Wiedziałem, że nie powinienem być nic mówić, szczególnie nie przed członkami Rady Gildii. Uczniowi nie wolno było odzywać się bez pozwolenia. Ale coś we mnie pękło. Albo może już było pęknięte.



– Nie masz tu żadnych praw. – Splunąłem.

Członkowie Rady spojrzeli na mnie zszokowani. Nawet lord Ashcombe uniósł brew.

– Jak śmiesz! – krzyknął Stubb. Zwrócił się do królewskiego strażnika: – Aresztuj go, sir! Ten chłopak mnie napadł.

– Co ty wygadujesz? – zapytał Oswyn.

– Wczoraj. On i jakieś łobuzerskie dzieciaki zaatakowali mnie na ulicy. Wszyscy patrzyli na mnie pytająco. Wychodziło na to, że Stubb jednak widział mnie ze zgniłymi jajami.

– Nie miał dębinki – bąknąłem, a gdy do Rady Gildii dotarło, co miałem na myśli, jej członkowie wydawali się raczej zażenowani.

W normalnych warunkach miałbym kłopoty. Gdy stałem nad ciałem mojego mistrza, nikt się tym nie przejął.

Zwłaszcza nie lord Ashcombe.

– To w takim razie jest Stubb – stwierdził i zwrócił się do aptekarza: – Pokłóciłeś się z Benedictem Blackthornem w czwartek.

– Co też mówicie? Puśćcie mnie! – Stubbowi w końcu udało się wyrwać żołnierzom.

Po ich zmarszczonych nosach poznałem, że wcale nie przeszkadzało im, że przestali go dotykać.

Valentine też zdawał się tracić wobec niego cierpliwość.

– Jakie są podstawy twoich roszczeń do sklepu? – zapytał, patrząc na niego z ukosa.

– Mój konflikt z Benedictem jest wszystkim dobrze znany, sir. On wykradał moje tajemnice. Zgodnie z regulaminem Gildii jestem uprawniony do sprawiedliwej kompensaty.

– Jesteś kłamcą – powiedziałem.

Valentine'a zamurowało.

– Uważaj, co mówisz, chłopcze.

– Niech wszyscy się uciszą – sir Edward przemówił łagodnie, lecz nawet Stubb, czerwony jak burak, zamilkł. – Doskonale znamy prawa naszej gildii, mistrzu Stubb. Powinieneś więc wiedzieć, że każde roszczenie do majątku członka wymaga decyzji Rady. – Spojrzał potępiająco na Stubba, który skurczył się pod wzrokiem

starca. – Najpierw musimy orzec, kto teraz jest właścicielem tego dobytku.

– Testament Benedicta powinien być w naszym archiwum – powiedział Oswyn. – Dopilnuję, by go otwarto.

– Czy to rozwiązanie zadowalające dla Korony? – zapytał sir Edward.

Lord Ashcombe wzruszył ramionami.

– Wasze sprawy mnie nie interesują. Sir Edward zwrócił się do mnie:

– Ty. E...

– Christopher Rowe – podsunął Oswyn.

– Masz pojawić się, Rowe, w siedzibie Gildii w poniedziałek. Zajmiemy się twoją sytuacją, jeśli czas pozwoli.

Byłem wściekły na nich wszystkich. Na szczęście miałem na tyle rozumu, by wiedzieć, że krzyczenie na Wielkiego Mistrza byłoby bardzo, bardzo złym pomysłem. Zamiast tego wycedziłem przez zaciśnięte zęby:

– Czy mogę mówić, Wielki Mistrzu?

– Będziesz mógł mówić w poniedziałek – odpowiedział. – A gdy do tego dojdzie, uczniu, pamiętaj, gdzie twoje miejsce. – Rozejrzał się po sklepie. – Na razie będziesz musiał zamieszkać gdzie indziej.

Ścisnęło mnie w żołądku. Gdy siedziałem na podłodze obok mojego mistrza, jedno pytanie, paskudne i wstydlive, zaczęło pełzać mi po głowie. Co się ze mną stanie? Chyba znałem już odpowiedź.

– Blackthorn jest moim domem – powiedziałem.

– Nie możesz tu zostać, chłopcze. – Valentine wskazał ruchem ręki na ciało mojego mistrza. – Nie z całym tym... złem.

– Ale... – próbowałem znaleźć powód. – Ja... muszę karmić gołębie. – To najlepsze, na co mnie było stać.

– Ktoś z Gildii się nimi zajmie – powiedział Oswyn. – Nie jesteś już odpowiedzialny za ten sklep.

Kierował wzrok to na mnie, to na Wielkiego Mistrza, jak ostrzeżenie. „Trzymaj język za zębami”. Żeby to zrobić, musiałem go przygryźć. W milczeniu przeszedłem za ladę i wziąłem moją kostkę zagadkę.

– Cóż on robi? – zapytał Stubb. – Zatrzymajcie go!

To właśnie zrobił lord Ashcombe.

– Co tam masz?

Pokazałem mu sześcian.

– Mistrz Benedict dał mi to na urodziny.

– On kradnie – powiedział Stubb.

– Dał mi to! – krzyknąłem. – Jest moje! Valentine wystawił dłoń.

– Pokaż mi to.

Sekretarz Gildii przyjrzał się kostce, następnie przekazał ją Oswynowi, który z zaciekawieniem obrócił ją w dłoni.

– Czy to srebro? – zapytał sir Edward Valentine’a.

– Myślę, że cyna.

Oswyn pokręcił głową.

– Antymon.

Gdyby Stubb dotknął kostki, wrzasnąłbym.

– To moje – powtórzyłem.

Sir Edward chłodno mierzył mnie wzrokiem.

– Uczeń nie ma żadnego dobytku. – Zabrał kostkę Oswynowi i położył ją na ladzie. – Zostaje tutaj. Prawo własności będzie przydzielone zgodnie z testamentem.

Miał rację. Według prawa wszystko, nawet moje zakrwawione ubrania, należało do mojego mistrza. Zastanawiałem się z rozgoryczeniem, czy wyrzucą mnie nagiego na ulicę.

Najwyraźniej Stubbowi też przeszło to przez myśl.

– Przeszukajcie go. Może mieć coś jeszcze.

Zamarłem. W gniewie całkiem o tym zapomniałem. Miałem coś jeszcze. Naraz kartka zsuwająca mi się po plecach za paskiem zamieniła się w ostrze. Jeśliby ją znaleźli, pojawiłyby się pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. A lord Ashcombe kazałby mnie torturować. W lochach Tower. Za pomocą gorących węgli.

Na szczęście członkowie Rady Gildii wyglądali na zdegustowanych tym, że Stubb w ogóle to zasugerował.

– Och, zamknij się, Nathanielu – powiedział Oswyn, a ja znów mogłem odetchnąć. Nie miałem trafić do Tower.

Kult Archaniola odebrał mi mistrza. A teraz Rada odebrała

mi dom.

## Rozdział 11

Ojciec Toma stał z założonymi rękami w drzwiach.

– Absolutnie nie.

– Ale ojcze... – zaczął Tom.

William Bailey dźgnął parówkowatym kciukiem w kierunku pięciu małych dziewczynek wyglądających zza niego. To sprawiło, że cały się zatrzęsł.

– Mam dość gąb do wykarmienia. Może zapłacić za swój wikt i opierunek? Będzie pracował?

– Zapracuje ciężiej niż ktokolwiek inny – odpowiedział Tom.

– Cóż, nie potrzebuję więcej pomocy.

Serce mi zamarło. Nie bez powodu Tom i ja rzadko spędzaliśmy czas u niego w domu. Jego ojciec był po prostu podły.

Młodsze siostry Toma ciągnęły ojca za oblepiony mąką fartuch.

– Prosimy, ojcze, pozwól mu zostać, prosimy.

Były dobrymi dziewczynkami. Podobnie jak Tom, miały to po matce. Wiedziały też, że jeśli zostaną, będę im czytał do snu.

Koniec końców, matka Toma przesądziła sprawę. Mary Bailey, o połowę niższa od swojego męża, lecz tak samo jak on okrągła, wychyliła się z okna na trzecim piętrze i wrzasnęła:

– Wpuść go, Bill. Na tyle dobroci nas jeszcze stać. To po chrześcijańsku. Ojciec Toma wskazał w dół ulicy.

– Tam jest kościół.

Mokry ręcznik z plaśnięciem wylądował na jego ramieniu.

– Williamie Bailey! Jak ci nie wstyd? – Matka Toma pstryknęła na mnie palcami. – Chodź tu na górę w tej chwili, Christopherze.

William Bailey spojrział na mnie gniewnie, ale pozwolił mi przejść. Toma zdzielił po głowie.

Z ogonkiem rozgadanych dziewczynek wszedłem do sypialni rodziców Toma. Pani Bailey wygoniła rozchichotane córki na dół i posadziła mnie przy stole obok okna.

Stare drewniane łóżko z materacem przygniecionym ciężarem lat przyciskało się do ściany. W jednym rogu stała wytarta, aksamitna kozetka, a szafka z szufladami pomalowana łuszczącą się żółtą farbą

zajmowała drugi kąt. Stół przede mną był jedyną oznaką bogactwa, z rzeźbionymi wiśniowymi nogami, które zwijały się ku górze pod blat z białego kamienia. Na nim stała cynowa misa, a obok leżał szorstki, nakrapiany ręcznik. Z tyłu zamocowane było srebrne lustro.

– Właśnie miałam się myć – powiedziała matka Toma. – Możesz skorzystać z mojej wody. – Zmierzyła mnie wzrokiem. – Jeszcze nie wyrzuciłam starych rzeczy Toma. Na pewno coś będzie na ciebie pasować. – Wyszła i zostałem sam. Ściągnąłem mój uczniowski fartuch. Zachrząścił od zaschniętej krwi.

Koszula, równie zniszczona, dołączyła do fartucha na podłodze. Złożona kartka wyrwana z rejestru wypadła mi zza paska, poleciała na podłogę i wylądowała obok ubrań.

Spojrzałem w lustro. Moje odbicie spojrzało na mnie. Wydawało się nieruchome i spokojne.

Wszystko w porządku, mówiło.

Ale ono też miało ślady krwi rozmazane na policzku. Pamiętałem, jak miękka była pierś mojego mistrza w miejscu, w które wtuliłem twarz.

Zanurzyłem palec w misie, robiąc zmarszczki na powierzchni. Podniosłem rękę i narysowałem linię przez krew na moim policzku. Kropla czerwonej wody spłynęła po mojej dłoni i skapnęła mi z nadgarstka. Spadła na marmur w brzydki, różowy kleks.

Byłem sam.

Po raz pierwszy, odkąd go znalazłem, byłem sam.

Nie mogłem mówić. Nie mogłem oddychać. Mogłem tylko płakać.

Rozpacz pożarła mnie niczym demon. Ryczała mi w głowie, kruszyła pierś, wbijała pazury w moją duszę i ciągnęła. „Chodź – mówiła. – Tu jest spokój”. Chciałem pójść. Chciałem umrzeć. Tak bardzo żałowałem, że Kult nie zabrał też mnie.

Bryza z okna przeczesła mi włosy. Usłyszałem szelest papieru przy stopach. Była to kartka, którą wyrwałem z rejestru. Przesuwana wiatrem, podlatywała i przemieszczała się po podłodze.

Rozpacz śpiewała, sięgała ku mnie, wołała mnie z powrotem.

– Nie – powiedziałem. Uderzyłem w stół. Mocno.

Uderzenie rozeszło się echem jak młot. Skóra środkowego palca pękła mi na knykciu. Krew popłynęła, skapnęła i zmieszała się z krwią mojego mistrza w misce wody na kamiennym blacie.

Ręka pulsowała mi z bólu. To przywróciło mnie do życia.

„Ty żyjesz, Christopherze. On utrzymał cię przy życiu. Dlatego cię odesłał. I zostawił ci wiadomość”.

Papier zadrżał i znieruchomiał. Wyprostowałem się na krześle, zaparłem się o nie, aż wpijało mi się w plecy.

Chciałem zasnąć na wieki. Zobaczyć znów mojego mistrza. Tak miało być. Ale jeszcze nie teraz.

Mistrz Benedict zostawił mi w rejestrze wiadomość z jakiegoś powodu. Cokolwiek było na tej stronie, było ważne, że został, by to spisać, zamiast uciekać, ratując życie.

Potrzebował mnie. Trzy lata temu ja potrzebowałem jego i on mnie ocalił, przyprowadził mnie do Blackthorn, dał mi pierwszy prawdziwy dom. Teraz odebrano mi i to życie, i jego. Nie miało to w tej chwili znaczenia. Mistrz potrzebował mnie. Nawet po śmierci.

Wytarłem oczy, a z sercem wciąż gorejącym krzychałem w płomienie, by usłyszał mnie aż w niebie. „Obiecuję ci, mistrzu. O co tylko prosisz, zrobię to. Nie będę płakał. Nie spocznę. Nie zawiodę”.

„I znajdę tych, którzy cię zabili. Zapłacą za to. Przed Bogiem i wszystkimi Jego Świętymi, przysięgam”.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Matka Toma odezwała się z drugiej strony:

– Christopherze? Wszystko w porządku? Spojrzałem w lustro. Moje odbicie odpowiedziało:

– Wszystko dobrze.

## Rozdział 12

Matka Toma poprawiła mi kołnierz.

– Już – powiedziała. – Nie jest źle.

Tom bardzo urósł w krótkim czasie, więc musiała się cofnąć o trzy lata, nim znalazła coś, co pasowało na mnie. Teraz byłem wyposażony w parę brązowych spodni z wełny i lnu oraz w białą lnianą koszulę z bordową plamą na rękawie. Dobrze pamiętałem tę koszulę. Tom miał ją na sobie w dniu, w którym go poznałem.

Minęły trzy miesiące, odkąd zostałem uczniem. Mistrz Benedict dał mi do studiowania książkę o starożytnych wojnach. Po przeczytaniu o katapultach byłem zafascynowany ideą zbudowania takiej maszyny. Mistrz Benedict pozwolił mi użyć do mojego przedsięwzięcia trochę drewna z warsztatu i klonowych gałęzi. W niedzielę po mszy wtaszczyłem moją miniaturową maszynę obłężniczą na Bunhill Fields w celu jej przetestowania, niosąc jutowy worek z asortymentem gnijących owoców na amunicję przewieszony przez ramię.

Jak się okazało, katapulta wyrzucała pociski bardzo dobrze. Nie była jednak wystarczająco celna. Patrzyłem z przerażeniem, jak pierwsza rzecz, którą wystrzeliłem – okropnie przejrzały granat – dziko wykręciła w lewo i trafiła dość dużego chłopaka w sam czubek głowy, rozbryzgując sok po całej jego koszuli.

Skonsternowany, spojrział w chmury, jakby zastanawiał się, czemu Bóg obrzuca go owocami granatu. Wtem spostrzegł w trawie moją katapultę. Podszedł do mnie, trzymając na rękach bardzo małą dziewczynkę, która śmiała się, gdy bordowe nasiona opadały z włosów chłopca na jego kołnierz.

Pierwszym odruchem było uciekać tak szybko, jak mogłem. Wyrosłem otoczony większymi chłopcami w Cripplegate, więc oczekiwałem porządnego lania. Zamiast tego przemówił raczej spokojnie, zwłaszcza że pachniał kompostem.

– Czemu atakujesz mnie owocami?

– Przepraszam – odpowiedziałem. Miałem powtarzać to wiele razy przez kolejne lata. – Nie celowałem w ciebie, przysięgam.



Dziewczynka w jego ramionach wyciągnęła maleńkie piąstki ku niebu i wydała radosny okrzyk.

– Jeszcze raz!

Pokazałem gałąź, która służyła w katapulcie za wyrzutnię.

– Powinno iść prosto. Chyba zepsułem coś po drodze. Chłopak przyjrzał się wygiętej wyrzutni.

– To klon?

Pokiwałem głową.

– Tylko to miałem. Pewnie powinienem zrobić ją z cisu.

Chłopak pokręcił głową i pomyślał chwilę.

– Cisy rosną przy cmentarzu – powiedział. – Masz nóż?

Użyliśmy nowych cisowych gałęzi, by naprawić wyrzutnię, a dziewczynka, najmłodsza siostra Toma, Molly, wbijała swoje małe paluszki w trawę. Później wystrzelaliśmy resztę owoców i cała nasza trójka wiwatowała przy każdym strzale. Po wszystkim pobiegłem do domu, by pochwalić się mistrzowi Benedictowi moją katapultą i opowiedzieć o Tomie, moim nowym przyjacielu.

Pamiętam, jak mistrz Benedict słuchał, lekko się uśmiechając.

– Bardzo dobrze – powiedział.

Odwróciłem się, by matka Toma nie widziała mojej twarzy.

Gdy zszedłem na dół, ojciec Toma zagonił już wszystkie swoje dzieci do roboty. Dziewczynki w bocznym pokoju robiły pranie, ochlapując swoje piekarskie fartuchy wodą z mydlinami. Cecily, dwunastoletnia i najstarsza z nich, wdmuchnęła mi pianę we włosy, gdy przechodziłem. Reszta śmiała się i podnosiła garście bąbelków. Wybiegłem stamtąd, zanim pokryły mnie mydlinami.

Znalazłem Toma przy tylnym wejściu, szorującego schody. Pokręcił głową, gdy zobaczył, co miałem na sobie.

– Powinienem być uciec – powiedział.

– Przede mną czy przed katapultą?

– Ty jesteś katapultą – powiedział, ale nie przyłożył się do tego żartu. Westchnął. – Bardzo mi przykro z powodu mistrza Benedicta. Lubilem go.

– Bałeś się go.

– Tak. Ale był dla ciebie dobry. – Tom przyjrzał się mojej twarzy,

znowu westchnął, tym razem głębiej. – No dobra.

– No dobra co?

– Pomogę.

– W czym pomożesz?

– W tej nowej intrydze, czymkolwiek ona jest.

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę z rejestru.

– Znajdziemy zabójców mistrza Benedicta – powiedziałem.

Tom gapił się na trzy linijki na stronie.

†Δujar.Odyma.rbi ma w l.dop.3Hg.Uhu.

← ↓M08→ koniec.miecz

neminidixeris

Weszliśmy do środka, by je spokojnie odczytać. Rozprostowaliśmy papier na pustym stole roboczym w piekarni. Chociaż interes do końca tego dnia był już zamknięty, to zapach świeżo upieczonego ciasta unosił się w powietrzu jak chmura.

– To wiadomość – powiedziałem. – Dla mnie. Mistrz Benedict napisał ją, gdy... – Głos mi się załamał.

Przestań – skarciłem się w myślach. – Mówiłeś, że nie będziesz płakać.

Obiecałeś.

Odchrząknąłem.

– Mistrz Benedict musiał znać swoich morderców. Napisał to dla mnie, kiedy wiedział, że umiera.

Tom wytrzeszczył oczy.

– Tu są imiona morderców?

– Tak myślę. Jeszcze tego nie rozpracowałem. To szyfr.

– Zaczekaj – powiedział Tom. – Jeśli tu jest napisane, kto zabił, czemu nie dasz tego lordowi Ashcombe'owi?

– Mistrz Benedict zabronił.

– Tak?

– W ostatniej linijce – odpowiedziałem.

Tom ją przeczytał. A przynajmniej próbował.

– *Nemi...* uch. Co? Czy to w ogóle jest słowo?

– Dwa słowa. To łacina. Jest napisane „*nemini dixeris*”. Mistrz Benedict zaszyfrował to, żebym gdy to zobaczę, od razu wiedział,

co robić.

– Ukraść stronę?

– Trzymać to w sekrecie. *Nemini dixeris* znaczy „nie mów nikomu”.

– Dlaczego chciałby zachować imiona morderców w tajemnicy?

– Nie wiem – przyznałem. – Ale jeśli masz kawałek papieru, możemy się tego dowiedzieć.

Przyglądaliśmy się pierwszej linijce wiadomości. Była zakodowana jednym z pierwszych szyfrów, których nauczył mnie mistrz Benedict.

†Δujar.Odyma.rbi ma w l.dop.3Hg.Uhu.←

– To jakieś bzdury – powiedział Tom.

– Właściwie to angielski. Stary, dobry angielski.

Zmarszczył czoło.

– Widzę jakieś słowa. Odyma... ma... w. No i do.

– O to chodzi. To wygląda jak właściwe słowa, ale mają cię tylko zmylić. To samo z kropkami. Strzałka to jedyna ważna rzecz. Mówi ci, co trzeba zrobić.

Wskazał w lewo.

– Iść w tę stronę?

– Tak.

– Nie rozumiem.

– W linii – powiedziałem. – W tę stronę w linii.

Zrozumiał.

– Masz na myśli od tyłu.

– Właśnie tak. Pozbądź się kropek i wielkich liter... –zapisalem to.

*ujarodymar bimawldop3hguhu*

– ...i od tyłu...

*uhugh3podlwamibramy doraju*

– ...i masz słowa – powiedziałem.

*U Hugh 3 pod lwami bramy do raj*

Tom był pod wrażeniem.

– To nie znaczy, że... czy mistrz Hugh go zabił?

– Co? – Zamarłem. – Oczywiście, że nie.

– Ale mówiłeś, że mistrz Benedict poda imiona zabójców. Chociaż oczekiwałem czegoś bardziej w stylu „Zrobił to Arthur Quackenbush, a niech go licho”.

– To nie jest „Hugh” tylko „u Hugh”. U Hugh 3.

– U Hugh trzy co? – dopytywał się Tom. – I jakie lwy? Te z królewskiego zoo? W Tower?

– Nie jestem pewien – odpowiedziałem. – Może jest w drugiej linijce.

↓M08→ koniec.miecz

– Pamiętam to – powiedział Tom. – To ten sam szyfr co w recepturze na proch. Czy nie powinno tu być liczb?

– Są. – Wyciągnąłem do niego kartkę. – Powąchaj.

Tom wyglądał na zdezorientowanego.

– To jakiś żart?

– Poważnie.

Podejrzliwie nachylił się i powąchał papier.

– Czy to...? – Usiadł prosto. – Cytryny. Pachnie cytrynami.

– Zanim mistrz Benedict odesłał mnie ze sklepu – powiedziałem – poprosił o przyniesienie soku z cytryny. Nie rozumiałem po co, skoro to lekarstwo na szkorbut, a żaden z naszych klientów na to nie chorował. Później, kiedy wróciłem, położył rejestr pod słojem na półce. Dopiero po zobaczeniu wiadomości pojąłem, co zrobił. Napisał liczby sokiem z cytryny. Ukrywa szyfry w szyfrach.

– W jakim celu miałyby to robić? – zapytał Tom.

– Ponieważ cokolwiek to jest, naprawdę nie chce, żeby ktoś poza mną to widział.

– A jak my to zobaczymy?

– Ogień – odpowiedziałem. – Ciepło zagotuje sok z cytryny. Potrzebujemy jakiejś świeczki.

Tom użył żarzących się węgli do zapalenia cienkiej woskowej świeczki. Poprosiłem go, by trzymał ją prosto.

– Jeśli papier się spali...

Trzymał wosk tak mocno, że myślałem, iż go zmiażdży. Musiałem uspokoić drżenie własnych rąk, gdy przybliżyłem kartkę do płomienia. Powoli przeciągałem ją nad nim. Lekko pachniało

cytrusami. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na kartce pojawiły się ciemnobrązowe znaki.

↓M08→05142020222207201601080420210115 koniec.miecz

Przez chwilę tylko na to patrzyliśmy. Następnie rozpisałem klucz do szyfru.

A	Ą	B	C	Ć	D	E	Ę	F	G	H	I	J	K	L	Ł
24	25	26	27	28	29	30	31	32	01	02	03	04	05	06	07

M	N	Ń	O	Ó	P	R	S	Ś	T	U	W	Y	Z	Ż	ź
08	09	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Przetłumaczyliśmy wiadomość. Odchyliliśmy się na krzesłach.  
– Co to ma znaczyć? – zapytał Tom.

## Rozdział 13

Gapilem się na wiadomość.

– Ja... nie wiem.

KRYYZŻŁYŚGMJYZGS

Tom podrapał się po głowie.

– To łacina?

– Niemożliwe – odpowiedziałem. – W łacinie nie ma Ż, Ł i Ś. Ani

J.

– Może to inny szyfr, jak mówiłeś. Może ten jest naprawdę, naprawdę tajemny.

Inny szyfr miałby sens.

– Ale jak go złamać? Gdzie jest klucz?

– Cóż... może te symbole coś znaczą? Te na początku.

†Δ

– Czy to krzyż? – zapytał. Przyjrzałem się.

– Myślę, że miecz.

– Miecz? O! – Tom pokazał na koniec drugiej linijki. – Tu jest „koniec.miecz”. Mamy kolejny miecz.

Miecz. Trójkąt. Kolejny miecz.

U Hugh 3. Lwy i bramy. Nieodczytywalny ciąg liter. Oto i wiadomość. Nic z niej nie rozumiałem.

Mistrz Benedict nauczył mnie pisania od tyłu pierwszego lata, które u niego spędziłem. Wiedział, że poradzę sobie z kodem z receptury na proch. Sok z cytryny praktycznie podetknął mi pod nos. Było oczywiste, że chciał, żebym rozszyfrował tę wiadomość. Ale teraz nie wiedziałem, co robić.

Osunąłem się na krzesło. Tom położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie martw się. Poradzisz sobie z tym. Mistrz Benedict w ciebie wierzył. Było mi niedobrze.

Pomogłem Tomowi dokończyć szorowanie schodów, nim jego ojciec wrócił.

Tom nie przestawał mówić, ale nie przysłuchiwałem się temu. Myślałem o tym, co powiedział wcześniej.

Kiedy Rada Gildii wyrzuciła mnie z domu, chciałem od razu biec

do Hugh. Ostatnia linijka w wiadomości mistrza Benedicta mnie powstrzymała.

Nie mów nikomu.

Kiedy widziałem tę stronę w rejestrze, myślałem, że mistrz Benedict zostawił ją, by wydać swoich morderców. Teraz, po tym, co z Tomem rozszyfrowaliśmy, nie byłem już tego pewny. Coś innego było ukryte w tych szyfrach.

To mnie intrygowało. Szyfry służyły temu, by zmylić obcych, jak zmyliły lorda Ashcombe'a. Hugh nie był obcy. Też był uczniem mistrza Benedicta. Odczytałby tę wiadomość o wiele szybciej niż ja.

Więc czemu nie kazał mi się z nim zobaczyć?

Pokręciłem głową. Hugh nie mógł być w Kulcie Archanioła. Nie był mordercą. Byłem tego pewny. Mistrz Benedict by mnie ostrzegł.

Z drugiej strony może to właśnie zrobił. Nie mów nikomu.

Skończyłem szorować schody i usiadłem na stopniu. Nie miałem wyboru. W tej wiadomości ukryte było coś ważniejsze dla mistrza Benedicta niż własne życie. By ją odczytać, potrzebowałem pomocy Hugh.

Zdecydowałem się nie mówić Hugh o wiadomości. Zamiast tego chciałem unikać tematu, może wspominając o jednym z symboli. Powiedzieć, że widziałem go w książce czy coś. Musiałem spróbować. Czymkolwiek było u niego trzy, Hugh Coggsall był jedyną osobą, która wiedziała, co to znaczy.

Hugh nie miał sklepu. Wciąż będąc przy mistrzu Benedyku, zaprzyjaźnił się z Nicholasem Langem, uczniem w Royal College of Physicians, Królewskiej Akademii Medycznej. Według mojego mistrza ta dwójka spędzała razem tyle czasu, ile ja i Tom. Obaj zostali czeladnikami w tym samym roku, obaj poślubili niemal identyczne dziewczyny i obaj zostali mistrzami kilka lat później. Jako lekarz doktor Lange potrzebował kogoś, kto realizowałby recepty jego pacjentów, więc podjął współpracę – na wyłączność – ze swoim przyjacielem Hugh jako aptekarzem. Dzięki temu doktor Lange miał zaufanego człowieka do przygotowywania specyfików, a Hugh – który kochał każdą minutę w warsztacie mojego mistrza, a nienawidził każdej minuty w sklepie – już nigdy nie musiał stać

za ladą.

To, że kontrakt przyniósł Hugh duże pieniądze, też mu nie przeszkadzało. Jego dom na Chelsea Street – drzwi w drzwi z Nicholasem Langem – był wąski, ale wygodny. Zbudowano go z litej cegły, był wyższy o piętro niż większość sąsiednich budynków. Warsztat znajdował się na parterze, a pokoje mieszkalne na kolejnych trzech piętrach.

Tom i ja dotarliśmy pod jego pokryte jasnym lakierem dębowe drzwi oprawione w pofalowaną ramę z kutego żelaza. Choć było już ciemno, z domu nie wydostawało się żadne światło, nawet z kominka.

Tom zajrzał przez okno.

– Nie ma go w domu?

Zapukałem. Nie było odpowiedzi, więc zapukałem jeszcze raz, mocniej. Otworzyły się drzwi, ale nie te, przed którymi stałem. Z domu obok wyszedł do nas doktor Lange wraz z żoną. Oboje ubrani byli w wieczorowe stroje.

– Doktorze Lange! – podbiegłem do niego, by złapać go, nim wsiadł do czekającego na końcu ścieżki powozu. – Doktorze Lange! Odwrócił się i odsunął z oczu długie brązowe włosy peruki.

– Tak? Och. Um... – Machał palcem, próbując sobie mnie przypomnieć.

– Christopher Rowe, sir – podpowiedziałem. – Uczeń Benedicta Blackthorna. Spotkaliśmy się w Boże Narodzenie w jego sklepie.

– Tak, oczywiście. – Zmarszczył czoło. – Cieszę się, że na ciebie wpadłem. Widziałeś może Hugh?

– Nie – odpowiedziałem zdziwiony. – Właśnie o niego chciałem pana zapytać.

Westchnął z irytacją.

– Nie widziałem go ostatnio. Dość mnie tym nawet rozzłościł. Hugh miał dołączyć do nas na kolacji w Dniu Dębowego Jabłka i kazał nam czekać. Jagnięcina nam wystygła. – Powiedział to tak, jakby ktoś zmusił go do wypicia cykuty. – Co gorsza, miałem dziś kilka recept do zrealizowania. Zamiast tego musiałem odesłać pacjentów do tego idioty Cornhilla. Nie ma Hugh z mistrzem



Blackthornem?

Najwyraźniej doktor Lange nie słyszał najnowszych wiadomości. Pokręciłem tylko głową.

– Czyli nie widział pan mistrza Hugh od czwartku?

Podrapał się po brodzie.

– To by się zgadzało. Jedliśmy śniadanie w Święto Wniebowzięcia. Jeśli pojechał odwiedzić żonę, nie informując mnie o tym, dostanie po tyłku. – Dźgnął mnie palcem. – Jeśli go zobaczysz, powtórz mu to.

Ciężko deptałem kamienie bruku, gdy wracaliśmy do domu Toma. Tom nie patrzył mi w oczy.

– Mistrz Hugh tego nie zrobił – powiedziałem.

Tom uniósł ręce.

– Nic nie mówiłem.

– Umieję czytać w twoich myślach.

– No dobra – przyznał. – Wierzę ci. W takim razie gdzie on jest?

Może było tak, jak mówił doktor Lange. Żona Hugh nie znosiła hałasu – i zapachu – miasta. Często spędzała całe miesiące z ich dwiema córkami w domu na wsi. Może Hugh pojechał odwiedzić rodzinę. Przypomniałem sobie rozmowę, którą podsłuchałem w czwartek.

Hugh, zmartwiony: „Simon już uciekł z miasta”. Mistrz Benedict, zrezygnowany: „Też chcesz odejść?”. I wtedy mój mistrz został zaatakowany.

Może to ostatecznie przekonało Hugh. I uciekł. Ale czy nie przekonałby mistrza Benedicta, by odszedł wraz z nim?

Cóż, nie. Mistrz Benedict chciał zostać. Mimo wielu zalet mojego mistrza cecha: „łatwy do przekonania” nie była jedną z nich. Pokręciłem głową. Jeśli Hugh opuścił Londyn, to nie miałem jak się dowiedzieć, co oznacza wiadomość mistrza.

Doszliśmy do ulicy Toma, ale zamiast iść nią w dół, Tom poprowadził nas wąską alejką biegnącą za dom. Jego matka czekała przy tylnych drzwiach, trzymając w ręce jutowy worek.

– Przekazaliście wiadomości mistrzowi Cogshallowi?

– Nie było go w domu – odpowiedziałem.

– Szkoda. Zawsze lepiej usłyszeć coś takiego od przyjaciół. –  
Podawała Tomowi worek. – Kolacja za pięć minut.

Tom powstrzymał mnie przed wejściem za nią do domu.

– Musimy poczekać.

– Na co? – Wewnątrz worka było pół bochenka czerstwego chleba, żytne suchary i kilka słodkich bułeczek. – Czy to będziemy jeść?

– Nie. – Tom kiwnął głową w dół ścieżki.

Pojawił się na niej mężczyzna. Z daleka wyglądał na zamożnego, co było dziwne, bo chociaż nie była to zła okolica, nie oczekiwano się w tym miejscu bogaczy przechadzających się alejkami. Kiedy podszedł bliżej, zorientowałem się, że nie był tym, za kogo go wziąłem.

Jego ubrania kiedyś były wytworne, ale to przeszłość. Teraz peruka przypominała gniazdo. Cienka wełniana marynarka była znoszona i postrzępiona na brzegach. Koszulę miał tak poplamioną, że jej pierwotny kolor był dawno zapomniany, a miękkie spodnie z zamszu były tak wytarte, że dało się zobaczyć jego kolana.

Był to doktor Parrett. Kiedyś przychodził do naszego sklepu, ale zeszłego lata jego dom spłonął w pożarze. Nie odbudował go, ale nie wyprowadził się. Wciąż tam mieszkał, pośród spalonych belek i prochów poprzedniego życia.

– Dobry wieczór, doktorze Parrett – przywitał go Tom.

– Dobry wieczór, Tom. Tobie też... – Przechylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. – Christopherze.

Podszedł bliżej. Nie dbał o siebie bardziej niż o swoje ubrania.

– Miło znów pana widzieć, sir – powiedziałem.

Spojrzał na mnie smutno.

– Przykro mi z powodu twojego mistrza, chłopcze. Jeśli czegokolwiek potrzebujesz, mój dom jest twoim domem tak długo, jak będziesz chciał. A James ucieszy się z towarzystwa.

Zmroziło mnie. James – dwunastoletni syn doktora Parretta – zginął w pożarze.

– To bardzo miłe – wymamrotałem. Tom wyciągnął worek.

– Proszę, sir. Chleb i słodkie bułeczki.

– James się ucieszy – powiedział doktor Parrett. – Uwielbia wasze słodkie bułeczki. Ciężko go zmusić, by zjadł cokolwiek innego. – Poklepał się po swoich dziurawych kieszeniach. – Obawiam się, że znowu zapomniałem swojej portmonetki. Mógłbym pójść i...

– Proszę się nie martwić – uspokoił go Tom. – Dopiszę to do pańskiego rachunku, jak zwykle.

Doktor Parrett wziął worek trzęsącymi się dłońmi. Przycisnął go do siebie niczym dziecko.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Do zobaczenia w poniedziałek.

Patrzyliśmy, jak odchodzi. Wchodząc do domu, Tom położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie mów nic mojemu ojcu.

Tom zawołał siostry. W kilka sekund cała piątka głośno zbiegła ze schodów. Zasiadliśmy do kolacji. W innych okolicznościach delectowałbym się wołowiną, idealnie upieczoną z pieprzem i szałwią, ale z każdym kęsem ojciec Toma ściągał usta, jakbym zjadał jego przyszłość. Do tego nie mogłem przestać myśleć o biednym doktorze Parretcie. Przerazało mnie to. Też straciłem wszystko. Czy będę taki sam za rok? Żyjąc wśród gruzów przeszłości, będę zebrał o resztki, wyobrażając sobie, że mistrz Benedict wciąż żyje?

Po posiłku Tomowi i mnie kazano posprzątać ze stołu i wyszorować garnki. Zwykle dziewczynki Baileyów miały wyznaczone zadania, ale ojciec Toma chyba czuł, że mój pobyt się opłaca, jeśli to ja będę wykonywał wszystkie obowiązki. Uwolnione od pracy dziewczynki zdecydowały się siedzieć w kuchni i wykorzystać nas do zabawy.

Cecily, zachwycona takim obrotem spraw, została kierowniczką. Gdy pracowaliśmy, sterowała stałym strumieniem rozkazów, mówiąc nam, że ten garnek wymagał więcej szorowania, a tamten powinien być myty dokładnie w taki lub inny sposób. Pызata i wesoła Isabel siedziała na blacie w swojej pomarańczowej spódniczce, machając nóżkami, i zagadywała nas – mówiła coś o kacze, która przyjaźniła się z owcą, nie przejmując się, czy jej

słuchamy, czy nie. Pozostała trójka, Catherine, Emma i mała Molly, znalazła kłębek wełny i grała w grę, którą nazywały stick-tock. Nie znałem zasad, ale zdawało się, że dziewczynki zdobywały punkty za każdym razem, kiedy piłka trafiała we mnie lub w Toma. Podwójne, jeśli odbiła się od naszych głów.

Gdy skończyliśmy z garami, trójka najmłodszych dziewczynek obległa moje nogi, zadeklarowała, że jestem ich więźniem, i odmówiła wypuszczenia mnie, nim wykupię swoją wolność historyjką. Więc poszliśmy do sypialni dziewczynek, gdzie Baileyowie trzymali swoją jedyną książkę, zniszczony egzemplarz *Le Morte d'Arthur*.

Stłoczyliśmy się na łóżku Cecily, ale gdy otwierałem książkę, zdawała się, siedząc za mną, bardziej zainteresowana wplataniem mi piór we włosy niż słuchaniem historii. Isabel zabawiała się mazaniem mi twarzy różem i chichotaniem. Pozostała trójka słuchała, strzygąc uszami, kiedy czytałem im opowieść *O królu Arturze i olbrzymie z Mont Saint-Michel*. Siał olbrzym postrach we wsi, zabijając ludzi i plądrując okoliczne tereny, aż mieszkańcy poprosili króla Artura o pomoc. Molly, najmłodsza, czterolatka, chowała twarz w moich kolanach, gdy olbrzym zjadał dwanaścioro dzieci niczym kurczaki z rożna. Wraz z cichą Emmą przytuliła mi się do pasa podczas ostatecznej walki, gdy bohater z przeciwnikiem stoczyli się ze wzgórza w morze, do czasu, aż Wielki Król Brytanii poraził bestię swym sztyletem.

Cecily oparła się o mnie swoim szczupłym ciałem, kładąc głowę z tyłu mojej szyi.

– Chciałabym, żeby tu był – powiedziała smutno.

– Król Artur?

– Aha. – Oparła brodę na moim ramieniu i oplotła mnie ramionami. – Powstrzymałby Kult Archanioła. Wtedy nie skrzywdziliby twojego mistrza. – Westchnęła. – Ale to chyba tylko bajka.

Trzymała mnie nadal, gdy Molly i Emma przewróciły stronę i błagały mnie, bym czytał dalej. Tom, przyglądając się spod drzwi, uciszył je i otulił.

– Dość tego dobrego na dziś. Jutro będzie następna historyjka.

Zdmuchnęliśmy z Tomem świece i wyszliśmy na zewnątrz. Usiedliśmy na dobrze wyczyszczonych schodach z tyłu domu. Tom podał mi wełnianą szmatkę, żebym mógł zetrzeć róż z policzków. Przyglądał mi się kątem oka.

– Co? – zapytałem.

– Zrobiłeś się strasznie cichy.

– Czyżby?

– Tak. – Westchnął. – W co mnie tym razem wpakujesz?

– Co masz na myśli?

– Widziałem już u ciebie to spojrzenie.

Chyba nie potrafiłem zatrzymać tego dla siebie. Cecily miała rację: król Artur to tylko bajka. Nikt nie spieszył mi na ratunek. Ale nie znaczyło to, że miałem dobrowolnie dać sobie odebrać wszystko, na czym mi zależało. Może nie znałem rozwiązania zagadki mistrza Benedicta, ale wiedziałem, co mogłem zrobić dziś wieczorem.

Kult Archaniola zabrał mojego mistrza. Gildia Aptekarzy zabrała mi dom. Jedyną rzeczą, która jeszcze mi pozostała, był mój sześcian zagadka. I płonąłbym w odmętach piekieł, gdybym pozwolił odebrać mi go komukolwiek.

## Rozdział 14

- To wariactwo – syknął Tom.
- Już to mówiłeś – wyszeptałem.
- A i tak nadal tu jesteśmy i wciąż to robimy. Jeśli więc mogę, powtórzę: to wariactwo.

Było w tym trochę prawdy. Skradanie się ulicami Londynu o północy nie było najmądrzejszym pomysłem. W najlepszym wypadku można było spotkać paradę pijaków. W najgorszym – nie zobaczyć już wschodu słońca. A jeśli spotka się patrolującego konstabla, to będzie on równie skory do pytań jak do rozwalenia czaszki, założywszy, że coś się knuło.

Żadne latarnie nie oświetlały ulic. Miejskie prawo zabraniało tego po dziewiątej wieczorem. Można było zatrudnić do oświetlania drogi chłopców z pochodniami, ale oczywiście nie wchodziło to w grę w naszym wypadku.

Wędrowaliśmy więc przy świetle półksiężyca, które opromieniało miasto mglistym, srebrzystym blaskiem. Na szczęście mój dom nie był daleko, zaledwie trzy ulice od domu Toma. Schowaliśmy się za rozklekotanym wozem zbierającym nieczystości, przebiegliśmy alejką, przeskoczyliśmy kamienny mur i już byliśmy przy warsztacie na tyłach Blackthorn.

– Jak dostaniemy się do środka? – zapytał Tom. – Myślałem, że Rada Gildii zabrała klucz.

Zabrała. Tylko nie wiedziała o kluczu, który mistrz Benedict miał schowany, a ja nie powiedziałem im, gdzie go znaleźć. W tylnym rogu budynku wzdłuż komina wznosiła się kolumna cegieł. Przesunąłem po niej palce, starając się wyczuć symbol. Znalazłem go, był wyryty prawie na wysokości wzroku po lewej stronie, ukryty w zwykłej chropowatości cegły.



Tom przechylił głowę.

– Czy to planeta?

Miał rację. Był to symbol Marsa. Zastanawiało mnie, dlaczego mistrz Benedict użył go, by oznaczyć klucz. Wciąż o tym myślałem, gdy rozszalałe trzepotanie wybuchło tuż przed moją twarzą. Podskoczyłem. Tom wydał z siebie cienki pisk, niepodobny do reakcji chłopca jego rozmiarów.

Moje serce znowu zaczęło bić, gdy zauważyłem, że to tylko gołąb. Zatrzepotał skrzydłami i wylądował obok mnie. Przy świetle księżycy po chwili ją rozpoznałem.

– Bridget!

Zagruchała.

Ukląknęłam i wziąłem ją na ręce. Tuliła się do moich palców.

– Co ty tu robisz? – zapytałam. Tom wskazał na dach.

– Patrz.

Dokładnie nad nami drzwi do gołębnika powiewały otwarte po rannej bryzie. Zakląłam. Idiota, którego Rada Gildii wysłała, by nakarmił ptaki, nie zamknął ich za sobą. Wszystkie by uciekły. A na wolności coś mogłoby się stać Bridget.

Kręciła mi się w dłoni, zaniepokojona moim głosem. Przestałam przeklinać i pogłaskałam ją, by się uspokoiła. Wciąż wydawała się nadąsana.

Tom rozejrzał się nerwowo.

– Nie możemy zostać tu całą noc.

Znowu miał rację. Ułożyłem sobie Bridget w zgięciu ramienia i pociągnąłem za cegłę z symbolem Marsa. Wysunęła się, szurając po zaprawie. Za nią był mały schowek, a w nim klucz do naszego domu.

Kiedy podszedłem do tylnych drzwi, okazało się, że były otwarte. Ten sam idiota, który wypuścił ptaki, nie zabezpieczył domu, wychodząc. Miałem ochotę znowu przeklinać, ale gdy weszliśmy, głos uwiązał mi w gardle.

Nasz warsztat był wywrócony do góry nogami.

Światło niskich płomieni z kominka wystarczyło, by zobaczyć skalę zniszczenia. Garnki i naczynia kuchenne rozrzucone były po ławach. Książki pootwierane i rozrzucone wokół jak śmieci.

Ceramiczne słoje były przewracane, zdobiąc podłogi promienistymi rozbryzgami kolorowych proszków. Nawet schowek z lodem w podłodze był otwarty, a cenne kostki i kawałki pozostawione do stopnienia.

Dopiero gdy Bridget wydała z siebie zduszony krzyk, uświadomiłem sobie, że ją ściszałem.

Tom pociągnął mnie za rękaw.

– Musimy iść.

Nie mogłem. Mimo ponaglania Toma wszedłem dalej, drżąc, do sklepu. Spodziewałem się, że będzie źle. Było jeszcze gorzej.

Połowy słoików nie było na półkach, niektóre leżały przewrócone, inne roztrzaskane, wszędzie walały się zioła i pudry. Tu też były porozdzierane księgi, a ich strony pokrywały sklep niczym zabrudzona tuszem pokrywa śnieżna. Nie oszczędzono wypchanych zwierząt. Każde miało rozpruty brzuch, a słoma rozprószona była po całym bałaganie.

Ramiona mi się trzęsły. Okropne, nienawistne potwory. Czy chcieli zniszczyć wszystko, na czym mi zależało? Na chwilę się załamałem. Ale nie zламаłem swojej obietnicy. Otarłem oczy i zdusiłem to uczucie, pozwalając, by podsyciło mój gniew.

Pas mojego mistrza leżał w kącie, częściowo przykryty liśćmi jeżyn. Położyłem klucz na ladzie i obok postawiłem Bridget. Podniosłem pas. Pachniał egipskim kadzidłem, przypominając mi o mistrzu. Strząsnąłem liście i owinąłem pas wokół bioder. Trzymał mnie mocno.

Nie po to wróciłem, ale nie miałem zamiaru zostawić pasa. Nie teraz. Zawiązałem go pod koszulą. Przeszukałem sklep, macając palcami różnokolorowe ziarenka, nim znalazłem to, po co przyszedłem, schowane na podłodze pod kupką cynobru.

Mój sześcian. Mój prezent urodzinowy od mistrza Benedicta. Mój. Trzymałem go, pozwalając, by jego ciężar spoczywał na mojej dłoni. Przez chwilę czułem, jakby wszystko znów było w porządku.

– Czy ona powinna to jeść? – zapytał Tom.

Obróciłem się. Bridget na ladzie dziobała górę drobnych, białych kryształków.



– Bridget! Nie! – Podbiegłem do niej. Odmaszerowała, machając skrzydłami.

Zanurzyłem palec w proszku i przyłożyłem go do czubka języka. Poczulem słodycz i odetchnąłem z ulgą. To tylko cukier. Na szczęście nieszkodliwy. Chociaż wyobraziłem sobie, co mistrz Benedict by powiedział, gdyby przyłapał mnie karmiącego gołębia cennym cukrem.

Wtedy do mnie dotarło. Był cenny.

Cukier, liście jeżyn, saletra, cynober... aptekarskie składniki kosztujące na rynku fortunę. Włamywacze chyba nie znali wartości tych dóbr, bo mieliśmy też słoje sproszkowanego złota i srebra. Staliśmy pośród królewskich łupów rozspanych niczym piach.

Zrozumiałem jeszcze jedno. Tylko suche składniki były rozrzucone po sklepie. Proszki, minerały, liście. Ani jeden słoje na półkach nie zawierał niczego stałego. I żaden ze słoików z płynami nie był naruszony.

Podarte były książki. Rozprute wypchane zwierzęta. Zniszczone towary suche.

Ci, którzy przetrząsnęli sklep, nie przyszli tu kraść. Szukali czegoś. Czegoś konkretnego, schowanego przez mojego mistrza. Czegoś tak wartościowego, że byli w stanie wyrzucić składniki warte setki funtów, by to znaleźć.

I potrafili czytać opisy na słoikach.

Wsadziłem kostkę zagadkę za pas mistrza i podniosłem Bridget.

– Musimy iść – usłyszałem. Tom był rozdrażniony.

– Właśnie to mówiłem.

Ruszył do drzwi warsztatu. Podążyłem za nim i wbiegłem wprost w jego plecy.

Bridget gruchnęła i nastroszyła pióra. Cofnąłem się o krok. Tom stał w miejscu.

– Co ty... – zacząłem, ale on tylko podniósł rękę, mając szeroko otwarte oczy.

Wtedy ja też to usłyszałem.

## Rozdział 15

Powolne skrzygnięcie ze schodów na piętro. Zobaczyłem stopę na brudnym podłożu. Usłyszałem głos, niski i szorstki.

– Kto tam? – zapytał.

Pociągnąłem za koszulę Toma. Schowaliśmy się za drugi stolik z wystawką, ten z dala od blasku ognia z kominka.

Ktoś podszedł do drzwi, powoli i ostrożnie.

– Mistrzu? Czy to ty?

Postąpił jeszcze krok do przodu. Widziałem but pokryty błotem i drobnymi białymi kryształkami, kawałek podeszwy. Nogawkę spodni, szarych i wełnianych, włożoną do środka.

Podszedł bliżej i mogłem zobaczyć jego twarz. Światło było nikłe, ale wystarczyło, bym go rozpoznał. Blisko osadzone oczy i srogie brwi. Rude włosy i wyraźne mięśnie. Miał około szesnastu lat. Tym razem był bez niebieskiego fartucha.

To ten sam chłopak, który był w sklepie tragicznego ranka. Ten, który zasłaniał sobą pół okna, który śmiał się, kiedy mistrz mnie uderzył.

Przesunąłem się do tyłu, opierając o nogi stołu. Modliłem się, żeby widok Toma kulącego się po drugiej stronie oznaczał, że wciąż byliśmy w cieniu. Modliłem się też, żeby Bridget nie wydała żadnego dźwięku. Umościła się na mnie, trzęsąc się cała. Zastanawiałem się, czy mogła wyczuć mój strach po zapachu.

Kolejny głos szepnął z warsztatu:

– Wat? Gdzie jesteś?

– Tutaj – odpowiedział „uczeń”. Drugi mężczyzna wszedł do sklepu.

– Czy zostawiłeś tylne drzwi ot... – Nabrał głośno powietrza.

Znałem ten głos. Znałem go dobrze, poznałem go, nim wszedł w pole mojego widzenia.

Był to Nathaniel Stubb.

Patrzył zdumiony na bałagan, z szeroko otwartymi ustami.

– Wat! Coś ty zrobił, do dziewięciu piekieł!

– To, co mi kazano – odpowiedział Wat poirytowanym tonem. –

Szukałem cholernego ognia.

Stubb uderzył Wata w ucho.

– Czy rozumiesz, ile to wszystko jest warte? – Oczy wychodziły mu z orbit.

– Czy to szafran? Ty idioto!

Stubb doczłapał się do końca lady i próbował wyciągnąć złote nitki szafranu z cynobru, z którym się mieszały. Nie widział spojrzenia, które Wat mu posłał.

Ani sposobu, w jaki palce chłopaka zacisnęły się na rękojeści szerokiego, wygiętego ostrza, które miał przy pasie.

– Znalazłeś coś? – zapytał Stubb. – Czy po prostu niszczysz jego sklep bez powodu?

Wat zacisnął zęby.

– Nie ma go tutaj.

– Musi tu być. Gdybyś nie zabił Benedicta tak szybko, powiedziałby ci, gdzie to jest.

Słowa przekłuły moje serce niczym strzała. Część mnie już wcześniej wiedziała, że Stubb miał coś wspólnego ze śmiercią mojego mistrza. Potwierdzenie tego sprawiło mi ogromny ból.

– To nie moja wina – powiedział Wat urażony. – Otruł się, zanim mogłem coś z niego wydobyć.

– Bo się ujawniłeś!

– Wcale nie!

Stubb był pełen pogardy.

– Tak, jestem pewien, że mistrz aptekarski Benedict Blackthorn zażył denderę przez przypadek.

Dendera. Zupełnie o niej zapomniałem. Teraz przypomniałem sobie czarne nerkowate nasiona rozsypane dookoła szklanego słoika w warsztacie tuż przedtem, zanim znalazłem ciało mojego mistrza. Myślałem, że może Kult Archanioła je wziął, by użyć na przyszłych wrogach. Ale to mistrz Benedict sam się otruł.

Miałem w głowie gonitwę myśli. Dlaczego miałyby to zrobić? By oszczędzić sobie tortur, które Wat przygotował dla niego tak jak dla innych ofiar Kultu? Czy może z innego powodu? Wat zniszczył warsztat mojego mistrza, czegoś szukając. Czy mistrz Benedict otruł

się, żeby nie powiedzieć mu, gdzie to było?

Pomyślałem o ukrytej wiadomości, którą mistrz zostawił dla mnie w rejestrze. Zostawiłem tę kartkę u Toma, wetkniętą pod materac w jego łóżku. Pomyślałem, że to mógł być najlepszy pomysł, jaki przyszedł mi do głowy przez cały dzień. Ponieważ czegokolwiek szukali, sekret do znalezienia tego powierzono właśnie mnie.

Stubb jakby czytał w moich myślach.

– Czemu nie zostałeś, by przepytac ucznia? – zapytał. Zmroziło mnie.

Wat założył ręce.

– On nic nie wie. Blackthorn go nienawdził. Nie nauczyłby tego dzieciaka, jak podcierać tyłek.

W ciemności przyłożyłem dłoń do policzka. „Jesteś beznadziejny” – powiedział mistrz Benedict i mnie uderzył. Ale cały czas wiedział, że Wat go obserwował.

Mistrz Benedict uderzył mnie w obecności Wata, by mnie chronić, by zbić go z tropu. Okrutne wspomnienie uleciało, zostawiając ziejącą pustkę. „Och, mistrzu! – wołałem za nim w myślach. – Czemu zostałeś, wiedząc, że cię zabiją? Czemu nie poszedłeś ze mną? Czemu nie wzięłeś mojej ręki i nie uciekłeś?”.

– Nie obchodzi mnie, co Benedict myślał o swoim uczniu – powiedział Stubb. – Chłopak mógł coś widzieć, usłyszeć, przeczytać. Znajdź go i przesłuchaj. Później pozbądź się go tak jak innych, niezależnie od tego, czy wie o ogniu, czy nie. Nie możemy ryzykować, zostawiając go przy życiu.

Czułem, jakbym zamarzał. Tom chyba także przestał oddychać. Wat wzruszył ramionami.

– Dobra – odpowiedział i ruszył się, by odejść.

– Nie teraz, głupcze – zatrzymał go Stubb. – Jak zamierzasz go znaleźć w środku nocy? Jutro. Teraz skończ sprawdzać książki.

Wat skrzywił się.

– Masz pojęcie, ile książek miał ten staruch?

Stubb podniósł rękę, by uderzyć chłopaka.

– Uważaj na język.

Ich oczy się spotkały. Przez moment byłem pewien, że Wat

wyciągnie nóż. Zamiast tego powoli sięgnął w dół i podniósł z podłogi oprawiony w skórę tom. Trzasnął nim o ladę, rozdmuchując chmurę pomarańczowego proszku w powietrze. Stubb zakaszłał. Wat uśmiechnął się pogardliwie i zaczął przeglądać strony.

Stubb wrócił do szafranu, próbując uratować najwięcej, jak się dało. Obaj stali do nas tyłem. Nie mogło to trwać wiecznie.

Musieliśmy się stąd wydostać. Teraz.

Stubb blokował przejście do warsztatu. Frontowe drzwi za mną były zamknięte na zasuwkę. Może dałbym radę ją odsunąć i otworzyć zamek, póki byli tyłem. Prawie wyczołgałem się spod stolika, zanim zorientowałem się, że popełniłem straszliwy błąd.

Klucz. Zostawiłem klucz do sklepu na ladzie.

Wciąż tam był, ciemna szarość żelaza tkwiła w kupce cukru. Zakląłem. Mogłem się przeczołgać niezauważony na drugą stronę pomieszczenia, ale niepostrzeżone dostanie się do lady nie wchodziło w grę. Było tylko jedno wyjście.

Zwabienie Stubba z dala od drzwi warsztatu.

Intensywnie myślałem. Róg kostki zagadki zatkniętej pod pas mistrza Benedicta wpijał mi się w brzuch. Ruszyłem się, starając się zmienić pozycję, by przestał mnie uwierać. Tom skulił się. Wyglądał na tak przestraszonego, że myślałem, iż się popłacze. Wiedziałem, jak się czuł.

Zachowanie Toma podsunęło mi pewien pomysł.

Podąłem mu Bridget. Wziął ją w swoje masywne, ale delikatne dłonie i przytulił do siebie. Wybałuszył oczy, kiedy się wymykałem.

Wolno poczołgałem się do drugiego stolika, bliżej kominka. Serce waliło mi całą drogę. Ściśnięty za wystawką, przeszukałem pas mojego mistrza. Na szczęście Wat nie zbił żadnego z flakoników, kiedy go porzucił. Musiałem wyciągnąć połowę z nich, by przeczytać etykiety, zanim znalazłem to, czego szukałem.

Siarka. Węgiel drzewny. I saletra.

Wat, plądrując sklep, zostawił wszędzie kawałki podartego papieru. Mogłem to wykorzystać. Po cichu wyciągnąłem korki i opróżniłem flakoniki w jedno miejsce. Palcami wymieszałem proch

najlepiej, jak mogłem. Bez tłuczka nie wyszedł tak dobry jak ten z naszej armaty. Modliłem się, by wystarczyło.

Będąc blisko ognia, miałem tylko kilka sekund, by wszystko się udało. Położyłem papier z prochem obok kominka. Wziąłem drugą kartkę i położyłem jeden róg w prochu, a drugi w płomieniach.

Zapaliła się od razu. Ogień skręcał papier szybciej, niż przypuszczałem. Wygramoliłem się na otwartą przestrzeń, skąd dałem nura za stół, pod którym siedzieli Tom i Bridget.

Stubb odwrócił się, mrużąc oczy.

– Co to by...

Nagle kominek rozbłysł. Pojawił się przerażający świst. Buchnęły płomienie na zewnątrz kamiennej ramy, paląc wzlatujące kartki.

– Pożar! – wrzasnął Stubb. – Zgaś go! Zgaś go!

Gorączkowo rozglądał się po półkach za ladą, szukając wody. Wat przebiegł przez dym do kominka i zdeptywał ogień, desperacko starając się powstrzymać płonące strony od zaprószenia czegokolwiek innego.

Chwyciłem Toma za kołnierz i pociągnąłem. Wybiegliśmy.

Tom biegł przez londyńską noc, trzymając spanikowaną Bridget. Byłem za nimi, rozglądając się na każdym rogu, czy nas nie goniono.

Albo ich zgubiliśmy, albo nas nie widzieli, bo dotarliśmy do alejki za domem Toma bez śladu pogoni Wata czy Nathaniela Stubba. Prawie zgnetliśmy się w tylnych drzwiach – a właściwie to Tom prawie zgniótł mnie – próbując wgramolić się do środka. Opuściłem skobel i przechyliłem się przez stół, dysząc. Tom oparł się o tynk i osunął na dół, łapiąc oddech.

Biedna Bridget walczyła w jego dłoniach. Musiałem ją zanęcić do wyjścia i trzymałem przy swojej twarzy, aż się uciszyła. Twarda z niej gołębica, bo uspokoiła się na dłużej niż którykolwiek z nas.

Podszedłem do okna. Szukałem łuny, dymu, czegokolwiek, co dałoby znać, że proch, który podpaliłem, wymknął się spod kontroli i spaliłem własny dom. Ale nic nie zobaczyłem. Wiedziałem, że jeśli ogień zajął budynek, to już podniesiono alarm. Patrzyłem wyczekująco.

Tom stał obok mnie, ramię w ramię.  
– Jesteśmy bezpieczni? – zapytał.  
Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

**Niedziela, 31 maja 1665 roku**  
**Nawiedzenie Najświętszej Marii Panny**



## Rozdział 16

Nie mogłem spać.

Nie tylko dlatego, że podłoga u Toma była pełna drzazg. Także nie ze strachu skręcającego mnie w brzuchu. Tom był tak samo przestraszony jak ja, ale dziesięć minut po tym, jak przyłożył głowę do poduszki, jego chrapanie rozlegało się głośniejsz niż koła powozu na bruku.

Nie mogłem spać, bo wiedziałem, kto zabił mojego mistrza. Nie mogłem spać, ponieważ jego mordercy teraz czyhali na mnie.

I nie wiedziałem, co z tym zrobić.

Chciałem pobiec do lorda Ashcombe'a, powiedzieć mu, co widziałem. Nie mogłem jednak tego uczynić. Nawet jeśli mi uwierzył – a królewski strażnik nie był raczej ufny – nie miałem żadnego dowodu, że to Stubb i Wat zabili mojego mistrza. Byłoby tylko moje słowo przeciw słowu Stubba, a nie byłem dość głupi, by nie wiedzieć, jak to się skończy. On był mistrzem, a ja uczniem. Nikt by mnie nie słuchał.

Tom mógłby mnie poprzeć, oczywiście, ale nie traktowano by go bardziej poważnie niż mnie. W dodatku popełniliśmy poważne przestępstwo. Włamanie – nawet do swojego domu – było złe. Zabranie kostki i pasa i schowanie obu pod materacem Toma wraz z kartką z rejestru było zwyczajnym złodziejstwem. Karą za kradzież chociażby jednej z tych rzeczy była śmierć. Obaj zawiślibyśmy na szubienicach, z pomocą morderczego Kultu lub bez niego.

Drzwi do sypialni Toma otworzyły się ze skrzypnięciem. Jego najmłodsza siostra Molly przydreptała bosymi stópkami do środka, zwinęła się na podłodze i wtuliła we mnie, przyciskając ulubiony kocyk do piersi. Nasłuchiwałem jej oddechu, leżąc i rozmyślając. By zobaczyć Stubba i jego ucznia, powieszonych za ich zbrodnie, musiałbym iść do lorda Ashcombe'a z twardymi dowodami albo z poparciem kogoś wyższego rangą niż Stubb. Kogoś poważanego, czyja pozycja stawiała go ponad zwykłymi ludźmi. Nie wiedziałem, jak zdobyć to pierwsze. Ale być może mogłem znaleźć drugie.

Wydostałem się z uścisku Molly i wymknąłem z domu o świcie.

W zwykłe dni miasto byłoby już pełne ruchu ulicznego: sprzedawców w drodze do pracy, kupców ciągnących swoje dobra na targ, woźniców przeklinających przechodniów. Ale dziś była niedziela, Boży dzień odpoczynku. Chociaż kilka osób powitało mnie życzeniami dobrego dnia, miasto zdawało się puste.

Nie czułem się bezpieczny. Z jednej strony łatwiej mi było rozglądać się za Stubbem i Watem, którzy mogli mnie poszukiwać, a z drugiej – było mniej świadków odstraszających potencjalnych porywaczy. Najlepsze, co mogłem zrobić, to trzymać się z daleka od ulic w pobliżu apteki Stubba. Miałem nadzieję, że noc spędzona na przetrząsaniu naszego sklepu oznaczała, że rano będą musieli trochę pospać.

Wziąłem pas mojego mistrza, wiążąc go pod koszulą tak, by nikt go nie dostrzegł. Zabrałem też kartkę z rejestru i kostkę zagadkę, która wypychała mi kieszeń. Chciałem również zaangażować w akcję Toma i Bridget. Musiałem jednak ją wypuścić, zanim poszliśmy spać, bo jeśli ojciec Toma znalazłby ptaka w domu, upiekłby go w cieście. Odfrunęła w noc, ku lśnjącemu Księżycowi, i zniknęła za dalekim dachem. Przyglądałem się niebu, idąc i pragnąc, by wróciła.

Dojście na miejsce zajęło mi trochę czasu. Wiedziałem, że dom, którego szukam, stoi przy ulicy Cornhill, ale nie byłem pewien, który ma numer. Zapytałem o drogę przechodzącego łachmaniarza z tłustym workiem przewieszonym przez ramię. Wysłał mnie na róg, gdzie zadzwoniłem do domu Wielkiego Mistrza Aptekarskiego sir Edwarda Thorpe'a.

– Nie ma go – powiedziała tyczkowata służąca, która otworzyła drzwi.

– Kiedy mogę z nim pomówić? – zapytałem.

Spojrzała na mnie z góry na dół. „Nigdy” – mówiły jej oczy. Nie miałem okazji umyć się po wczorajszej przygodzie. Musiałem wyglądać jak żebrak.

– Proszę o spotkanie z nim, panienko. To ważna sprawa Gildii. Jestem uczniem.

Zacisnęła usta, ale odpowiedziała.

– Poszedł do siedziby.

Zdziwiłem się.

– W niedzielę?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mnie o to pytać.

Nie pojawiłem się w siedzibie Gildii Aptekarzy od trzech lat. Po zdaniu przeze mnie egzaminu mistrz Benedict zabrał mnie do nowego domu i żaden z nas nie wracał do siedziby. Nie było to nic niezwykłego dla kogoś takiego jak ja. Praktycznie rzecz biorąc, uczniowie nie byli członkami Gildii, więc dopóki nie byli dyscyplinowani lub wyznaczeni do tamtejszego laboratorium, nie mieli nic do roboty w siedzibie. Czasem jednak zastanawiałem się nad moim mistrzem. Nie miał wielu przyjaciół. Tylko Hugh przychodził do naszego domu. Jeszcze księgarz Isaac oczywiście, ale nigdy go nie poznałem. Nie wiedziałbym o jego istnieniu, gdyby nie sterty książek rosnące nam w domu niczym łądygi kukurydzy. Raz zapytałem mistrza Benedicta, dlaczego nigdy nie chodzi do siedziby. „Polityka mnie nudzi” – odpowiedział.

Idąc tam, zastanawiałem się, czy to nie tamtejszy smród go odstraszał. Siedziba mieściła się nad Tamizą, przy Blackfriars Lane. Rzeka cuchnęła okrutnie, zwłaszcza przy odpływie, kiedy błoto na brzegach pachniało jak gnijące... cóż, wszystko razem.

Siedziba była imponująca. Był to kiedyś klasztor należący do dominikanów, czyli Black Friars, którzy nadali nazwę ulicy – i widać to było w ciemnych, ceglanych ścianach budynku, wysokich na dwa piętra. Kiedy pierwszy raz tu przyszedłem, stałem na zewnątrz, wpatrując się w wysokie, wąskie okna. Obserwowałem mężczyzn wchodzących i wychodzących, wyobrażając sobie, jakie było ich życie, które wkrótce miałem nadzieję z nimi dzielić. Studiowałem ich twarze, zastanawiając się, kto będzie moim nowym mistrzem. Pamiętam pierwsze spotkanie z mistrzem Benedictem, gdy wciąż byłem podekscytowany zdaniem egzaminem. Wyciągnął do mnie dłoń i powiedział: „Miło cię poznać, Christopherze Rowe”. Jakbym był prawdziwym człowiekiem.

I te frontowe drzwi. Wejście do siedziby sprawiało, że stawałem

się nerwowo. Było wspaniałe, dębowe, dwa razy wyższe ode mnie, z dwoma filarami po bokach i zwieńczone łukiem. „Czcigodne Stowarzyszenie Aptekarzy” – głosił napis z niebieską tarczą i herbem Gildii powyżej. Na nim widniał Apollo, grecki bóg uzdrawiania, deptający czarną wywerne chorobę, a całość trzymały dwa złote jednorożce. Zwój poniżej zawierał dewizę aptekarzy: OPIFERQUE PER ORBEM DICOR. *Świat zwie mnie niosącym pomoc.*

Dziś wielkie drzwi były zamknięte. Zastukałem w nie pięścią.

Minęła minuta, nim się otworzyły. Młody mężczyzna o ciemnoszarych oczach wytknął głowę przez szparę i powiedział:

– Siedziba Gildii jest w niedziele nieczynna. Kandydaci na uczniów zgłaszają się do zapisu w ciągu tygodnia.

Zaczął zamykać drzwi.

– Proszę zaczekać – powiedziałem. – Już jestem uczniem. Muszę porozmawiać z Wielkim Mistrzem Thorpe'em.

– Tak czy inaczej, wróć jutro. Wtedy zajmie się twoją sprawą.

– Chodzi o zamordowanie Benedicta Blackthorna.

Mężczyzna zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu. Kolejny raz żałowałem, że nie jestem trochę czystszy.

– Chwileczkę – powiedział i zamknął drzwi. Wrócił po kilku minutach.

– Chodź ze mną.

Prowadził mnie przez łukowato sklepiony pasaż na wyłożony kamieniem dziedziniec. W środku była studnia, która zapewniała wodę gildiowym laboratorium i warsztatom. Wokół pod ścianami świeżo pokrytymi żółtą ochrą przykute były żelazne ławy. Okna gabinetów z wyższych pięter spoglądały na tę przestrzeń. Wszystkie zdawały się puste, co było do przewidzenia w niedzielę.

Schody prowadziły w górę, z dziedzińca od południa, po prawej. Tam znajdowały się gabinety mistrzów i Wielka Hala, w której mnie egzaminowano. Drzwi do laboratoriów były przed nami.

Przez chwilę myślałem, że tam mnie prowadził. Skreślił jednak w lewo. Poszliśmy na północ, do komnaty z drzwiami do gabinetów urzędników i parą prostych krzesel.

Machnął ręką w kierunku jednego z nich.

– Ktoś wkrótce się tobą zajmie. Czekałem.  
Ktoś mną potrząsnął, co mnie obudziło.  
Mrugnąłem. Przez zaspane oczy zobaczyłem łysą głowę Oswyna Colthursta patrzącego na mnie z góry.

– Ślinisz się – powiedział.

– Przepraszam. – Wytarłem usta rękawem. Moja koszula pachniała prochem.

Oswyn skrzyżował ręce.

– Jeśli dobrze pamiętam, Christopherze, zostałeś poproszony o przyjście w poniedziałek. Znasz dni tygodnia?

Wstałem.

– Przepraszam, mistrzu Colthurst. Muszę natychmiast pomówić z Wielkim Mistrzem.

Oswyn wyglądał na zdenerwowanego i zarazem ubawionego moją bezczelnością.

– Musiałeś doprowadzać biednego Benedicta do szału – powiedział. – Sir Edwarda tu nie ma.

– Polecono mi przyjść do siedziby.

– Wyszedł godzinę temu na niedzielne nabożeństwo. Powinien wrócić po południu. Ty zaś powinienesz stawić się tu jutro.

Położył mi delikatnie, lecz stanowczo rękę na ramieniu i zaczął kierować do wyjścia.

– Mistrzu, proszę zaczekać – powiedziałem. – Chodzi o zamordowanie mistrza Benedicta. Wiem, kto go zabił.

– Wszyscy wiedzą, kto go zabił – odrzekł Oswyn. – Kult Archanioła.

– Tak, mistrzu. Ale ja wiem, kto to był.

Zatrzymał się zaskoczony.

– Mów.

– To Nathaniel Stubb.

Oswyn zamarł. Następnie chwycił mnie za ucho, wykręcił je i otworzył drzwi do gabinetu urzędników moją głową.

## Rozdział 17

Oswyn najwyraźniej uważał, że moja czaszka dobrze się spisała na pierwszych drzwiach, bo otworzył nią także drugie. Ciągnął mnie wąskim korytarzem i wrzucił do pustego gabinetu. Upadłem na biurko, przewracając ceramiczny przycisk do papieru w kształcie gęsi.

– Czyś ty całkiem postradał rozum? – zapytał. – Stubb jest mistrzem. Gdyby usłyszał, co powiedziałaś, załatwiłby wyrzucenie cię z Gildii. Wtedy by cię wychłostano. Zgodnie z prawem już ja powinienem to zrobić.

Przyłożyłem dłoń do czoła.

– Ale to prawda.

Obawiałem się, że tym razem Oswyn użyje mojej głowy do otwarcia okna. Ale tylko prychnął i rzekł:

– Bzdura. Nathaniel Stubb może i jest krętaczem, ale żaden z niego zabójca. Nie ma do tego ikry.

– Nie zrobił tego sam – powiedziałem. – To jego uczeń.

Oswyn był zaskoczony.

– Jego uczeń?

– Był w sklepie tuż przed morderstwem. Ma na imię Wat. – Opisałem go. Oswyn zmarszczył brwi.

– To nie jest uczeń Stubba.

– Zwracał się do niego „mistrzu”. I miał niebieski fartuch.

– „Mistrz” to popularny tytuł. I każdy może nosić niebieski fartuch.

– Ale...

– Nathaniel Stubb ma dwóch uczniów – powiedział Oswyn, zirytowany. – Edgara Raleigha i Adama Horwatha. Wiek Edgara by się zgadzał, ale jego włosy są czarne, nie rude, i nikt nie użyłby słowa „muskularny”, by go opisać. Adam jest rok młodszy od ciebie i pół głowy niższy. Stubb nie ma innych uczniów. Wiem to na pewno, bo – jak zapewne pamiętasz – egzaminowałem wszystkich kandydatów na uczniów przez ostatnie dziesięć lat. Kto ci nagadał tych bzdur?

– Słyszałem ich – powiedziałem. – Wczoraj w nocy, w sklepie mojego mistrza.

– Co robiłeś w sklepie swojego mistrza?

Policzki mnie zapiekły. Staralem się nie patrzeć na swoją wypchaną kieszeń. Ani na pas pod koszulą, która wyglądała na dość wybrzuszoną.

Nie miało to znaczenia.

– Wróciłeś po tę kostkę, tak? – zapytał. Odpowiedziałem jak winny. Oswyn westchnął. – Och, Christopherze. Co mam z tobą zrobić? – Machnął ręką, bym usiadł. – No dobrze. Opowiadaj.

Opisałem splądrowany sklep. Nie obchodziły go nasze zagubione ptaki. Interesowała go rozmowa, którą podsłuchałem.

Oswyn słuchał osłupiały.

– Dlaczego Nathaniel miałby zabić Benedicta? Czy sprawy między nimi aż tak się pogorszyły?

– Szukał czegoś – powiedziałem. – Wat mówił na to „ogień”.

– Ogień? Czy to jedno z remediów twojego mistrza?

– Nie wiem. Nigdy o tym nie wspominał.

Oswyn wyglądał na zaintrygowanego.

– Jest ogień grecki. Ale każdy aptekarz zna ten przepis. – Stukał palcem w brodę, myśląc. Zmarszczył czoło. – Hm...

– Mistrzu?

– Brakuje testamentu Benedicta – powiedział Oswyn. – Spisał nowy z kancelistą trzy miesiące temu. Ktoś zabrał go z sejfu.

Kolejny skandal.

– Dlaczego miałby to robić?

– Podejrzewam, że nie podobało mu się to, co zawierał.

– Co się stanie ze sklepem? Naszym sklepem!

– Benedict wykupił nieruchomość od Gildii jakieś trzydzieści lat temu. Bez testamentu, bez rodziny, sklep wróci do Gildii. Roszczenia Stubba co do niego najprawdopodobniej zostaną odrzucone, ale był najbliższą konkurencją Benedicta i ma dość złota, by go wykupić. Jeśli chce zdobyć Blackthorn, będzie go miał.

Było mi niedobrze.

– Pieniądze to wszystko, na czym Stubbowi kiedykolwiek zależało

– powiedział Oswyn. – Jesteś pewien, że nie tego szukał? Schowka, który twój mistrz gdzieś ukrył? – Pokręciłem głową. – W takim razie musimy wziąć pod uwagę, że to był kolejny atak Kultu Archanioła.

– Mistrz Benedict mówił, że nie ma czegoś takiego jak Kult – powiedziałem.

– Ale jest, prawda?

– O tak. Chociaż Stubb w Kulcie... – Oswyn zamrugał. – Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Dlaczego to robią? Czego chcą?

Wzruszył ramionami.

– Tego co wszyscy. Władzy.

– Nie rozumiem.

Oswyn wyprostował się na krześle.

– Powiedz mi, skąd pochodzi uzdrawiająca moc w naszych remediach? Czulem, jakbym znów miał jedenaście lat i męczył się na aptekarskim egzaminie wstępnym.

– Od Boga.

– Zgadza się – odparł Oswyn. – Zioła, oleje czy maści, które mieszamy, nie mają żadnej własnej mocy. Są jedynie sposobem, dzięki któremu święte boskie błogosławieństwa mogą oddziaływać. Nasze remedia, choć cudotwórcze, czerpią z prawd danych ludziom przez Boga. Są i inne prawdy, większe, które nasz Pan zarezerwował dla swojej niebiańskiej osoby. I te niesamowitości, Christopherze, sprawiłyby, że nasze ziemskie cuda schowałyby się ze wstydu. Tego szuka Kult Archanioła – dodał. – Mocy samego Boga. Czymkolwiek jest ten „ogień”, najwyraźniej wierzą oni, że jest do niej kluczem. – Zmrużył oczy. – Więc dlatego Kult torturuje swe ofiary. To są przesłuchania. Musi im się wydawać, że ci ludzie wiedzą, gdzie jest ogień.

– Ale co robią, gdy go znajdą? – zapytałem.

– To, co każdy by zrobił z taką mocą. Będą kształtować świat tak, jak im się podoba.

Kształtować świat – pomyślałem.

Przypomniał mi się szalenciec z Dnia Dębowego Jabłka. Kult Archanioła poluje. Na kogo?



Przypomniał mi się też lord Ashcombe przesłuchujący mnie w sklepie. Co Benedict Blackthorn sądził o Jego Wysokości?

Teraz rozumiałem.

– Król Karol – powiedziałem. – Próbują obalić króla.

Oswyn pokiwał głową.

– Zawsze toczyła się walka o koronę, a jak na pewno wiesz, ostatnio była szczególnie zacięta. Zabić króla, przekonać parlament do dostosowania się i Anglia będzie należała do nich. – Westchnął. – Nie tak trudno to zrozumieć, naprawdę. Ty i ja możemy być lojalni, Christopherze, ale ten kraj nie jest rajem na ziemi. Twój mistrz był dobrym człowiekiem, nie miał cierpliwości dla knujących arystokratów, więc oszczędzono ci znajomości z najgorszymi z nich. Ale nie jesteś w stanie wyobrazić sobie zepsucia, które panuje wśród rządzących. Nawet ta Gildia – której celem jest wiedza i leczenie – nie jest od tego wolna. Nie jest niespodzianką, że są ludzie, którzy chcą czegoś więcej. – Uniósł brew. – Często to ci, którzy najgłośniej ogłaszają swoją lojalność.

Pomyślałem o mistrzu Benedyku. Był wierny Bogu, szukał też głębszych prawd. Ale nigdy nie pragnął władzy nad innymi. Kochał wiedzę samą w sobie.

Tęskniłem za nim.

– Nieważne – powiedział Oswyn. – Mamy bardziej naglące sprawy. Potrzebujemy kogoś, kto zweryfikuje twoją opowieść.

Nie mogłem powiedzieć Oswynowi o Tomie. Stałby się takim samym celem dla Kultu jak ja. I w niczym by nie pomógł. Oswyn potrzebował dorosłego świadka, nie ucznia piekarza.

– Byłem sam – powiedziałem.

Oswyn zacisnął usta.

– W takim razie mam problem. Gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, powiedziałem, że Gildia potrzebuje więcej mężczyzn o skromnej przeszłości. Nie każdy podziela to zdanie. Wielki Mistrz jest uczciwym człowiekiem, ale z lekka ślepy na prawdy o niektórych członkach. Ponadto takie odkrycie niesie ze sobą ogromny wstyd. Zwyczajnie nie będzie chciał uwierzyć, że aptekarz mógłby należeć do Kultu Archanioła. A ty już dość sobie nagrabiłeś. Sir Edward nie

był zadowolony, gdy wczoraj odezwał się bez pozwolenia. Przeklinanie mistrza było jeszcze gorsze. Valentine uważa, że należy cię wychłostać. – Popatrz na mnie ostrożnie. – Proszę, powiedz mi, że nie oczerniłeś Stubba jeszcze bardziej.

Nie, po morderstwie już nie.

– Nie, mistrzu. Przysięgam.

– Więc może uda się to jeszcze naprawić. – Wstał. – Wyślę kogoś, by czuwał nad sklepem Benedicta. I pomówię z sir Edwardem – bez Valentine’a – dziś po południu. Pewnie około czwartej. Jeśli Kult rzeczywiście na ciebie czyha, nie powinieneś wychodzić na ulice. Możesz ukryć się tutaj. – Dźgnął mnie palcem. – I mam na myśli ten gabinet, Christopherze. Nie chodź po terenie. Jeśli Stubb cię szuka, może też sprawdzić siedzibę.

Przełknąłem. To mi nawet nie przeszło przez myśl.

– Tak, mistrzu.

– Gdy pomówię z Wielkim Mistrzem, poproszę, żebyś powtórzył mu swoją wersję. Zwięźle. Z szacunkiem. Nie mów niczego, co nie jest jasnym i prostym faktem. I na miłość boską, tym razem kontroluj swój temperament. Zrozumiałeś?

– Tak, mistrzu.

Odwrócił się do wyjścia. Nagle się zatrzymał. Jego oczy się zwężyły.

– Jeśli kłamiesz, chłopcze... Uniosłem dłoń.

– Przysięgam, mistrzu Colthurst. Wszystko, co powiedziałem, to szczerą prawdą.

No dobra. Było jedno małe kłamstewko.

## Rozdział 18

Właściwie dwa.

Wystawiwszy głowę przez drzwi, patrzyłem, jak Oswyn odchodzi. Zatrzymał się na schodach na dziedzińcu, by pomówić z mężczyzną, który mnie wpuścił. Ten pokiwał głową i poszedł na górę. Oswyn wyszedł głównym wejściem. Czekałem tak długo, jak dałem radę wytrzymać – co trwało trochę mniej niż minutę, i następnie wybiegłem za nim na ulicę.

Nieważne, co obiecałem Oswynowi. Ulice mogły nie być bezpieczne, ale siedziba wydawała się jeszcze gorsza. Nie mogłem uwierzyć, że przyszedłem w to miejsce, nie myśląc, że Stubb może się tu pojawić, nawet w niedzielę.

„Też jest aptekarzem – zganiłem się. – Ma większe prawo tu być niż ty”. Poza tym było wcześniej. Miałem co najmniej sześć godzin, by się spotkać z sir Edwardem. I wciąż coś do zrobienia.

Baileyowie wrócili z mszy i znaleźli mnie siedzącego przed domem. Dziewczynki ucieszyły się na mój widok, a najmłodsze kręciły się wokół, by zaprezentować swoje niedzielne sukienki. Matka Toma nie była tym zachwycona.

– Nie wiem, czym zajmował się twój mistrz, Christopherze, ale jeśli mieszkasz w naszym domu, będziesz chodził do kościoła jak porządny chrześcijanin.

– Przepraszam, pani Bailey – powiedziałem. – Musiałem stawić się w siedzibie Gildii. Pójdę na mszę na dwunastą do Świętego Piotra. Czy Tom mógłby pójść ze mną?

Wydawała się zadowolona z takiego obrotu sprawy.

– Oczywiście. Repeta z mądrości Pana dobrze mu robi. Tom zmarszczył czoło. Gdy byliśmy sami, przemówił:

– Nie chcę repety. Wielebny Stills to straszny nudziarz.

– Nie idziemy do kościoła. – Cicho pomodliłem się o przebaczenie, licząc, że Pan Bóg zrozumie. – Wracamy do mistrza Hugh.

Dom Hugh był zamknięty na cztery spusty jak wczoraj. Nie spodziewałem się, że wróci, ale miałem nadzieję.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytał Tom.

– Musimy przeszukać to miejsce.  
– Ale nikogo... – Skrzyżował ręce na piersi. – Christopherze, nie włamujemy się tu.  
– Czy to naprawdę włamanie, jeśli mamy klucz?  
– Tak! – Zmarszczył brwi. – Zaczekaj. A od kiedy mamy klucz?  
Jeszcze go nie mieliśmy. Ale zaraz miało się to zmienić. Zaprowadziłem Toma na tył domu, gdzie cegły szły wzdłuż komina. Przyglądałem się im, przesuwając palcami po fakturze, aż znalazłem symbol.



Dokładnie taki jak w sklepie mojego mistrza. Wyjąłem klucz zza cegły i zaprezentowałem go tryumfalnie Tomowi.

Nie podzielał mojego zadowolenia.

– A co, jeśli mistrz Hugh wróci do domu?

– Myślę, że opuścił miasto.

– Tak myślisz. A co, jeśli... – Tom otworzył szeroko oczy. – O nie. Nie, nie. Nie, nie, nie.

– Uspokój się – powiedziałem. – Nie ma go tam. Jestem tego pewny.

Cóż, prawie pewny. Było możliwe, że Hugh został zamordowany. Nie wydawało mi się jednak, by tak się stało. Morderstwa Kultu były... raczej na pokaz. Jego wyznawcy chcieliby, aby wszyscy zobaczyli, co zrobili. Jeśli zabiliby Hugh, zostawiliby jakiś straszny znak, jak przy pozostałych.

Tak mi się wydawało. Chociaż chciałem ukryć to przed Tomem, to tak samo się bałem. Nie chciałem znaleźć kolejnego ciała. Nie mogłem. Nie miałem jednak wyboru.

Zaciągnąłem Toma do wejścia. Siebie też musiałem zaciągnąć.

Dom był ciemny. Pojedyncze promyki słońca wślizgiwały się przez szczeliny w okiennicach, wpuszczające tyle światła, byśmy cokolwiek widzieli. Nie było tu sklepu i zaplecza jak u nas w domu. Po prostu jedna długa, zagracona przestrzeń służyła Hugh

za warsztat.

Dom nie był splądrowany. I chwała Dzieciątku Jezus, że nie było też żadnego rozplatanego ciała. Poza tym warsztat był rozplanowany tak samo jak u mistrza Benedicta, aż po cebulowaty piec w rogu. Pomyślałem o przyszłości, o której marzyłem, o prowadzeniu własnego sklepu. Jeśli wciąż mam przyszłość – przypomniałem sobie.

Nikt tu nie pracował od długiego czasu. I kominek, i piec były zimne jak kamień.

– Czego szukamy? – zapytał Tom.

– U Hugh trzy. – Wyjąłem stronę z rejestru zza pasa mojego mistrza. – Tak jak jest w wiadomości.

– Co u niego jest trzy?

Nie wiedziałem. Mistrz Benedict wyraźnie oczekiwał, że znajdę odpowiedź, ale był geniuszem, jeśli chodzi o zagadki. Czasem zapominał, że inni – konkretnie ja – nie są aż tak dobrzy w rozszyfrowywaniu tajemnic jak on. Co gorsza, jego mózg pracował w dziwny sposób. Miałem nadzieję, że po wejściu rozwiązanie samo do mnie przyjdzie. Ale poza denerwującym uczuciem, że już tu byłem, wszystko, co widziałem, było zwykłym starym warsztatem.

Z braku rozwiązań poszedłem na górę. Na pierwszym piętrze mieścił się salonik żony Hugh. Była też kuchnia, na wprost zaopatrzona spiżarnia i jadalnia. Na stole w jadalni stała samotna miska, a wyschnięte smugi brązowej potrawy skrzepły wokół łyżki na dnie. Ze świecy został tylko ogarek, a jego fioletowy wosk rozlał się po wypolerowanym orzechowym blacie.

Na drugim piętrze mieściły się trzy sypialnie i pokój do szycia. Dwie sypialnie były pełne lalek i falbaniastych rzeczy należących do córek mistrza Hugh. Kolejna sypialnia była prosta i malutka, zgadywałem, że służącej pani Cogshall. Nie mogłem sobie wyobrazić, co mój mistrz pragnął, bym tu dojrzał.

Na ostatnim piętrze znalazłem kolejne dwie sypialnie. Jedna mniej dziewczęca, ale równie falbaniasta jak te poniżej, z łóżem z baldachimem, w niebieskozielonym aksamicie. Druga

zdecydowanie należała do Hugh.

Podobnie jak warsztat sypialnia była prawie identyczna jak mistrza Benedicta. Miała proste łóżko, stolik nocny i biurko pod oknem pokryte papierami. Nawet meble wyglądały jak robione przez tego samego stolarza. I tu też stosy książek wyrastały niczym drzewa z klepek podłogi, choć było ich nieporównanie mniej.

Pościel była pognieciona. Na podłodze, obok chyłcej się sterty książek, pozostało kilka ostatnich kęsów z kromki chleba. Stuknąłem w nią paznokciem. Była tak twarda, że wydała dźwięk.

– Nikogo tu nie było od kilku dni – powiedział Tom. – Spojrzał na papiery na biurku. – Czy musimy to wszystko przejrzeć?

Wydawało się, że to najlepsze miejsce, by zacząć. Usiadłem przy biurku i przekartkowałem dokumenty Hugh. Tom przeszukał ubrania w szafie, wywracając kieszenie.

Było tu mnóstwo notatek, receptur i przemyśleń na temat ziół i w ogóle mieszanek. Szukając *U Hugh 3*, przeglądałem trzecią stronę, trzecią linijkę na każdej stronie, trzecie słowo. Nic nie wyglądało obiecująco. Coraz trudniej też było mi się skupić. Kostka w mojej kieszeni wbijała się w nogę, a chociaż lubiłem nosić pas mojego mistrza, szwy ocierały mi biodra. Pas był przeznaczony do noszenia na wierzchu, a nie schowany przy skórze. Rozwiązałem go i rzuciłem na łóżko.

Po zeszłej nocy Tom miał tyle samo powodów, by lubić ten pas, co ja.

– To naprawdę coś – powiedział. Siedząc na podłodze z nogami splecionymi jak u małego chłopca, zaczął po kolei wysuwać flakoniki z kieszonek. Burczenie w jego brzuchu brzmiało jak pomruk tygrysa. – Zakładam, że nic z tego nie nadaje się do jedzenia – powiedział z rezygnacją.

– To jest jedzenie. – Kiwnąłem głową w stronę flakonu, który trzymał w ręku. – W pewnym sensie. To olej rycynowy.

Tom się skrzywił.

– Mam po nim biegunkę.

– Powinieneś. – Odłożyłem dokumenty Hugh i patrzyłem na stronę z rejestru. – Obok jest wymiotnica, jeśli wolisz. Sprawia,

że rzeczy wychodzą drugim końcem.

– Jeśli chcesz zepsuć mi apetyt – powiedział Tom – to nie działa.

Też byłem głodny. Opuściłem dom Toma tak wcześnie, że nie miałem szansy zjeść śniadania, a teraz ominął nas też obiad. Pomyślałem o zrobieniu nalotu na spiżarnię Hugh, ale zmusiłem się do zostania przy biurku, czytając stronę z rejestru po raz kolejny. Wciąż nie doszliśmy do tego, czemu służyły wszystkie części zaszyfrowanej wiadomości. Zwróciliśmy uwagę na słowa „koniec.miecz” w drugiej linii. Mistrz Benedict nie zapisałby tego bez powodu. To musiała być jakaś wskazówka.

Pytanie brzmiało, jak ją odczytać? Kropka mogła rozdzielać słowa, jak się nam zdawało. Albo mogła znaczyć coś zupełnie innego, jak punkt startowy, lub wystąpić zamiast przecinka albo myślnika. Równie dobrze mogło to nic nie znaczyć, dodane dla zmyłki, by sprowadzić ewentualnego szpiega na złą drogę. Koniec-miecz. Koniec mieć. Mieć koniec. Jaki koniec? Jak go znaleźć?

– Co w tym jest? – zapytał Tom.

Podniósł ampułkę z pasa mojego mistrza. Ciecz w środku była żółta i przejrzysta. Inaczej niż w innych góra flakonika była zalepiona woskiem i przewiązana sznurkiem.

– Olej szklany – powiedziałem.

– To jak rycynowy? – Zaczął odwijać sznurek.

– Nie ruszaj tego! – krzyknąłem.

Zamarł.

– Tego się nie je – wyjaśniłem. – Olej szklany rozpuszcza żelazo.

Zamrugnął.

– Naprawdę?

– Rozpuszcza też ludzi. Jeśli na ciebie spadnie kropla, stopi ci ciało.

Odsunął rękę od zamknięcia i powiedział:

– Możemy go na czymś wypróbować?

– Jeśli chcesz.

Wyglądałem przez okno, próbując zebrać myśli. Sypialnia Hugh na trzecim piętrze była o poziom wyżej niż otaczające ją budynki i dawała ładny widok na miasto. Można było zobaczyć nawet zieleń

prywatnego ogrodu wciśniętego w alejkę dwie ulice dalej.

I był tu też gołąb siedzący na parapecie.

– Co, do...? – zacząłem.

Tom uniósł wzrok.

– To Bridget – powiedziałem zdumiony.

Ruszyła główką i dziobnęła szybę.

– Śledziła nas aż dotąd? – zapytał Tom. – Czym ty karmisz tego ptaka? Uchyliłem okno. Miało na górze zawias i otwierało się na zewnątrz, więc zaczęło spychać ją z parapetu. Zamachała skrzydłami z pretensją.

– Nie mogę otworzyć, dopóki się nie ruszysz – powiedziałem. I zatrzymałem się.

Załapałem szyfr z rejestru. Przeczytałem wiadomość mojego mistrza po raz kolejny. Serce mi waliło.

U Hugh 3 pod lwami bramy do rajy

– Czy coś jest nie tak? – zapytał Tom.

– Chyba... chyba wiem, gdzie u Hugh jest trzy.

– Gdzie?

– Tutaj – powiedziałem. Tu, gdzie stoimy.

– W sypialni Hugh?

– Na którym piętrze jesteśmy? Tom liczył.

– Na trzecim. – Wyglądał na zaskoczonego. – U Hugh, trzecie. Ale skąd wiesz, że to poprawna odpowiedź?

Wskazałem okno.

– Spójrz.

Bridget próbowała wetknąć głowę w szczelinę u dołu ramy. Tom podążył za moim spojrzeniem, do prywatnego ogrodu. Był oddzielony od alejki bramą z parą kamiennych filarów połączonych żelaznym płotem. Na filarach były dwa posągi odwrócone do nas tyłem. Ich ogony okręcały się wokół podstaw.

Tom patrzył na mnie pytająco. Wcisnąłem mu w dłoń kartkę z rejestru. Przeczytał ją i spojrzał na ogród. Oczy mu się rozszerzyły.

– Posągi.

Kiwnąłem głową.

– To lwy.



## Rozdział 19

Zatrzymałem się, kiedy skręciłem za róg. Patrzyłem na ceglany mur zagradzający nam przejście. Znowu.

– Powinniśmy byli skręcić w lewo – powiedział Tom. Spojrzałem, skąd przyszedliśmy, widząc tylko więcej cegieł.

– Wtedy trafilibyśmy na ulicę.

– Nie, ulica jest w prawo. W lewo są domy.

– To jakiś labirynt – stwierdziłem.

– Chyba o to chodziło.

Opuściliśmy dom Hugh i ruszyliśmy w drogę do alejki, która prowadziła do posągów lwów. Powinniśmy być na prostej drodze do prywatnego ogrodu. Zamiast tego ktoś wymurował mylący układ ścian między budynkami, wysoki na piętnaście stóp, z ostrymi zakrętami i ślepych uliczkami. Na szczytach murów były żelazne kolce powstrzymujące przed wspinaniem się na drugą stronę.

– To ma więcej zawijasów niż precel.

– Co to jest precel? – zapytał Tom.

– To rodzaj wypieku, który robił kucharz w sierocińcu. Macza się go w maśle i... nieważne. Idziemy w prawo.

– W lewo – powiedział Tom.

– W prawo.

Bridget przefrunęła naprzód, skręcając w lewo. Tom utkwiał we mnie wzrok.

– No dobra, w porządku – poddałem się. – W lewo. Tom skrzyżował ręce na piersi.

– Powinniśmy dać ptakowi prowadzić.

Ptak miał rację. Idąc w lewo, trafiliśmy na ścieżkę przez labirynt, która prowadziła idealnie do samych filarów. Za kutym żelaznym płotem był prywatny ogród, bardzo podobny do tego, w którym w Dniu Dębowego Jabłka lord Ashcombe znalazł zakopane ciało. Brama była zamknięta, ale nie miała kłódki. Na szczycie każdego z filarów po bokach kamienny lew z podniesioną jedną łapą spoglądał na dwór w głębi.

– Co teraz? – zapytał Tom. Wyciągnąłem kartkę z rejestru. pod

Iwami bramy do raju Spojrzał na mnie.

– A to znaczy...?

Między posągami była brama. Czy prowadziła do raju? Nie widziałem tu nic wyjątkowego. Filary wyglądały jak duże szare bloki kamienia, połączone zaprawą. Dotknąłem ich. Pozostały dużymi szarymi blokami kamienia połączonymi zaprawą.

Za płotem ścieżka ze splekanych łupków prowadziła od bramy i rozgałęziała się wokół kanciastej budowli wysokiej na osiem i szerokiej na dwanaście stóp, z bluszczem wspinającym się po ścianach. Budynek był ozdobiony prostym kamiennym szczytem. Tam czekała na nas Bridget, skubiąc rozciągnięte skrzydło.

Ścieżka kończyła się przy tylnych drzwiach dworu. Po obu stronach łupków trawa była zaniedbana. Dawno nieprzycinane krzewy straciły swój kształt, ich gałęzie wystawały w zdeformowanych wiązkach.

Odemknąłem bramę.

– Chodźmy się temu przyjrzeć.

– Nie wolno nam tu wchodzić – powiedział Tom. – To teren prywatny.

Okna domu były ciemne. Jedyne dźwięki w ogrodzie wydawała Bridget, gruchając na nas ze szczytu krzyża.

– Myślę, że od dawna nikt tu nie mieszka.

Przeszliśmy wzdłuż ścieżki na drugą stronę kamiennej budowli, która okazała się mauzoleum. Front zwrócony ku domowi miał drewniane drzwi z żelaznym rygłem. Pnącza wznosiły się w górę ścian, rodząc białe kwiaty, które rozszerzały się niczym rogi. Nad drzwiami widniała mosiężna tablica, poznaczona zielonymi plamami przez wieki niepogody.

IN MEMORIAM

GWYNEDD MORTIMER A.D. 1322

REQUIESCAT IN PACE

Zmarszczyłem brwi.

– Mortimer. Skąd znam to nazwisko?

– Henry – przypomniał Tom. – Lord Henry Mortimer. Był trzecią ofiarą Kultu. – Tom podszedł do dworu i zajrzał przez okno. – Myślisz, że to był jego dom?

Bridget sfrunęła na trawę. Kiedy podniosłem gołębicę, wcisnęła dziób w moje palce, szukając jedzenia.

– Nic nie przyniosłem – powiedziałem.

– Christopherze.

Tom patrzył w kierunku, z którego przyszliśmy, przechylając głowę na jedną stronę.

– Podejź tu.

Podszedłem. Obrócił mnie przodem do ogrodu.

– Patrz.

Z miejsca, w którym staliśmy, mauzoleum zasłaniało większość żelaznej bramy prowadzącej z powrotem do labiryntu. Wciąż widzieliśmy lwy na filarach ponad nią. Zdawały się strzec narożników grobowca. Za domami wychodzącymi na ogród – których wszystkie okna były zamurowane – dostrzegłem okno sypialni Hugh, z którego po raz pierwszy ujrzeliśmy ukryty ogród. Za nim była wieżyczka kościoła. Nawet z tej odległości widziałem stojący na niej posąg. Był to brodaty mężczyzna z aureolą, którego prawa ręka uniesiona była w błogosławieństwie, a lewa trzymała klucz.

– To Święty Piotr – powiedział Tom. – Strażnik Bram Królestwa Bożego. Święty Piotr znajdował się nad mauzoleum, a lwy po obu stronach u jego stóp. Pnącza z biało kwitnącymi kwiatami wiły się wokół drzwi.

*Pod lwami bramy do raju.*

Znaleźliśmy je.

Wnętrze mauzoleum w środku było ciemne i ciasne. Na środku stał marmurowy sarkofag długi na sześć stóp. Nie miał żadnych wzorów poza śladami po wodzie i łacińską inskrypcją z boku:

DOMINUS ILLUMINATIO MEA

Pan jest moim światłem.

Trzy ze ścian miały alkowy. W każdej był posąg, wysoki na osiemnaście cali, wyrzeźbiony z tego samego marmuru co sarkofag. Mężczyzna po lewej, o okrągłej twarzy i smutnych ustach, trzymał w jednej ręce wieżę, a w drugiej księgę. Naprzeciw niego, po prawej, był łysy mężczyzna z długą brodą, trzymający łapę lwa leżącego spokojnie u jego stóp. Zdziwiło mnie, że obu z nich rozpoznałem. Widziałem ich wizerunki w książce, którą mistrz dał mi do czytania trzy miesiące temu, tej samej, o którą wypytywał mnie w sklepie lord Ashcombe. Byli to katolicycy święci: Tomasz z Akwinu po lewej i Hieronim ze Strydonu po prawej. Patroni wiedzy i nauki.

Posąg naprzeciwko drzwi przedstawiał anioła. Jego mocno zarysowane kości policzkowe i puste oczy okolone były długimi, opadającymi włosami. Skrzydła miał rozpostarte, a każde pióro wyrzeźbione z taką dokładnością, że wyglądało niemal jak prawdziwe. W prawej ręce trzymał miecz zwrócony ku dołowi, z końcem tuż nad kamienną podstawą. Drugą dłoń miał pustą, otwartą, z palcami skierowanymi ku ziemi.

Bridget zajrzała przez szparę w wejściu do mauzoleum i ostrożnie postawiła w ciemności jedną nóżkę. Tom pochylił się i przyglądał się z bliska lwu Świętego Hieronima. Ja nie mogłem oderwać wzroku od anioła.

*koniec miecz.*

Obszedłem sarkofag. Moje palce przesunęły się po mieczu anioła do jego końca.

*koniec mieć?*

Pociągnąłem za kamień, delikatnie, by nie uszkodzić posągu. Trąciłem koniec i spojrzałem na rękojeść. Anioł odpowiedział pustym spojrzeniem, pozostał nieruchomy.

Tom dołączył do mnie. Dotknął otwartej dłoni anioła.

– Jakby próbował ci coś pokazać.

Pod posągiem nie było nic, tylko chropowaty kamień. Spojrzałem na sarkofag. W nikłym świetle, u dołu trumny, mój wzrok przyciągnął znajomy kształt.

– Tom – szepnąłem.

Odwrócił się i spojrzał w to samo miejsce.

Każdemu innemu wydałoby się to kolejnym śladem po wodzie na marmurze. Ale my widzieliśmy ten znak już wcześniej.



Ukląkłem. Nie dostrzegłem żadnych łączy wokół symbolu, żadnej cegły do poruszenia. Przebiegłem palcami wzdłuż znaku, śledząc fale lekko zniszczonego kamienia dookoła. Żłobienie było idealnym okręgiem.

Nacisnąłem je. Kamienny pierścień wsunął się do środka.

Usłyszałem kliknięcie.

Głuche szuranie odbiło się echem w komnacie. Upadłem do tyłu, Tom podciągnął mnie za kołnierz. Bridget załopotana skrzydłami i wyfrunęła do światła.

Sarkofag przesunął się o trzy cale do Świętego Hieronima i się zatrzymał.

Pod trumną był otwór w podłodze.

## Rozdział 20

Zajrzałem w ciemność. Pachniała stęchlizną.

– Jest źle – powiedział Tom.

– Jest dobrze – odpowiedziałem.

Tom pokręcił głową.

– Jestem całkiem pewny, że jest źle.

Nic nie widziałem, ale po sposobie, w jaki mój głos się rozchodził, stwierdziłem, że cokolwiek tam było, było tego dużo. Tylko jak tam wejść?

Bridget wróciła i zajrzała do dziury. Odsunąłem ją na bok i pchnąłem trumnę w kierunku Świętego Hieronima. Przesunęła się o cal.

– Pomóż mi.

Tom, wahając się, podszedł i przepchnął sarkofag trochę dalej. Szurał o podłogę, aż się zatrzymał. Dziura poniżej była kwadratowa, szeroka na trzy stopy. Od strony anioła w ciemność schodziła wyszczerbiona drewniana drabina.

– Potrzebujemy światła – powiedziałem.

– Nie schodzimy tam – zaproponował Tom.

– Po to tu przyszliśmy.

Tom wyrzucił ręce w górę.

– Nie wiedziałem, że pod trumną będzie dół.

Wygaszona pochodnia wisiała w rogu przy drzwiach. Użyłem krzesiwa i hubki z pasa mojego mistrza, by zapalić jej naoliwiony koniec.

Pochodnia buchnęła jasnością. Trzymałem ją nad dziurą i ledwo mogłem dojrzeć dno.

– To jakieś dwadzieścia stóp – stwierdziłem. – Chodź.

Zawisłem na drabinie. Bridget maszerowała wokół dziury, wystawiając głowę i strosząc pióra. Zaszczębiotała zaniepokojona.

– Słuchaj ptaka – powiedział Tom.

Zszedłem. Z każdym stopniem powietrze było bardziej wilgotne. Zręczący Tom podążył za mną. Bridget zatrzepotała skrzydłami, ale nie chciała do mnie dołączyć.

Byliśmy w pomieszczeniu, które wyglądało na starożytną kryptę. Przejście, wysokie na osiem stóp, ciągnęło się od drabiny w tył w kierunku domu. Po każdej ze stron w występach wykutych w skale były szkielety.

Tom zszedł z drabiny.

– Och, oczywiście, są tu też ciała.

Szczątki były tu od wieków. Ich ubrania i okrycia rozpadły się, zostawiając po sobie nie więcej niż zardzewiałe zapinki pojawiające się tu i ówdzie między nadgryzionymi zębem czasu kośćmi.

– Krypta musiała być zbudowana stulecia temu – powiedziałem. – Chodźmy zobaczyć, dokąd prowadzi.

Tom zacisnął ręce i wymamrotał modlitwę.

– Jezu, w Twojej łasce, strzeż, proszę głupców takich jak my. Amen.

Przejście ciągnęło się dalej, ze szkieletami wyścielającymi ściany, przez kolejne pięćdziesiąt stóp, nim ostro skręciło w lewo. Zwęziło się do szerokości jednego człowieka i rozszerzyło w gładką, kwadratową komnatę.

Inaczej niż w korytarzu rzeczy tutaj były nowe. Po obu stronach stały ławy. Na tej po lewej było około trzydziestu szklanych słoików, każdy z opisanym płynem: woda, merkuriusz, okowita, *butyrum antymonii* i inne. Na drugiej ławie było tyle samo mniejszych słoików, również opisanych, zawierających proszki: sól, natron, piach, dzięcielinę – wszystkie znane. Mój wzrok przykuło to, co było przed nami.

Ściana naprzeciw wejścia pokryta była malowidłem. U góry anioł wbijał swój miecz w dół, w podbrzusze smoka. Smok wił się i miotał, rycząc w agonii, i zaraz miał połknąć małą, czarną kulę. Poniżej bestii namalowano dwa smoki, każdy z paszczą otwartą na małą czarną kulę. Scenę tę okrężał wielki wąż o czerwonym grzbiecie i zielonym brzuchu, którego głowa – ponad aniołem – zjadała własny ogon.

Tom szarpnął mój rękaw tak mocno, że prawie rozdarł mi koszulę.

– Musimy iść, Christopherze. Musimy iść. Ledwo mogłem utrzymać

równowagę.

– Co robisz?

– Nie zdajesz sobie sprawy, gdzie jesteśmy? To kryjówka Kultu Archanioła.

– Wcale nie – powiedziałem.

Tom wskazał palcem malowidło.

– Kult.

Następnie na figurę na górze.

– Archanioł. Potrząsnął mną.

– Teraz to połącz. Czy to takie trudne?

– To nie może należeć do Kultu – powiedziałem. – Mistrz Benedict chciał, bym to znalazł. Nie wysłałby nas do kryjówki swoich morderców bez żadnego ostrzeżenia. Nigdy w to nie uwierzę.

Tom nie był przekonany, ale przestał szarpać moją rękę.

– Więc... co to za miejsce? Jakiś tajny warsztat aptekarzy?

– To nie warsztat. – Poza składnikami nie było tu żadnych przyrządów.

Tylko kilka szklanych zlewek z długimi, wąskimi dziobkami na stole z płynami i łyżka o długiej ręczce na drugim. – To wygląda jak skład.

– Czego?

Nie byłem pewien. Znajdowało się tu wiele składników, ale nic, czego nie można znaleźć w zwykłej aptece. Nie umiałem sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby je tu schować.

Tom, wciąż wpatrzony w malowidło, przyciągnął mnie do siebie i szepnął do ucha:

– A co, jeśli jesteśmy obserwowani?

– Tom – powiedziałem. – To tylko obraz.

– To po co są w nim dziury?

Przez moment nie wiedziałem, o czym mówi. Po chwili zrozumiałem.

W paszczach smoków były czarne kropki. Myślałem, że to farba, jak na reszcie malowidła. Z bliska było jednak widać, że to niewielkie dziurki w ścianie, trzy ułożone w idealny trójkąt. Spojrzałem przez jedną z paszczy smoka po lewej, ale mimo



poходni było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Wbrew protestom Toma włożyłem do środka palec.

Nic nie poczułem. Za ścianą była przestrzeń, ale jej koniec – jeżeli był – nie dał się dotknąć palcem. Jedno mogłem stwierdzić. Po gładkości wgłębienia i tym, jak zimne było w dotyku, poznałem, że ściana nie była z kamienia, tylko z żelaza.

Z bliska malowidło było jeszcze bardziej imponujące. Setki kształtów i symboli rozmieszczono wokół smoków. Niektóre proste jak koła i kwadraty. Inne wyglądały jak nieznane litery zapomnianego języka. Gdy się im przyjrzałem, coś zauważyłem. Obok każdej z dziur przy smoczych pyskach niektóre znaki były otoczone złotem, tak delikatnie, że ledwo było to widać.

Złocenie obok jaszczura na górze było trójkątem przekreślonym poziomą linią, niczym szczyt ośnieżonej góry.



Smok przed Tomem miał trzy zaznaczone symbole: odwrócony trójkąt, dziwną drabinkę z zygzakiem na dole oraz okrąg z poziomą linią poprowadzoną przez środek.



Ostatni smok, na wprost mnie, miał jeden złoty znak.



Zatrzymałem się. Widziałem go już wcześniej.

To był symbol planety Merkury. Spojrzałem znów na ławy i na składniki na nich. Wyjąłem moją kostkę zagadkę z kieszeni i przekręciłem ją w dłoni.

– Co jest? – zapytał Tom.

Dotknąłem ściany.

– Myślę, że wiem, co to jest. To nie jest zwykły obraz. – Przesunąłem palcami od smoka do wgłębienia. – Myślę, że to są drzwi.

## Rozdział 21

Tom odsunął się od malowidła.

– Drzwi?

Wskazałem na symbole nad dziurami.

– Po to są składniki na stołach. Ciecze, proszki, a także zlewki i łyżka. To jak mój prezent. – Wyciągnąłem antymonowe pudełko. – Wlewasz właściwą rzecz i się otwiera.

– A co jest właściwe?

– Cóż, tu jest symbol Merkurego, więc zgaduję, że żywe srebro.

W jednym ze słojów na stole było sporo merkuriusza, więcej, niż kiedykolwiek widziałem w jednym miejscu. Wziąłem jedną z wyszczerbionych zlewek i nalałem do niej trochę metalicznej cieczy. Naczynie zrobiło się ciężkie, gdy napełniłem je do kreski.

Przy drzwiach dziobek zlewki pasował do otworu w paszczy smoka. Przechyliłem naczynie, pozwalając metalowi wypłynąć. Przy ostatnich kilku kroplach dało się usłyszeć głucho uderzenie zza malowidła.

– Zdziałało – powiedział Tom.

Ale nic więcej się nie stało. Pchnąłem ścianę. Tom dołączył do mnie, wkładając w to sporo siły. Ani drgnęła. Usłyszeliśmy kolejne uderzenie, jakby coś wróciło na swoje miejsce.

Odszedłem kilka kroków od malowidła.

– Są jeszcze dwa otwory – powiedziałem. – Trzeba we wszystkie coś włożyć, by drzwi się otworzyły. – A wnioskując z dźwięku, nie mamy na to więcej niż minutę.

Symbole, z odpowiednimi składnikami, były kluczem. Byłem zdumiony, jak było to sprytne. Znacznie lepsze niż zwykły klucz z żelaza czy mosiądzu, który mógł zostać zgubiony lub skradziony. Przy tych drzwiach, jeśli miałeś wejść, to wiedziałeś jak. My na razie nie wiedzieliśmy.

– Co z resztą wiadomości? – zapytał Tom. – Pamiętasz te litery z szyfru pisanego sokiem z cytryny? Może one podpowiedzą właściwe składniki.

Wyciągnąłem pergamin z szyfrem z kieszeni.

## KRYYYŻŻŁYŚGMJYZGS

– Patrz – mówił Tom. – Jest ż jak „żywe srebro”. Dalej ł jak... uch... „łajno”. Czy coś.

Jeśli zignorować wzmiankę o łajnie, pomysł Toma był dobry. Ale były też kolejne dwie dziury, kolejne cztery symbole, a wiadomość mojego mistrza miała dość znaków, by zacząć nowy alfabet. Nawet jeśli Tom miał rację, nie mogłem zliczyć, jak wielu kombinacji musielibyśmy spróbować. Byliśmy zagubieni.

Znowu.

Wróciliśmy na powierzchnię i przesunęliśmy sarkofag z powrotem na miejsce. Bridget już nie było. Chociaż bardzo chciałem zostać w podziemiach trochę dłużej, nie mogłem. Popołudnie szybko mijało, a musiałem jeszcze wrócić do siedziby Gildii Aptekarzy.

Po drodze zatrzymaliśmy się w domu Toma. Niechętnie zostawiłem kostkę zagadkę w jego pokoju. Pas mojego mistrza mógł być mniej lub bardziej ukryty pod koszulą, ale sześcian był zbyt duży, by nosić go ze sobą niezauważenie, a ostatnią rzeczą, której potrzebowałem, byłoby pytanie Wielkiego Mistrza Thorpe'a o to, co mam w kieszeni. Zatrzymałem przy sobie kartkę z rejestru i kawałek kartki z tłumaczeniem. Zatknąłem je bezpiecznie za pas.

Gdy wychodziliśmy z sypialni Toma, Cecily pojawiła się w drzwiach swojego pokoju z oczami szerokimi ze strachu.

– Uciekajcie! – szepnęła.

Mała Molly precyzyjnie przycisnęła się obok siostry, a jej kręcona czupryna podskakiwała w biegu. Rzuciła się do mnie z otwartymi ramionami, wtuliła twarz w mój brzuch i płakała.

Spojrzałem na Toma pytająco. Ukląkł obok swojej siostrzyczki.

– Molly? Cecily? Co się stało?

Tłusta pięść chwyciła za sukienkę Molly i ją odciągnęła. Dziewczynka, wyjąc, wylądowała na pupie.

Tom wyglądał na wstrząśniętego.

– Ojczy!

William Bailey chwycił mnie. Nigdy nie byłem wleczony za włosy, tym bardziej objając się o schody. Catherine i Isabel bawiące się w sieni rzuciły lalki i schowały się za swoją matką, która patrzyła,

jak jej mąż mnie ciągnie.

– Ojczy! – Tom biegł za nami. – Ojczy, proszę! Przestań!

William Bailey otworzył kopnięciem frontowe drzwi i wyrzucił mnie na ulicę. Przeleciałem po bruku. Moja koszula – koszula Toma – rozdarła się na ramieniu. Moja skóra rozdarła się razem z nią.

Leżałem w rynsztoku, zbyt obolały, by się ruszyć. Przyciskałem skaleczenie na ramieniu. Skóra głowy bolała mnie tak dotkliwie, że zastanawiałem się, czy ojciec Toma wyrwał mi dość włosów, bym był tak łysy jak Oswyn.

Tom ruszył mi na pomoc. Ojciec zdzielił go w policzek, nim zdążył wyjść za drzwi. Tom odbił się od ściany i przycisnął dłoń do twarzy, rażony ciosem.

William Bailey stanął nade mną.

– Nadużyłeś mojego zaufania, chłopczy.

Prawdą było, że ojciec Toma pozwolił mi mieszkać w swoim domu, ale byłem raczej pewien, że nie miało to nic wspólnego z zaufaniem.

– Co takiego zrobiłem? – wychrypiałem.

– Konstabl cię szukał.

Konstabl? Kręciło mi się w głowie od możliwych powodów, a żaden z nich nie był dobry. Czy ktoś widział, jak włamywaliśmy się do domu Hugh? Czy wiedzieli, że miałem kostkę zagadkę? Pas?

Sąsiedzi na ulicy patrzyli z zainteresowaniem, jak ojciec Toma dźgnął we mnie mięsistym palcem.

– Konstabl powiedział, że lord Ashcombe chce cię znaleźć. Mówił, że słyszał, że się tu zatrzymałeś. Powiedziałem, że nie wpuszczamy obcych do domu. Nie znamy cię. Nie chcemy cię znać. Nie zbliżaj się więcej do mojego syna.

Ruszył jak burza w kierunku domu. Tom pobiegł za nim do środka. Słyszałem szamotaninę i głośne kroki Toma po schodach w górę.

W drzwiach pojawiła się matka Toma. Była mniej zła, bardziej smutna.

– Przykro mi, Christopherze. Mój mąż ma rację. Musimy chronić naszą rodzinę. Proszę, nie przychodź tu więcej.

Zamknęła drzwi.

## Rozdział 22

Kilka miesięcy po dwunastych urodzinach prawie pękła mi czaszka. Grałem w piłkę ręczną w Bunhill Fields i jakiś chłopak podstawił mi nogę tak, że poleciałem głową na drzewo. Nie mogłem chodzić – nie mogłem nawet stać – więc Tom niósł mnie całą drogę do sklepu. Położył mnie na sienniku, a mistrz Benedict się nade mną pochylił.

Nie wiedziałem, gdzie jestem. Przerażony próbowałem uciec. Mistrz Benedict ostrożnie przytrzymał mnie na sianie.

– W porządku, Christopherze – odezwał się łagodnie. – To ja. Tylko ja. Wróciły mi zmysły.

– Myślałem, że znów jestem w sierocińcu – powiedziałem, wciąż się trzęsąc.

– Nie musisz się o to martwić – rzekł mistrz Benedict. – Blackthorn to twój dom. Już na zawsze.

Była to obietnica, której nie mogłem dotrzymać. A teraz zawaliło się też wszystko inne.

Ramię piekło mnie jak po użądleniu tuzina szerszeni. U Toma pewnie nie było lepiej. Miałem go już nigdy nie widzieć. No i nie wiedziałem, gdzie się mogę zatrzymać. Pomyślałem o zdaniu się na łaskę Gildii, ale to było poza moimi możliwościami. Jeśli Wielki Mistrz Thorpe nie uwierzy w moją historię, będę całkiem sam – bez domu, jedzenia, przyjaciół, zostawiony sam na sam z Kultem Archanioła.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie nic straszniejszego. Jeśli lord Ashcombe rzeczywiście mnie szukał, moje walące się w gruzy życie stało się jeszcze gorsze.

Było mi niedobrze.

Mężczyzna o ciemnoszarych oczach ponownie wprowadził mnie do siedziby Gildii Aptekarzy. Wyglądał na zdenerwowanego, gdy się pojawiłem.

– Chodź – powiedział, zaganiając mnie niecierpliwie ręką.

Wszedłem ostrożnie, jeszcze bardziej go irytując.

– Czy Stubb... mistrz Stubb tu jest? – zapytałem. Mężczyzna zamknął za mną drzwi i odszedł.

– Nie było go tu cały dzień.

Ulżyło mi, chociaż fakt, że mężczyzna wiedział, o kim mówiłem, oznaczał, że Stubb często tu bywał. Mógł pojawić się w każdej chwili. Modliłem się, żeby spotkanie się szybko zaczęło.

Przebiegłem dziedziniec, chcąc wrócić do gabinetu urzędniczego na głównym piętrze, w którym Oswyn polecił mi czekać tego ranka. Uczeń o długich, ciemnych włosach siedział na głównych schodach na wyższe kondygnacje, podrzucając w powietrze mały sztylet i łapiąc go niezręcznie. Patrzyłem, na wpół się wzdrygając, przekonany, że w każdej chwili może skaleczyć sobie palce.

Chłopak miał około szesnastu lat. Zauważył, że mu się przyglądam, gdy nóż był w powietrzu. Sztylet minął jego palce i odbił się od niebieskiego fartucha, dokładnie w miejscu, w którym nie chce się mieć sztyletów. Wytrącony z równowagi wstał.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Przyszedłem pomówić z Wielkim Mistrzem Thorpe'em – powiedziałem. – Mistrz Colthurst kazał mi wrócić o czwartej na spotkanie.

Uczeń spojrział przez ramię na okna.

– Och. Dobrze. Możesz poczekać w biurze mistrza Colthursta.

– Nie wiem, gdzie ono jest.

Wsunął sztylet za pas.

– Pokażę ci.

Kamienne stopnie na dziedzińcu prowadziły do wypolerowanej wiśniowej podłogi wewnątrz. Nie byłem tu od trzech lat, kiedy to szedłem do Wielkiej Hali na egzamin wstępny. Na ścianach wisały te same starannie tkane gobeliny, takie jak wtedy. Po jednej stronie była niebieska tarcza Gildii Aptekarzy. Po drugiej mężczyzna zbierający zioła i obserwujący go jednorożec. Światło niebios spływało na niego z rozchodzących się chmur.

Uczeń poprowadził mnie dalej, za półpiętro wiodące do Wielkiej Hali i w górę, na trzecie piętro. Gdy wchodziliśmy po schodach, miałem wrażenie, że już gdzieś widziałem tego chłopaka. Zastanawiałem się, czy był tu, gdy przystępowałem do egzaminu. Był raczej za stary, aby przystępować do egzaminu razem ze mną,



ale mógł być wtedy przydzielony do Hali.

– Jesteś uczniem mistrza Colthursta? – zapytałem go.

– Ja? Nie.

Odrzucił włosy z twarzy i poprowadził mnie w dół długiego korytarza w orzechowej boazerii. Dotarliśmy do prostych drzwi z kluczem w zamku. Uczeń zapukał i przez chwilę nasłuchiwał. Gdy nie usłyszał odpowiedzi, otworzył.

– Zaczekaj tu – powiedział. – Powiem mistrzom, że już jesteś. Wszedłem do środka. Zamknął za mną drzwi i przekręcił klucz.

Więc to było biuro Oswyna. Czyste – czego się spodziewałem po purytaninie – ale mniejsze, niż myślałem, że będzie. Na środku stało proste biurko. Za nim raczej niewygodne krzesło, tyłem do okna. Drugie, identyczne krzesło stało naprzeciwko. Biurko pokryte było równo ułożonymi stosami dokumentów, a jeden plik został zalany olejem z niezapalanej lampy osadzonej w pobliskim kącie. Ściany były surowe i pozbawione koloru i ozdób, poza przypiętymi do nich stronami papieru welinowego, część z notatkami, część z rysunkami różnych diagramów czy ikon. Kilka pustych słoików stało po jednej stronie, a pół tuzina książek po drugiej.

Usiadłem na krześle naprzeciw biurka i czekałem. Na ścianie obok mnie wisiał ciekawy szkic. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety dosiadało magicznych bestii: gryfona, mantykory, centaury i skrzydlatego konia. Każda z figur była podpisana po łacinie jako jeden z żywiołów, składników wszelkiego stworzenia. *Aer, ignis, aqua, terra*. Powietrze, ogień, woda, ziemia.

Stworzenia na rysunku przypominały mi malowidło w podziemiach domu Mortimera. Pomyślałem o skrytym za nim zamknięciu, o krypcie pod sarkofagiem, o figurach świętych w alkowach.

Sekrety za sekretami – pomyślałem. – Szyfry w szyfrach.

Kult Archaniola rozpoczął swoją morderczą kampanię cztery miesiące temu. Miesiąc później mistrz Benedict pokazał mi leksykon świętych. Wtedy mnie to zdezorientowało. Święci katolicy?

– Ważne, żebyś znał historię – mawiał mój mistrz. – Nigdy nie

wiesz, kiedy ci się przyda.

No i mi się przydała.

Następnie dał mi kostkę zagadkę. Nie był to tylko niezwykle prezent urodzinowy. To lekcja symboli i płynnych kluczy. Widziałem je też w malowidle pod kryptą.

Teraz rozumiałem.

Szkolił mnie. Mistrz Benedict nigdy nie przestał mnie szkolić. Chciał, żebym znalazł komnatę w krypcie. Prowadził mnie krok po kroku. By to zrobić, nauczył mnie wszystkiego, czego potrzebowałem, poza odczytaniem, co znaczący symbole na malowidle.

Wiedział, że nie będę ich rozumiał. Ale nie przeprowadziłby mnie tak daleko, by mnie zostawić samego. Musiał podsunąć mi rozwiązanie.

Musiało być gdzieś w wiadomości z rejestru.

Przyłożyłem ucho do dziurki od klucza w drzwiach Oswyna i nasłuchiwałem przez chwilę. Nie słysząc kroków, wróciłem do biurka i wyjąłem kartkę z rejestru i notatki z za pasa mojego mistrza.

Tej jednej linijki nie rozumiałem.

KRYYZŻŁYŚGMJYZGS

Co przegapiłem? Spojrzałem na oryginalną wiadomość, na wszystkie jej części razem.

†Δujar.Odyma.rbi ma w l.dop.3Hg.Uhu.

← ↓M08→05142020222207201601080420210115

koniec.miecz

neminidixeris

Każda linijka kryła coś innego. Pierwsza, z mieczem i trójkątem, których nie rozumiałem, mówiła, jak znaleźć kryptę, w której widziałem symbole, których też nie rozumiałem. Ostatnia linijka była ostrzeżeniem po łacinie, by zachować wszystko w tajemnicy.

Na środkowej linii Tom i ja wygenerowaliśmy zbitkę liter. Klucz do rozszyfrowania symboli musiał tu być. Dotarło do mnie, że jeszcze nie wymyśliłem, co znaczy „koniec.miecz”. Te słowa musiały być jakoś powiązane z tym, co je poprzedzało.

Koniec.miecz. Jak to mogło mi pomóc złamać szyfr?

Widziałem ostatnio dużo mieczy: symbol w pierwszej linijce wiadomości, posąg anioła w mauzoleum, malunek na żelaznych drzwiach poniżej. Czy coś przegapiłem przy którymś z nich? Czy był gdzieś jeszcze miecz, którego nie znalazłem?

Pokręciłem głową, czując, że ulatuje mi coś istotnego. Miecze nie miały tu żadnego sensu. Ta linijka to był szyfr. Skrywał słowa.

Koniec miecz.

Koniec mieć. Mieć? Jaki koniec? Tej wiadomości?

Co było takiego ważnego na końcu wiadomości?

*Nemini dixeris.* Nie mów nikomu.

Zastanowiłem się nad tym. To było ostrzeżenie. Dwa słowa zapisane jako jedno. Po łacinie. Łacina?

Mistrz Benedict, aptekarz. Łacina, język aptekarzy. Tajemnice w tajemnicach. Szyfry w szyfrach.

Czy szyfr miał być po łacinie?

Zmarszczyłem czoło. Tom już wcześniej pytał, czy ta wiadomość była po łacinie. Powiedziałem, że to niemożliwe. Alfabet łaciński miał tylko dwadzieścia trzy litery. Nie było Ż, Ł czy innych liter z ogonkami, zamiast J używano I. Nie było też U, zastępowano je V. I nie było W. Imię JULIUSZ CEZAR zapisywano jako IVLIVS CAESAR. Nigdy nie trafiało się na J.

Zamarłem.

Błąd. Popełniłem błąd.

Nigdy nie trafiało się na J. Bo nie było ono częścią alfabetu. Przetłumaczyłem wiadomość, jakby była po angielsku. Ale jeśli wiadomość była po łacinie, to szyfr był zły od początku. Przy innym alfabecie litery nie były takie same.

Chwyciłem pióro z biurka Oswyna. Rozpisałem szyfr, zaczynając jak wcześniej z 08 zamiast M, ale tym razem po łacinie.

A AĄ B C Ć D E EĘ F G H I J K L Ł  
24 25 26 27 28 29 30 31 32 01 02 03 04 05 06 07

M N Ń O Ó P R S Ś T U W Y Z Ż Ż  
08 09 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23

Zacząłem tłumaczyć na nowo. Po pięciu literach palce zaczęły mi drżeć. Musiałem użyć lewej ręki, by je przytrzymać.

Otrzymałem nową wiadomość. Przyglądałem się jej.

ISAACCLAVEMHABET

Tom miał rację. To była łacina.

*Isaac clavem habet*, głosiła wiadomość.

Isaac ma klucz.

## Rozdział 23

Przechadzałem się po biurze Oswyna, uderzając podszwami o podłogę. Moje myśli goniły za mną.

Isaac ma klucz. Isaac, księgarz, anonimowy przyjaciel mistrza Benedicta. Nigdy go nie poznałem, chociaż mistrz Benedict powiedział mi, gdzie jest jego sklep. Chciałem pobiec tam od razu, ale nie mogłem. Musiałem spotkać się z Radą Gildii. Moja ucieczka i tak nie przyniosłaby nic dobrego. Była niedziela. Sklep Isaaca był zamknięty.

Nie sprawiło to, że mniej się niecierpliwiłem. Niespokojnie przechadzałem się coraz szybciej, dookoła biurka Oswyna, czując się jak pies pasterski zaganiający owce. Przy jednym z okrażeń rzuciłem okiem przez okno i zauważyłem sylwetkę na dziedzińcu. Był to kolejny uczeń, wychodzący z laboratoriów.

Tom był wysoki, ale ten młody człowiek był niemal dwukrotnie większy, istny olbrzym. Jego szeroka jak beczka klatka piersiowa wyraźnie odznaczała się pod niebieskim fartuchem. Tak ociężale stapał po kamieniach, że przypominał słonia zbiegłego z królewskiego zoo.

Usiadł na jednej z ław przed stopniami Wielkiej Hali. Żelazo aż stęknęło pod jego ciężarem. Podobnie jak długowłosego uczeń Słoń też wyglądał znajomo. Ponownie pomyślałem o swoim egzaminie, ale coś mi tu nie pasowało. Czułem, że widziałem go niedawno. Próbowałem przypomnieć sobie gdzie.

Na plac wyszedł Oswyn. Był z Wielkim Mistrzem, podtrzymując go za łokieć i pomagając mu powoli zejść po schodach. Sir Edward wydawał się zaniepokojony. Oswyn nie wyglądał dużo lepiej. Coś mówili, ale będąc dwa piętra wyżej i za zamkniętym oknem, ledwo mogłem cokolwiek z tego wyłowić.

– ...sklep... przetrząśnięty... – opowiadał Oswyn. – Stubb... szukając... zniknął.

– ...myślisz... – odezwał się sir Edward. – ...muszą się skończyć... znaleźć lorda Ashcombe'a...

Oswyn pokiwał głową.

– ...już posłałem... Christopher... morderstwa... Kult...

Oswyn przeprowadził sir Edwarda przez dziedziniec. Stukot laski Wielkiego Mistrza na kamieniach roznosił się lepiej niż słowa. Otworzyłem okno, próbując dosłyszeć resztę rozmowy, ale teraz byli odwróceny do mnie plecami, kierując się do siedziby. To, co do mnie docierało, było w równie frustrujących niezrozumiałych fragmentach.

– ...Archanioła... – mówił Oswyn. – ...nie wierzę... robimy?

– ...Stubb... – odpowiedział Wielki Mistrz. – ...uczeń...

Wiatr rozwiał resztę ich konwersacji. Zniknęli pod łukiem w wyjściu na Blackfriars Lane. Przejście rozjaśniło się od słońca, gdy otwarto bramę, następnie znów pociemniało. Zamrugalem.

Czyżby oni właśnie opuścili siedzibę?

Tak bardzo starałem się podsłuchać ich rozmowę, że nie zauważyłem, dokąd się kierowali. Odczekałem chwilę, by zobaczyć, czy wrócą. Nie wrócili.

Długowłosego uczeń miał powiedzieć Oswynowi i Wielkiemu Mistrzowi, że tu jestem. Czyżby ich nie znalazł? Ruszyłem, by ich dogonić, ale zatrzymałem się w pół kroku.

Drzwi do gabinetu Oswyna nie chciały się otworzyć.

Potrząsnąłem klamką, ale ani drgnęła, zasuwka była uwięziona w ościeżnicy. Zajrzałem w dziurkę od klucza, sprawdzając, czy klucz się nie zaciął. Nie zaciął się. W ogóle go nie było.

Uczeń mnie zamknął.

Gapiałem się chwilę na drzwi, a serce zaczynało mi walić. Podbiegłem znów do okna. Słoń wciąż siedział na jednej z żelaznych ławek, bez specjalnego zainteresowania ciskając kamyczkami w stadko jaskółek, które zebrało się przy studni. Prawie zawołałem go na pomoc, ale sposób, w jaki rzucał kamienie, przywołał wspomnienie.

Kości.

Wtedy widziałem Słonia. Prawie się o niego przewróciłem, gdy wybiegłem ze sklepu po tym, jak mistrz Benedict mnie uderzył. Był za naszym domem w alejce, rzucał kości. Stał z nim drugi chłopak. Nie widziałem jego twarzy, ale miał długie, czarne włosy. Byłem tak

zmartwiony, że ledwo ich zauważyłem. Teraz przypomniałem sobie ich obu.

Byli w alejce za sklepem tuż przedtem, gdy mój mistrz został zamordowany. Słoń i długowłose uczeń, ten, który mnie tu przyprowadził.

Zaczęło mnie ścisnąć w dołku. Uczeń nie poszedł powiedzieć sir Edwardowi i Oswynowi, że już czekam. Poszedł wywabić ich z budynku. Opuścili go, nie wiedząc, że tu byłem. Byłem w pułapce.

Zrozumiałem, dlaczego mój mistrz wtedy nie uciekł. Tak samo był w pułapce, otoczony przez tych samych wrogów. Chcieli odkryć sekrety mistrza Benedicta. Jeśliby uciekł ze mną, pojmaliby nas na ulicy lub po wyśledzeniu miejsca, do którego byśmy uciekli. Najlepsze, co mistrz Benedict mógł zrobić, to mnie odesłać. Poświęcił się dla mnie. Teraz zamknięty w gabinecie Oswyna marnowałem to. Dałem im się pojmać tak jak on.

Ruch na dziedzińcu wyrwał mnie z rozdzierającej rozpacz. Pojawił się Valentine Grey, trzeci członek Rady, ten, który podobno chciał mnie wychłostać za bezczelność. Jego ogromny złoty łańcuch odbijał się od brzucha, gdy spieszył po schodach. Zatrzymał się na dole i łapiąc powietrze, odezwał się do Słonia:

- Gdzie jest sir Edward? Uczeń wskazał wejście.
- Właśnie wyszedł, mistrzu.

Valentine pobiegł do bramy, przytrzymując swój łańcuch. Jak reszta członków Rady przed nim zniknął pod łukiem i już nie wrócił.

Mistrzów nie było. Modliłem się, by było to nieporozumienie, bym się mylił. Kiedy widziałem, że przejście znów pojaśniało, wstrzymałem oddech. Wrócili – pomyślałem. Wtedy zobaczyłem, kto się pojawił.

Wat.

Przeszedł przez dziedziniec, rozwiązując swój niebieski fartuch. Rzucił go na ławkę obok Słonia.

– Uczeń Blackthorna tu jest – powiedział Słoń. Palce Wata bawiły się rękojeścią noża.

- Gdzie?
- Martin zabrał go na górę.

Długowłosego uczeń – Martin – pojawił się na szczycie schodów.

– Gdzie on jest? – zapytał Wat.

– Zamknąłem go w gabinecie mistrza Colthursta – odpowiedział Martin.

Cała trójka spojrzała w górę w otwarte okno. Odskokczyłem na bok, mając nadzieję, że mnie nie widzieli – jakby w tej sytuacji robiło to jakąkolwiek różnicę.

– Czemu go tam zabrałeś? – słyszałem, jak Wat pytał bardziej gniewnie niż zwykle.

– Powiedział, że przyszedł spotkać się z mistrzem Colthurstem – tłumaczył się Martin. – Co miałem zrobić?

– Ukryć go gdzieś. Nikt nie powinien go widzieć. A co, jeśli mistrzowie poszliby na górę?

– Po co mieliby to robić?

– Dostyc. – Głos Słonia zagrzemiał. – To nie ma znaczenia. Mistrzowie wyszli. Teraz już nikt go nie znajdzie.

– Dokończmy to w takim razie – powiedział Wat i przysięgłbym, że słyszałem, jak jego ostrze opuściło pochwę.

– Jeszcze nie – powiedział Słoń. – Odźwierny wciąż tu jest. Zajmij się nim. Nie, nie w ten sposób. Daj mu do załatwienia coś, co go zajmie na jakiś czas. Martin i ja sprawdzimy resztę siedziby, upewnimy się, że nikt więcej nie przyszedł.

– Po prostu zapytaj odźwiernego – rzucił Martin. – On to wie.

– Nasi mistrzowie kazali nam się upewnić – mówił Słoń. – Więc się upewnimy. Gdy siedziba będzie pusta, przyprowadź Christophera do piwnicy. Tam się nim zajmiemy. Żeby nie miał dokąd uciec.



## Rozdział 24

Serce mi biło niczym młot, a jego walenie odbijało się echem po czaszce. Każde uderzenie przychodziło z pytaniem: Jak mogłem być tak głupi?

Gdybym nie był tak zaabsorbowany sobą. Gdybym popatrzył na tę dwójkę za sklepem przez sekundę dłużej. Gdybym nie przyszedł tu ślepo za Martinem. Nie myślałem przecież, że Stubb będzie działał w Kulcie sam.

Pokręciłem głową. Później się poużalam. Teraz musiałem się stąd uwolnić. Okno – pomyślałem. Ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. Dziedziniec był pusty. Wystawiłem głowę dalej, sprawdzając, czy mógłbym jakoś zejść po ścianie. Chciałem krzyczeć po odźwiernego. I zrobiłbym to, gdybym nie wiedział, że Wat z chęcią by go zabił, aby mnie uciszyć. Podszedłem z powrotem do drzwi i próbowałem kręcić okrągłą klamką, najmocniej, jak tylko mogłem. Bez skutku. Futryna drzwi była z litego dębu, zasuwka z żelaza. Mogłem najwyżej ukręcić klamkę.

Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu broni, czegokolwiek, czego mógłbym użyć. Krzesła były solidne. Mogły służyć za niezłe pałki, ale gabinet Oswyna był tak mały, że mało było miejsca, by nimi machać. Książki wydawały się bezużyteczne. Lampa? Być może. Miała podstawę z porządnego mosiądzu, była dość ciężka, by wyrządzić krzywdę. Miała też olej, co mogło być niebezpieczne. Niestety, nie miałem jak jej podpalić.

Wtedy do mnie dotarło: wiedziałem, jak to zrobić. Mogłem też dużo więcej. Miałem pas mojego mistrza. Na sobie. Były w nim nie tylko krzesiwo i hubka, ale o wiele więcej przydatnych rzeczy. Podciągnąłem koszulę i spojrzałem na mnóstwo flakoników w kieszonkach, z korkami wystającymi powyżej materiału.

Moją pierwszą myślą było zrobienie znowu prochu, by spróbować wysadzić siedzibę. Ale ampułki ze składnikami, których potrzebowałem, były puste. Zużyłem wszystko, uciekając przed Stubbem i Watem, a nie wpadłem na to, by je uzupełnić, kiedy przeszukiwaliśmy warsztat Hugh. Przekręciłem pas, szukając czegoś

innego. Wtedy zobaczyłem flakonik z woskową pieczęcią u góry, owinięty sznurkiem. Ten sam, który zafascynował Toma w sypialni Hugh. Wyciągnąłem flakonik z kieszonki pasa.

Olej szklany. Magiczny płyn, który rozpuszczał żelazo – takie jak w zamku w drzwiach gabinetu Oswyna.

Musiałem się spieszyć. Wyszarpnąłem sznurek z wosku i złamałem pieczęć. Ze szkła uleciał ostry zapach kwasu. Zdarłem jeden ze szkiców Oswyna ze ściany, mając nadzieję, że wybaczy mi dewastację gabinetu. Złożyłem pergamin w rynienkę i wsunąłem ją w szparę między drzwiami a futryną. Ostrożnie po kropli wlewałem żółty olej w dół na metal.

Żelazo natychmiast zaczęło syczeć. Opary, które uniosły się z piany, sprawiły, że zaschło mi w gardle i zacząłem się dusić. Musiałem odsunąć się na krok, kaszląc, gdy olej szklany działał na zasuwkę. Pozwoliłem kilku kroplom, które wlałem, powzerać się przez chwilę w żelazo, i dodałem kolejne.

Zasuwa korodowała wolno – zbyt wolno – ale bałem się ten proces przyspieszyć. Zamek nie był gruby, a kwasu nie miałem za wiele, nie mogłem nic zmarnować. Już trochę go straciłem na pergaminowy lejek, który rozpuszczał się szybciej niż żelazo. Miałem nadzieję, że odporny na ciecze welin wytrzyma dość długo, by dokończyć dzieła, ale zanim przelałem trzecią dawkę oleju, spadł na podłogę płatkami poczerńiałej cielecej skóry.

Ruszyłem po kolejny pergamin ze ściany Oswyna. Nagle wpadłem na lepszy pomysł. Wyciągnąłem srebrną łyżeczkę z pasa mojego mistrza i wcisnąłem ją między drzwi a futrynę, a następnie użyłem jej rączki, by po niej wkrapiać olej szklany na zasuwkę. Żałowałem, że nie pomyślałem o tym, zanim zniszczyłem kolekcję Oswyna. Dewastowanie jego drzwi też mnie do niego nie zbliżało. Jeśli nie dostanę szansy na wytłumaczenie, co tu zaszło, stracę jedyne go sojusznika.

Zasuwka powoli zniknęła. Z żelaza został tylko wąski pasek podziurawionego metalu, a flakonik był pusty. Nic więcej nie mogłem zrobić. Chwyciłem klamkę oburącz i pociągnąłem.

Zasuwka wciąż nie puszczała.

Przyłożyłem jedną stopę do ściany i zapałem się. Żelazo się ugięło.

Jeszcze raz. Pociągnąłem z całej siły. Równie mocno się modliłem, wysyłając ciche błagania do nieba. „Proszę, Boże. Proszę, Panie. Pomóż mi”.

Zasuwka puściła z metalicznym brzdękiem. Jej przeżarty koniec wyleciał i odbił się głucho od podłogi, zostawiając za sobą żółte krople. Upadłem do tyłu, urażając po raz kolejny otarte ramię. Byłem wolny?

Niestety, nie.

Martin gapił się na mnie szeroko otwartymi oczami z drugiej strony otwartych drzwi.

– Jak... – zaczął.

Podniosłem się niezdarnie. Chwyciłem najbliższe krzesło. Zanim zdążyłem je rzucić, Martin już był obok.

Złapał mnie za ramiona, pchnął na biurko. Jego kant wbijał mi się w kręgosłup, tuż poniżej żeber.

Poczułem nieznośny ból. Zawyłem i opadłem na podłogę. Martin przewrócił się wraz ze mną. Jego ciężar zabrał mi dech z piersi.

Przez chwilę nie mogłem się ruszyć. Leżałem tak, jęcząc jak w agonii. Otworzyłem oczy, by zobaczyć pięść Martina lecącą ku mojej twarzy. Knykcie Martina uderzyły w moje zęby. Głowa gruchnęła o podłogę. Poczułem smak krwi.

– Ty mały szczurze – wysyczał.

Jego cios mnie ogłuszył, ale on jeszcze nie skończył. Zamachnął się, by uderzyć mnie po raz kolejny. Sięgnąłem do pasa, bardziej odruchowo niż z jakiegokolwiek innego powodu. Chwyciłem pierwszą z brzegu ampułkę, by wbić mu ją w policzek.

Szkló roztrzaskało mi się w rękę, a wyszczerbione brzegi rozcięły ciało Martina. Krzyczał, gdy przeciągałem rozbity flakonik w dół do jego brody, a sproszkowana umbra wysypywała się na mnie. Poczułem ostry ból w palcu.

Martin odepchnął mnie i przeturlał się na bok, wciąż trzymając się za twarz.

Przetoczyłem się w przeciwną stronę. Martin odwrócił się

do mnie, z palcami przy krwawiącym policzku i niepohamowaną złością w oczach.

W ampułce wciąż było trochę proszku. Sypnąłem mu go prosto w twarz.

Krzyknął. Upadł do tyłu, osłaniając piekące oczy ramieniem. Cisnąłem w niego resztką szkła. Odbiło się od jego niebieskiego fartucha, nie czyniąc żadnej szkody.

Przez jakiś czas miałem spokój z Martinem, ale kręciło mi się w głowie. Użyłem krzesła leżącego teraz na podłodze, by się podeprzeć. Zatoczyłem się i boleśnie przywaliłem kolanem w dębowe szczeble. Przez plecy przeszedł okropny skurcz.

Martin patrzył przez łyzy. Jego oczy były przekrwione, a sproszkowana umbra utrzymywała się na policzkach. Mocno krwawił z rany, którą mu zadałem, krew spływała po jego brodzie i plamiła kołnierz. Zaczął się podnosić. Sięgnął po nóż.

Złapałem lampę Oswyna. Zamachnąłem się dziko. Martin się uchylił. Lampa świsnęła koło niego, nie czyniąc mu szkody, ale na chwilę wytrąciła go z równowagi. Zatoczył się i upadł w róg pokoju.

Podniosłem lampę i wybiegłem z pokoju.

Chciałem wrócić tą drogą, którą przybyłem. Nagle musiałem się zatrzymać. Jakieś trzydzieści stóp ode mnie, w dole korytarza, Słoń też się zatrzymał. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Zamachnąłem się lampą Oswyna, a on zamachnął się węzłowatą liną.

Odwróciłem się i rzuciłem w przeciwnym kierunku.

## Rozdział 25

Martin wypadł z gabinetu Oswyna z twarzą całą we krwi. Biegłem przed siebie, do końca korytarza. Kolejne wyjście było tuż obok gabinetu Oswyna. Nie miałem pojęcia, dokąd prowadziło.

Zwieńczone łukiem drzwi zamykały wąską, spiralną klatkę schodową. Puściłem się na dół najszybciej, jak mogłem. Każdy krok wysyłał szpile bólu przez moje obolałe plecy. Martin był tuż za mną, a kroki Słonia niosły się gdzieś z tyłu.

Zdałem sobie sprawę, że lampa z gabinetu Oswyna nie za bardzo nadawała się na broń. Ale mogłem użyć jej do czegoś innego. W pół drogi w dół schodów rzuciłem ją za siebie. Szkło się rozbiło, a bursztynowy olej chlusnął na stopnie.

Zadziałało lepiej, niż się spodziewałem. Martin próbował zmniejszyć dystans między nami, ale jego stopa poślizgnęła się na oleju. Zjechał ze stopnia i trafił twarzą w balustradę z kutego żelaza. Zadźwięczało, jakby zabił dzwon kościelny. Martin runął na dół.

Nie zatrzymałem się, by na niego popatrzeć. Martina miałem z głowy, ale wciąż deptał mi po piętach Słoń. Na końcu schodów wąskie przejście prowadziło w kolejny korytarz. Biegłem, sprawdzając każde drzwi. Wszystkie były zamknięte. Usłyszałem za sobą głosy. Martin kłął. Słoń coś mu odkrzyknął. Skreśliłem w prawo, w dół korytarza, później w lewo, w kolejny. Znalazłem kolejne schody i zbiegłem po nich.

Byłem na parterze, w komnacie, którą rozpoznawałem. To był gabinet urzędników, w którym Oswyn kazał mi zostać. Za nim znajdował się dziedziniec. Wybiegłem na zewnątrz i zatrzymałem się.

Przy wejściu do siedziby czekał Wat.

Zamarłem. Wat spał się, jakby chciał mnie gonić. Nie zrobił jednak tego, tylko zerknął w puste okna.

– Jest tu! Na dole! Na dziedzińcu! – krzyknął.

Zajął mi sekundę, zanim zrozumiałem, dlaczego się na mnie nie rzucił. Nie musiał. Obstawił jedyne wyjście. Wystarczyło, żeby

zaczekał na Martina i Słonia. Niedługo. Już słyszałem ich na schodach.

Nie miałem dokąd uciekać. Odwróciłem się i pobiegłem do laboratorium. Byłem tu raz, po egzaminie, kiedy mistrzowie oprowadzali nas po siedzibie Gildii. Miała jedno główne wejście do kompleksu pracowni, który składał się z trzech komnat. Środkowa, do prac ogólnych, mieściła stoły robocze pokryte pojemnikami, butlami, beczkami i rurami. Drzwi po prawej prowadziły do destylarni, która pompowała zapach alkoholu do pokoju przygotowań. Kolejne drzwi, po lewej, kryły piec kuchni. Każda z trzech głównych komnat, jak pamiętałem, miała nieduży składzik z różnymi ingrediencjami.

Nie pamiętałem, niestety, że żadne z pomieszczeń nie miało okien, którymi mógłbym teraz uciec. Większość światła pochodziła ze świec osadzonych na ścianach, teraz wypalonych do ogarków. Więcej światła wylewało się z drzwi do kuchni. Uciekłem tam, mając nadzieję, że może ktoś tam jeszcze pracował.

Nie miałem szczęścia. Jedynym znakiem życia był ogień pozostawiony w ogromnych piecach. Mistrzowie zostawili naczynia na rusztach, by dogotować swoje mikstury. Byłem sam.

I znów w pułapce.

– Tutaj! – krzyknął Wat z dziedzińca. – Wszedł do laboratorium!

To koniec. Osaczyli mnie. Ale wciąż miałem rozwiązanie tajemnicy krypty w swojej kieszeni.

Isaac ma klucz.

Wyciągnąłem skrawek kartki z odszyfrowanym tekstem zza pasa mojego mistrza i wrzuciłem do najbliższego pieca. Skreślił się niemal natychmiast i spalił na popiół. Chciałem wrzucić też stronę z rejestru, ale się powstrzymałem. Spojrzałem na pismo mojego mistrza i... zrezygnowałem.

Wcisnąłem kartkę z powrotem za pas i desperacko rozejrzałem się w poszukiwaniu broni. Miałem tu lepszy wybór niż w gabinecie Oswyna. Na przykład gorący żelazny talerz stojący na ogniu. Albo pogrzebacz do użycia jako włącznik lub pałka.

Pokręciłem głową nad swoją głupotą. Nie byłem królem Arturem.

Nie miałem szans zgładzić dziś jakiegoś olbrzyma. Słoń mógł mnie zmiażdżyć, tylko o tym myśląc. I nawet jeśli uciekłbym przed nim i Martinem, to Wat wciąż bronił wyjścia swoim nożem. Nigdy się stąd nie wydostanę, walcząc.

Potrzebowałem chwili ich nieuwagi, tak jak ostatnio, gdy uciekłem Watowi. Znajdowałem się w laboratorium. I jedyną rzeczą, którą mogłem zrobić, to przygotować coś, co odwróci ich uwagę.

Pobiegnąłem na zaplecze kuchni. Było tak pełne, że ledwo udało mi się wejść do środka. Nigdy nie widziałem takiego wyboru składników. Pięcio-, dziesięcio-, dwudziestogalonowe szklane dzbany mieniły się tęczą płynów. Ceramiczne słoje były tak wielkie, że wyglądały, jakby miały służyć wielorybom.

Potrzebowałem czasu. Znalazłem cukier i saletrę. To najlepszy zestaw do odwracania uwagi.

Przeciagnałem słoje do kuchni, szurając ceramiką po kamieniu i ignorując ból w plecach. Mój plan zadziałałby lepiej, gdybym stopił składniki, ale nie miałem na to czasu. Przechyliłem słoje obok drzwi prowadzących do pokoju przygotowań i wymieszałem ich rozsypaną zawartość palcami.

Głosy dobiegały z centralnej komnaty.

– Złamał mi ząb – jęczał Martin.

– Cicho – mruknął Słoń.

– Zabiję małego robaka.

– Nawet go nie tkniesz. A teraz zamknij się i daj mi nasłuchiwać.

Podkradłem się do najbliższego pieca i użyłem szczypców, by wyjąć żarzący się węgiel.

– Żarty się skończyły, Christopherze! – zawołał Słoń. – Wychodź. Kroki zbliżały się do drzwi.

Upuściłem węgiel na biały kopczyk na podłodze. Słysząc było syk.

– Co to? – zapytał Martin.

Wtedy proszek stanął w płomieniach. Dym kłębił się, a po chwili czerwona ściana ognia wybuchła.

– Do tyłu! – krzyknął Słoń z drugiego pomieszczenia. – Kryj się!

Upadłem na podłogę i przeczołgałem się równie przerażony jak oni. Nigdy wcześniej nie mieszałem tyle cukru i saletry. Płonące

piekło chlapało kroplami gorącego karmelu aż pod moje buty. Dym wypełnił pomieszczenie białymi kłębam. Ledwo widziałem, co było kilka centymetrów przede mną.

– Podpalił siedzibę – powiedział Martin.

– Christopherze! – zawołał Słoń. – Wyłaź stamtąd! Zabijesz się.

Nie mylił się. Chciałem zrobić dym, by opary ukryły mnie i powstrzymały ich na minutę czy dwie. Ale kłęby dymu wdzierały się wszędzie, drażniąc oczy i dusząc. Wbiegłem z powrotem na zaplecze, kaszląc, zwijając się z mdłości i ciężko łapiąc powietrze. Chwyciłem fartuch i zawiązałem go wokół twarzy, zakrywając nos i usta, z nadzieją, że odfiltruje to część dymu. Trochę pomogło, ale nie mogłem tam długo zostać.

Zyskałem trochę czasu do pracy. Dobrze byłoby zbudować kolejną armatę, ale wypaliłem całą saletrę. Nie miałem już z czego zrobić prochu. Potrzebowałem czegoś innego.

Dym był tak gęsty i oczy tak bardzo mi łzawiły, że ledwo mogłem przeczytać etykiety na słojach. Między białymi proszkami znalazłem natron. A dalej, po drugiej stronie w dwudziestogalonowym dzbanie, był ocet.

Chwyciłem kolejny z zapasowych uczniowskich fartuchów zawieszonych na kołkach i wsypałem w niego natron, skręcając rogi materiału, by zrobić ciężki tobolek. Przechyliłem dzban i pozwoliłem połowie octu wylać się na podłogę. Przemoczył mi buty, podchodząc pod rząd jutowych worków pszenicy pod drzwiami i barwiąc je na rdzawoczerwono.

Jeśli to przetrwam – pomyślałem – nie będzie w Gildii mistrza, który nie chciałby mnie wychłostać.

Kwaśny zapach octu zmieszany z dymem sprawił, że kaszlałem coraz mocniej. Wepchnąłem toból z natronem w szeroki otwór dzbana. Wcisnąłem z powrotem ogromny korek tak, że przytrzymał część fartucha w szyjce.

Dopchnięcie nogą wystarczyło, by zatyczka się trzymała.

Po chwili pozostały w dzbanie ocet przesiąknął przez płótno. Płyn zaczął musować.

– Christopherze! – wołał Słoń, wciąż czekając na mnie przy



wejściu do centralnego pomieszczenia. – Nie możesz uciec. Wyjdź. Potrzebujemy tylko pewnych informacji. Nie skrzywdzimy cię, jeśli powiesz nam to, co chcemy wiedzieć.

Czy wyglądałem na aż tak głupiego? Nadszedł jednak czas, żebym wyszedł. Dzban nie mógł dłużej wytrzymać; zatyczka już wyginała się przy szkłe. Do tego dym przyprawiał mnie o zawroty głowy.

Uniosłem dzban, posyłając kolejne igły bólu do swojego kręgosłupa. Potrzebowałem jeszcze jednej broni. Znalazłem ją w małym garnuszku o długiej rączce, bulgoczącym na ogniu z kleistą, brązową mazią, która śmierdziała jak sam szatan jedzący fasolę. Ściągnąłem garnuszek z ognia. Żelazne denko szorowało po kracie z metalicznym zgrzytem.

– Christopherze! – odezwał się Słoń.

Waga garnuszka sprawiła, że boleśnie zadrżało mi całe ramię. Zakradłem się pod drzwi prowadzące do centralnego pomieszczenia. W drugiej ręce miałem dzban z natronem i octem. Powinienem wiedzieć, gdzie stoją.

Zakaszlałem.

– Obiecujecie mnie nie skrzywdzić?

– Oczywiście – odpowiedział Słoń. Tam.

Rzuciłem parującą maź w kierunku jego głosu. Rozbryzgała się po lnie jego fartucha. Krzyknął.

Wybiegłem przez drzwi, z dzbanem w jednej ręce i żelaznym, pustym już garnuszkiem w drugiej. Dym był teraz na tyle rzadki, że upewniłem się, iż maź trafiła w Słonia. Miał ją na piersi i szyi. Wrzeszczał, machał rękoma, próbował zdjąć ubrania z poparzonej skóry. Martin, z rozciętą wargą i zakrwawionym policzkiem, odsunął się od swojego towarzysza.

Spostrzegł mnie przez dym, ale było już za późno. Zamachnąłem się garnkiem w stronę jego głowy. Huknął o jego czaszkę. Martin zwałił się na ziemię jak worek mąki.

To za mistrza Benedicta – pomyślałem.

Puściłem się biegiem przez pokój przygotowań z powrotem na dziedziniec. Trzymałem dzban oburącz, wszystkie moje mięśnie napinały się boleśnie pod jego ciężarem. Ocet wewnątrz już zmienił

się w bąblującą różową pianę. Korek przecisnął się wyżej w szyjce.

Wat czekał. Wyciągnął nóż.

Nie zamierzałem z nim walczyć. W połowie placu ostatkiem sił cisnąłem dzban w jego kierunku. Wat patrzył na to zaskoczony. To był niezdarny rzut i łatwo mógł się uchylić. Tak też zrobił.

Rzuciłem się, ślizgając się po kamieniach, wprost na ścianę studni, która była między mną a Watem. Dzban uderzył o ziemię.

Wybuchł. Szkło roztrzaskało się z ogłuszającym hukiem jak pocisk z największej armaty świata. Przerazające ciśnienie z mieszaniny octu i natronu rozniosło odłamki tak daleko, że brzdęknęły o okna na drugim piętrze, opadając na dziedziniec niczym tysiąc strzał.

Odłamki szkła pokryte różową pianą posypały się obok miejsca, w którym leżałem osłonięty ścianą studni. Wychyliłem głowę ponad krawędź, by zobaczyć, co się stało.

Wat kulił się na ziemi, wciąż ściskając nóż i drapiąc ostrzem po kamieniu. Połowa jego ciała była zalana krwią. Przebiegłem obok niego, otworzyłem wrota do siedziby i wypadłem na ulicę. Po tym, czego dokonałem, już nigdy nie będzie mi dane wrócić do tego miejsca.

## Rozdział 26

Biegłem, choć paliło mnie w płucach. Zdawało mi się, że cały Londyn patrzył, jak gnałem przez miasto, śmierdzący dymem i octem, kaszląc, jakbym miał wypluć oskrzela. Biegłem, na granicy paniki, z jedną tylko myślą w mojej głowie.

Blackthorn.

Dom.

Nie miało znaczenia, że sklep nie był mój. Nie wiedziałem, gdzie mógłbym się podziać. Isaac mieszkał zbyt blisko siedziby, bym mógł tam teraz pójść. Nie wiedziałem, na ile mogę mu zaufać. I nie byłem mile widziany u Toma.

Dałem sobie wymówkę, by znów pójść do domu: składniki. Zużyłem podczas ucieczki kolejne dwa flakoniki z pasa mistrza Benedicta. Bez nich i składników w laboratorium Wat prawdopodobnie rozciąłby mi brzuch jak prosiakowi.

Nie była to jedyna wymówka. Po drodze z siedziby Gildii do sklepu mijałem dom Toma. Może był na zewnątrz i mógłby się ze mną zobaczyć na chwilę? Wpadł przeze mnie w kłopoty. Chciałbym się z nim spotkać i przeprosić go. Pożegnać się.

Musiałem być jednak ostrożny. Wzdrygnąłem się na myśl o tym, co by zrobił ojciec Toma, gdyby mnie zobaczył. Powinienem też uważać, idąc do domu. Istniało spore zagrożenie, że sklep jest obserwowany. Wat i inni byli w siedzibie, ale nie było tam Stubba. Dziś się nauczyłem, że każdy mógł być członkiem Kultu.

W tym chaosie zapomniałem, że poszukiwał mnie także lord Ashcombe. Nie było mi jednak dane o tym zapomnieć.

Gdy zbliżyłem się do domu Toma, byłem już tak zziębnięty, że ledwo mogłem chodzić. Moje plecy, protestujące całą drogę, pulsowały z bólu przy każdym kroku. Jeszcze tylko kilka ulic – mówiłem sobie – i później będę mógł odpocząć. Byłem tak skupiony na utrzymaniu się na nogach, że o mało nie wlałem w paszczę lwa.

Tom był przed domem, ale nie sam. Obok niego stał lord Ashcombe.

Prawie przewróciłem się z wrażenia. Zatoczyłem się i ukryłem

bezpiecznie w drzwiach sklepu pobliskiego jubilera, przyciskając plecy do drzwi i głośno dysząc.

Lord Ashcombe nic nie mówił. Z kolei Tom trajkotał. Byłem zbyt daleko, bym mógł usłyszeć choć słowo, ale wyglądał na przerażonego. Lord Ashcombe przyglądał mu się, przewiercając go czarnymi oczami.

Z pochyłą głową przekradłem się do alejki między jubilerem a sąsiadującym z nim kupcem żelaznym. Lepiej ukryty, wystawiłem głowę. Lord Ashcombe wciąż słuchał gadaniny Toma. Jeden z ludzi króla wyszedł z domu Toma, niosąc coś. Podał to lordowi Ashcombe'owi. Królewski strażnik wyciągnął to bez słowa w kierunku mojego przyjaciela.

Ujrzałem błysk słońca na srebrzystym metalu. Lord Ashcombe trzymał moją kostkę zagadkę.

Tom miał oczy jak spodki. Zaczął coś bełkotać, szybciej niż przedtem. Lord Ashcombe złapał Toma za włosy. Przekręcił pięść tak, że Tom padł na kolana.

Matka Toma wybiegła z domu. Uklękła w błocie obok syna, błagając o litość lorda Ashcombe'a. Ojciec Toma dołączył do nich, z czerwoną twarzą, spocony, gestykulując ze złością w stronę ulicy, którą poszedłem, gdy mnie wyrzucił z domu. Królewski strażnik ledwo ich rejestrował, jego oczy nie opuszczały oczu mojego przyjaciela.

Lord Ashcombe musiał wiedzieć, że to ja zabrałem swoją kostkę z domu mistrza, a nie Tom. Zgodnie z prawem nie miało to znaczenia. Znalezienie jej w domu Toma czyniło go złodziejem. Karą za to była śmierć.

Pochyliłem głowę. Nie mogłem zostawić Toma na pastwę lorda Ashcombe'a. Jeśli królewski strażnik chciał, żeby ktoś zapłacił za kradzież, musiałem to być ja.

Wyszedłem na ulicę.

– Cześć, Christopherze – powiedział cichy głosik. Dobiegał z alejki. Odwróciłem się.

To była Molly. Uśmiechnęła się do mnie z cienia, a jej miękkie loki zakryły oczy.

Mrugnąłem.

– Molly?

Jej uśmiech zrobił się szerszy.

– Chodź ze mną – powiedziała.

– Ja... nie mogę. – Chociaż bardzo chciałem. – Twój brat ma kłopoty. Muszę mu pomóc.

– Nie. – Molly wyciągnęła swoje małe, delikatne paluszki i owinęła je wokół mojej ręki. – Chodź ze mną. Musisz. Tom każe.

– Nie mogę.

– Tom każe. – Ciągnęła najmocniej, jak mogła, co nie ruszyło mnie nawet o cal. – Tom każe. Nie. Neeee! – Molly zaczęła płakać, gdy zrobiłem krok w stronę lorda Ashcombe'a. – Obiecałam! Tom każe!

Lord Ashcombe puścił włosy Toma. Wyglądało to tak, jakby Tom za chwilę miał zemdleć. Jego matka dziękowała królewskiemu strażnikowi. Lord Ashcombe ją ignorował. Powiedział coś do Toma, a ten gorliwie przytaknął. Ludzie króla zaczęli rozmawiać z sąsiadami, z których część wskazała w tym samym kierunku co ojciec Toma, tam, dokąd odszedłem. Najwyraźniej Tom przekonał lorda Ashcombe'a, że naprawdę nie wiedział, gdzie mnie szukać.

Mała dziewczynka ciągnąca mnie za palce zdawała się temu przeczyć.

– No chodź – mówiła Molly. – Tom każe.

Zaczekałem jeszcze chwilę, by upewnić się, że lord Ashcombe nie zmieni zdania i mimo wszystko nie pociągnie Toma do odpowiedzialności. Kiedy odszedł w dół ulicy, westchnąłem.

– No dobrze.

Kiedy zgodziłem się za nią pójść, humor Molly zmienił się natychmiast, jak to u małych dzieci. Gorące łzy zastąpił łagodny uśmiech, który nie schodził z jej twarzy. Prowadziła mnie przez alejki Londynu. Nuciała sobie, od czasu do czasu podskakując kilka kroków, jakby grając w nieznaną grę.

– Co robiłaś w tej alejce? – zapytałem.

– Znajdowałam cię. – Spojrzała na mnie z dumą. – Tom wysłał nas, żeby cię znaleźć, kiedy zobaczył, że straszni panowie idą. I ja

cię znalazłam.

Objąłem ją ramieniem i lekko przytuliłem.

– Jesteś najlepsza.

Uśmiechnęła się do mnie, opierając głowę na moim biodrze. Wtem zobaczyła motylka i pogoniła za nim, skacząc, by go złapać.

Gdy zacząłem podążać za Molly, założyłem, że prowadzi nas okreśną drogą na tyły domu – chociaż lepiej, by Bóg miał mnie w opiece, gdyby zobaczyło mnie którekolwiek z ich rodziców. Teraz wydawało się, że poruszaliśmy się bez celu od alejki do alejki. Nasz spacer trwał wieczność i nie zbliżyliśmy się do domu Toma.

– Dokąd idziemy?

Molly spojrzała w niebo z nadzieją, że motylek wróci.

– Tom mówił, żeby zabrać cię do Czarnodomu.

– Do Czarnodomu? – Nie rozpoznałem nazwy. – Czym jest Czarnodom? Molly zachichotała.

Nie minęło dużo czasu, gdy to się wyjaśniło. W ostatniej z niepoliczalnych alejek trafiliśmy na... nie wiedziałem, jak to opisać, bo to już nie był dom. Staliśmy przed tym, co kiedyś było największym domem przy tej ulicy.

Minionego lata strawił go ogień. Najwyższego piętra nie było, pierwsze piętro miało poczerniałe ściany i nadpalone belki wzbijające się w niebo jak ogromne wykałaczkki. W jednym narożniku parter domu się zapadł, zostawiając gruzy i połamane dębowe drewno.

Czarny dom.

W alejce była Cecily. Przechadzała się w lawendowej sukience. Gdy zobaczyła mnie i Molly, spojrzała za siebie na drzwi do domu. Wisiały luźno na pojedynczym zawiasie, huśtając się do przodu i do tyłu za mężczyzną, który na nas czekał.

Doktor Parrett uśmiechnął się.

– Witajcie – powiedział.

## Rozdział 27

Wnętrze domu było zniszczone. Sadza układała się liniami przez liżnięte ogniem belki, które jakimś cudem wciąż wspierały wyższą kondygnację. Zaschłe błoto znaczyło podłogi tak grubo, jakbyśmy wciąż byli na ulicy. Ponad kominkiem zniszczony obraz dawno zapomnianego krajobrazu zwisał w połamanej ramie, farby na nim były złuszczone, a płótno pomarszczone.

Doktor Parrett. Biedny, szalony doktor Parrett, którego rodzina zginęła w płomieniach zeszłego lata, wciąż mieszkał tu wraz z duchem swojego syna Jamesa.

Molly zdawała się tym niewzruszona. Patrzyła zafascynowana na ruiny wokoło, zbyt mała, by rozumieć, co naprawdę znaczyły. Cecily nie była tak spokojna. Wzięła mnie pod ramię i wtuliła się. Przytuliłem ją, przejęty do żywego, zastanawiając się, czy duch Jamesa rzeczywiście wciąż tu był.

– Mój syn śpi – wyszeptał doktor Parrett – i musi się jutro pouczyć. Więc nie siedźcie do późna. – Żartobliwie pogroził mi palcem.

– Nie będziemy – obiecałem. To wszystko, co mogłem zrobić, żeby się nie przeżegnać.

– Możesz zostać z Jamesem w jego pokoju. Jest na tyłach domu.

Podniósł lampkę z gzymsu kominka i poprowadził nas do małego pokoiku bez drzwi. Łóżko z siennikiem ze świeżą słomą było wciśnięte w kąt. Inaczej niż w reszcie domu nie było tu błota. Wszystko inne było spalone. Strzępy zeschniętego adamaszku odchodziły od podziurawionej ściany. Wezłowie było przepalone i złamane. Brakowało jednej nogi i róg łóżka podtrzymywało kilka cegieł. Zabrudzona sadzą poduszka spoczywała z jednej strony, a obok niej leżała wytarta wełniana lalka rycerza, której brakowało guzikowego oka.

– Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował – powiedział doktor Parrett. Uśmiechnął się i wyszedł. Molly natychmiast sięgnęła po lalkę. Usiadła na podłodze i wkrótce prowadziła z rycerzem rozmowę o tym, gdzie był jego koń.

– Skąd wiedzieliście, jak mnie znaleźć? – zapytałem Cecily.

– Nie wiedzieliśmy. – Przytuliła się do mnie, spoglądając na poczerńiałe ściany. – Kiedy Tom zobaczył ludzi króla, bał się, że możesz akurat wtedy chcieć wrócić do domu. Więc wysłał nasze siostry na poszukiwania. Mnie poprosił o przygotowanie ci miejsca u doktora Parretta.

Moje wymęczone ciało przeszedł dreszcz na myśl o pozostaniu w pokoju Jamesa, nawiedzonym czy nie. Powoli opadłem na materac. Paliły mnie plecy. Cecily, wyglądając na zaniepokojoną, pomogła mi się położyć.

Zrobiłem bilans swoich ran. Policzek był opuchnięty w miejscu, gdzie Martin mnie uderzył. Na ramieniu miałem piekące strupy. Palec, rozcięty flakonem, przynajmniej przestał krwawić.

Na szczęście wciąż miałem pas mojego mistrza. Spróbowałem unieść koszulę, by się do niego dostać. Moim plecami się to nie spodobało. Zasyczałem z bólu.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała Cecily. Pociągnąłem brzeg koszuli.

– Pomóż mi to ściągnąć.

Ostrożnie zdjęła mi koszulę przez głowę, a ja tylko zagryzałem zęby. Zalepiłem skaleczenie na palcu pajęczyną z jednego z flakonów z pasa, posmarowałem je też aloesem z kolejnego. Fragment dołu mojej koszuli posłużył za bandaż, który Cecily ciasno związała. Posmarowała też zadrapania na moim ramieniu. Usiadła obok, po czym przyjrzała się moim plecami, w które wbił się narożnik biurka.

– Są bardzo czerwone – powiedziała.

– Możesz ponaciskać to miejsce? Muszę sprawdzić, czy nic nie złamałem.

– Czy to nie będzie cię bolało?

Westchnąłem.

– Tak, będzie.

Bolało, ale wydawało się, że nie było żadnych złamań. Przede mną zdecydowanie kilka nieprzyjemnych dni. Bardzo chciałem wypić wiadro herbatki z maku, ale w czasie walki z polującymi



na mnie Kultem Archaniola i lordem Ashcombe'em bałem się otępić umysł. Wyciągnąłem więc ampułkę z korą brzozy i połknąłem połowę zawartości. Gorzki proszek sprawił, że się skrzywiłem. Mogłem tylko poleżeć na słomie i ze spokojem przyjmować swój ból.

Tom przyszedł o zachodzie słońca z małym jutowym workiem i ze skórzaną sakwą. Miał fioletowy ślad na twarzy, siniak po uderzeniu przez ojca. Molly podskoczyła z podłogi i wciąż trzymając rycerza, podbiegła do brata.

– Znalazłam go! – powiedziała z dumą, pokazując na mnie, gdy się podnosiłem.

– Bardzo dobrze się spisałaś – pochwalił ją Tom. Odgarnął siostrzyczce włosy z oczu i poklepał ją po policzku.

Cecily siedziała obok mnie na materacu, obejmując rękami kolana.

– Jakież problemy? – zapytał ją Tom.

Pokręciła głową.

– Doktor Parrett jest bardzo miły.

– Możesz zabrać Molly do domu? Wstała.

– Jasne.

Molly podała mi rycerza i objęła mnie. Od razu odezwał się ból w moich plecach. Nie przeszkadzało mi to jednak.

– Dziękuję, że mi pomogłaś – powiedziałem do niej. Pomachałem zabandażowanym palcem do Cecily. – I tobie też dziękuję.

Posłała mi nieśmiały uśmiech, objęła siostrę ramieniem i wyszły. Gdy zniknęły, zwróciłem się do Toma:

– Przepraszam. Czy wszystko w porządku?

Tom wzruszył ramionami.

– Ojciec sprawiał mi już gorsze lania. Bardziej martwiłem się lordem Ashcombe'em.

– Wróci po ciebie? Widziałem, że znalazł moją kostkę zagadkę.

– Lorda Ashcombe'a nie obchodzi twoja kostka zagadka. Masz.

Tom podał mi worek, który przyniósł. W środku były dwie drożdżówki. Już sam ich zapach sprawił, że poczułem się jak człowiek.

Tom przyglądał mi się, jak się skrzywiłem, opierając o zniszczone

wezgłowie.

– Co ci się stało? – zapytał.

Między gryzami drożdżówek opowiedziałem mu o siedzibie, pułapce Martina, Wata i Słonia, gdy wywabili sir Edwarda i Oswyna poza teren. Myślałem, że będzie wstrząśnięty, ale zdawało się, że ledwo rejestrował moją opowieść. Powiedziałem mu też o moim odkryciu.

– Isaac ma klucz do malowidła w krypcie.

– Och? – Tom nie wydawał się zainteresowany. Machnął ręką na spaloną sypialnię Jamesa. – Przepraszam za to. To jedyne miejsce, które mi przyszło do głowy. Pomyślałem, że nikt cię tu nie będzie szukał.

Posadziłem wełnianego rycerza Jamesa obok siebie na łóżku.

– Jestem ci za to bardzo wdzięczny. Dziękuję.

– Ludzie króla będą musieli obserwować bramy Londynu. Może uda mi się rozgryźć, gdzie są patrole, i mógłbyś się wymknąć do doków, by stąd uciec. – Tom podał mi skórzaną sakiewkę.

Zadzwieczała, gdy ją wziąłem. Rozwiązałem jej sznurki. Srebro błysnęło w świetle płomieni. Naliczyłem trzy szylingi i co najmniej tuzin pensów.

Oślupiałem.

– Skąd to masz?

– Z sejfów ojca w piekarni – odpowiedział.

– Zwariowałaś? Ojciec cię zabije. Nie mogę tego wziąć.

Wyciągnąłem do niego sakiewkę. Tom złożył ręce za plecami i zrobił krok w tył.

– Przeprowa będzie kosztować co najmniej szylinga – powiedział.

– Więcej, jeśli się zorientują, że ci bardzo zależy. Jeden z naszych stałych klientów ma barkę. Myślę, że dałoby się go przekupić. Zapytam, czy cię weźmie.

– Weźmie mnie dokąd?

– Mówiłem ci. Z miasta. Nie możesz tu zostać. – Tom spojrzał mi w oczy. – Rozumiesz to, prawda?

– Myślę, że wszystko rozpracowałem. Jeden z członków Rady, Valentine Grey, był dziś w siedzibie. Nie sądzę, żeby reszta Rady

o tym wiedziała. Widziałem, jak rozmawiał ze Słoniem. Myślę, że on i Martin są uczniami Valentine'a. Jeśli to prawda, to Valentine też jest członkiem Kultu. Jeśli powiem to lordowi Ashcombe'owi...

– Nie możesz iść do lorda Ashcombe'a.

– Wiem, wciąż nie mam świadków, ale jeśli wyjaśnię... to znaczy lord Ashcombe był tam wczoraj... wie już, dlaczego chciałem moją kostkę zagadkę...

– Och, na Bożą prawdę, Christopherze – fuknął Tom. – Dlaczego mnie nie słuchasz. Lorda Ashcombe'a nie obchodzi twoja kostka zagadka. Myśli, że to ciebie należy winić za śmierć mistrza Blackthorna.

– Mnie? Ale... dlaczego?

– Nie było cię wtedy, gdy Kult uderzył. Lord Ashcombe sądzi, że to podejrzane. Kiedy wrócił obejrzeć sklep dziś rano, zauważył, że brakuje strony w rejestrze. Wie, że skłamałeś co do tego, co mistrz Benedict napisał. Jest pewien, że jest tam coś demaskującego cię i że zabrałeś kartkę, by nikt inny tego nie zobaczył.

Zaczęło mnie skręcać w żołądku.

– To nie tłumaczy, dlaczego miałbym go zabić.

– Nie jest pewien. Myśli, że mogłeś współpracować z Kultem Archanioła. Popatrzyłem na Toma zdumiony.

– To... to szaleństwo.

– Zasugerował też, że może sprawiłeś, iż śmierć mistrza Benedicta wyglądała jak jedno z morderstw Kultu, żeby wszyscy obwiniali ich, a nie ciebie. Myśli, że może chciałeś się zemścić za to, że mistrz Benedict cię bił.

Zesztywniałem.

– Nigdy nie podniósł na mnie ręki! – Wtedy do mnie dotarło: uderzył mnie. Jeden, jedyny raz. – Lady Brent – powiedziałem.

Tom przytaknął.

– Lord Ashcombe ją przesłuchał. Powiedziała, że mistrz Benedict bił cię regularnie. Powiedziała, że był wobec ciebie okrutny i że go nienawidziłeś. Dlatego wrócił do sklepu, by spojrzeć na stronę w rejestrze. Mówiłem mu, że to nieprawda, ale myśli, że kłamię, by cię chronić.

Mistrz Benedict mnie uderzył i wyzywał, żeby ochronić mnie przed Watem i resztą Kultu. Zagrał rolę okrutnego mistrza na tyle dobrze, by mnie uratować, przynajmniej na jakiś czas. Wat nie był jedynym świadkiem. Słowa lady Brent wystarczyły, by każdy sąd mnie oskarżył. Było mi niedobrze.

– Mistrz Hugh – powiedziałem nagle. – On zna prawdę. I jest mistrzem w Gildii. Będą musieli mu uwierzyć. Jeśli go znajdziemy, poręczy za mnie.

– Mistrz Hugh nie żyje – odezwał się cicho Tom. Siedziałem w bezruchu. Minęła chwila, nim mogłem mówić.

– C... co?

– Lord Ashcombe mi powiedział. Ciało zakopane w ogrodzie, które widzieliśmy w Dniu Dębowego Jabłka, należało do mistrza Hugh.

Myślałem, że ta wiadomość bardziej mnie uderzy. Czułem się otepiałały. Może dlatego, że nie potrafiłem sobie wyobrazić nic bardziej przytłaczającego niż bycie obwinianym o śmierć mojego mistrza. Albo dlatego, że jakaś część mnie wiedziała już, że Hugh nie opuścił miasta. Że nie mógłby zostawić mistrza Benedicta.

– Więc... Kult zaatakował ich w czwartek w nocy.

– Lord Ashcombe nie jest pewien, czy to Kult. Hugh nie był rozplątany jak reszta. Do tego był pochowany w chrześcijańskim grobie. Zakopany w poświęconej ziemi.

Zmarszczyłem czoło. Dlaczego zabójcy Hugh sprawili mu chrześcijański pochówek? To nie miało żadnego sensu.

– Pewnie obwinia też mnie o śmierć Hugh – powiedziałem gorzko.

– Nie mówił tego. Za to obwinia cię o Stubba.

– Co to ma znaczyć?

Tom wyglądał na zdumionego.

– Nie słyszałeś? Stubb też nie żyje. Znów rozdziawiłem usta.

– Co? – Zamrugalem. – N-nie może być.

– Znaleźli go w domu dziś po południu. On i jego uczniowie zostali zamordowani, dokładnie tak jak reszta ofiar Kultu. Wszyscy o tym mówią. Myślałem, że wiesz.

W głowie mi się kręciło. Stubb... był martwy?

Nic nie rozumiałem. Mistrz Benedict. Hugh. Teraz Stubb?

Dlaczego Kult Archanioła miałby zabić Stubba? On był przecież jego członkiem.

Pomyślałem o Wacie. Martin i Słoń byli w siedzibie Gildii Aptekarzy tego popołudnia. Wat przyszedł z zewnątrz.

Czy Wat zabił Stubba? Czy on tam był?

Morderstwo mogło być jego sprawką, chłopak nienawidził tego mężczyzny. Czy wymknął się spod kontroli? Czy zabił Stubba ze złości?

Czy działał na rozkaz z góry? Nic nie rozumiałem.

– Christopherze.

Spojrzałem w górę. Nie zdawałem sobie sprawy, że Tom wciąż mówił.

– Teraz wiesz, o czym mówię, prawda? – dopytywał. – Musisz opuścić Londyn. Kult pozbywa się wszystkich. Jedyne człowiek, który może ich powstrzymać, myśli, że jesteście ich częścią. Nie możesz z nimi walczyć i nie możesz iść do lorda Ashcombe'a po ochronę.

– To dokąd mam pójść? – zapytałem.

– Nie wiem. Znajdź nowe miasto. Nową pracę. Każdy mistrz będzie szczęśliwy, mając cię za ucznia.

– Nowe nauki kosztowałyby fortunę – powiedziałem. – Nie ma pracy dla kogoś takiego jak ja. Wiesz, co dzieje się z dziećmi na ulicach. – Przeszedł mnie dreszcz na myśl o tym, co stanie się z Sally, jeśli nie znajdzie pracy, co z dziećmi, które wyrosną z Cripplegate. Niektóre wciąż żyły na ulicach, żebrząc, kradnąc lub robiąc coś jeszcze gorszego. Większość po prostu znika, by nigdy więcej się nie pojawić.

Nie miałem dokąd pójść. Tom marzył. Przez moment pomarzyłem razem z nim. Zamknąłem oczy i uciekłem daleko, gdzie było bezpiecznie, a mistrz Benedict wciąż żył. Bez bólu i śmierci.

Marzenie szybko prysło.

– Co więc zamierzasz zrobić? – zapytał cicho Tom.

Cóż mogłem zrobić?

– Pójdę do Isaaca. Zdobę klucz do malowidła. – I zaufam mistrzowi Benedictowi, on pomoże mi znaleźć jakieś wyjście.

– Ale... nie możesz już chodzić po ulicach. Lord Ashcombe wyznaczył za ciebie nagrodę. Sporą – pięć czy dziesięć funtów. Wszyscy w Londynie będą cię szukali.

Pogłaskałem ampułki przy pasie.

– Mam pewien pomysł. Odnieś te monety, zanim ojciec żywcem cię pogrzebie. – Podałem mu sakiewkę. – I nie przychodź tu więcej.

– Idę z tobą – powiedział Tom.

– Nie, nie idziesz – zaprzeczyłem. – To zbyt niebezpieczne.

Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie jesteś moim panem, nie mów mi, co mam robić.

– Jutro pracujesz – przypomniałem mu.

– Ojciec posyła mnie po mąkę na targ w poniedziałki. Nie ma mnie godzinami. Przyjdę po szóstej.

– Tom...

Uniósł ramiona ku niebiosom.

– Och, czy mógłbyś przestać gadać chociaż na chwilę. Przestałem.

– Nie zabiorą cię – zapewnił Tom. – Kult, lord Ashcombe... żaden z nich. – Odwrócił się do wyjścia i zatrzymał przy drzwiach. – Dobranoc, Christopherze – powiedział.

**Poniedziałek, 1 czerwca 1665 roku**  
**Świętego Justyna Męczennika**

## Rozdział 28

Prawie nie spałem. Choć byłem wykończony, plecy bolały mnie przy każdym oddechu czy poruszeniu. Wstrząs, który wyciągnął mnie z łóżka, przyszedł o szóstej. Był to obwoływacz krzyczący moje imię.

– Słuchajcie, słuchajcie! Miejcie baczenie, dobrzy obywatele! Christopher Rowe, morderca Benedicta Blackthorna, jest na wolności! Sprzeciwiwszy się okrucieństwu swego mistrza, młody Rowe współdziałał z Kultem Archanioła! Jego Wysokość oferuje nagrodę dwudziestu funtów za schwytanie chłopca.

Głos obwoływacza dobrze się niósł po zrujnowanym domu doktora Parretta. Mimo to nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem. Dwadzieścia funtów?

– Dzień dobry – powiedział doktor Parrett.

Prawie spadłem z łóżka. Mężczyzna stał w drzwiach, trzymając wiadro.

– Proszę o wybaczenie – powiedział. – Nie chciałem cię wystraszyć. Przyniosłem trochę wody. – Postawił wiadro w nogach łóżka, woda zachlupotała. – Czyżbyś nie czuł się dobrze? James mówi, że spałeś niespokojnie.

Popatrzyłem na doktora Parretta, jego znoszone i podarte ubranie, jego ciało pod nim, wychudzone od żebrania ludzkie resztki. Musiał słyszeć obwoływacza. Dwadzieścia funtów.

Podsunałem koc do piersi.

– Doktorze Parrett... co oni mówią, to... ja nie...

– Nie słuchaj ich – powiedział doktor Parrett ostro. – To kłamcy! Oni – słowa uwieźły mu w gardle. Przez moment rzeczywistość zdawała się przenikać przez jego szaleństwo, aż do smutku w oczach. Naraz wiedza zniknęła i mężczyzna stał tam, przymykając oczy na prawdę. – Masz u nas schronienie tak długo, jak będziesz tego potrzebował. Jest chleb na śniadanie, gdy będziesz gotowy. Czy czegoś ci jeszcze potrzeba?

Poprosiłem o jeszcze jedną rzecz. Skinął głową i wyszedł. Połknąłem resztkę brzozonej kory na wszelki wypadek. Następnie przyciągnąłem wiadro bliżej i zabrałem się do pracy.



Kiedy Tom mnie zobaczył, mało nie zwiął. Jego oczy wędrowały po pokoju Jamesa, jakby ktoś inny mógł ukrywać się w tym wypalonym grobie. Gapił się jak zamurowany.

– Christopherze?

Obróciłem się z rozpostartymi ramionami.

– I co myślisz?

Przez chwilę tylko ruszał szczęką.

– Co ci się stało?

Moje włosy były teraz kruczoczarne, zabarwione atramentem kałamarnicy z pasa mojego mistrza. Zrzuciłem też ubrania Toma, pożyczając „nowe” od doktora Parretta. Miałem na sobie parę jego złachmanionych za dużych spodni i jedną z lnianych koszul jego syna, za małą. By dodać sobie jeszcze trochę stylu ulicznika, użyłem cynobru z pokruszonych muszli ślimaków, zmieszanego z resztką atramentu do namalowania sobie na twarzy wściekłych kasztanowych kropek. Opuchlizna na policzku, gdzie Martin mnie uderzył, dodawała mojemu wizerunkowi autentyczności, choć nie była warta tego bólu.

– Wyglądasz, jakbyś właśnie przeszedł ospę. – Tom zmarszczył nos. – A pachniesz, jakbyś nie przeszedł.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułem przypływ nadziei. Jeśli moje przebranie nabrało Toma, nawet na chwilę, to mogło spełnić zadanie.

– Myliłeś się co do nagrody – powiedziałem. – Jestem wart dwadzieścia funtów.

Zrobił zdziwioną minę.

– Weź to pod uwagę, zanim znowu utrudnisz mi życie.

Przebranie działało aż za dobrze. Na ulicach kilku sklepikarzy podniosło pałkę i zwyzywało mnie, gdy za bardzo się zbliżyłem. Chronili swoje dobra przed łatwym celem złodziejaska. Tom włókł się w tłumie kawałek za mną, ciągnąc za sobą pusty wózek na mąkę.

Ludzie króla wyszli na ulice pełną siłą. Trzy razy przechodziłem koło pary piechurów tak blisko, że mogłem ich dotknąć. Trzymali ręce na mieczach i pistoletach, przeczesując wzrokiem

poniedziałkowy poranny tłum. Ich oczy mijały mnie bezwiednie, ale za każdym razem musiałem skrócić za róg, nim znów mogłem swobodnie oddychać. Obecność ludzi króla sprawiała, że mało prawdopodobne było, by Wat i inni zaatakowali mnie w świetle dnia, nawet jeśli by mnie dojrzel. Mimo to spieszyłem się. Im dłużej gdziekolwiek zostawałem, tym więcej uwagi mogłem przyciągnąć.

Księgarnia Isaaca mieściła się przy Saint Bennet's Hill, w wąskiej uliczce nad rzeką, nieprzyjemnie blisko siedziby Gildii Aptekarzy. Nie miała żadnego straganu ani witryn. Wejście było na środku starego, kamiennego budynku z magazynami po każdej stronie. Prowadziły do niej drzwi z grubego, ciężkiego dębu okutego żelazem. Przybita do nich drewniana tabliczka głosiła:

RZADKIE KSIĘGI

WŁAŚCICIEL ISAAC CHANDLER

WITAMY WSZYSTKICH SZUKAJĄCYCH WIEDZY

Kolejne słowa, po łacinie, były wyryte w kamieniu nad drzwiami.  
FIAT LUX

Niech stanie się światło.

Wnętrze sklepu Isaaca przypominało bardziej bibliotekę. Pomieszczenie było nieduże, nie większe niż na piętnaście stóp kwadratowych. Półki zasłaniały ściany, a w kamiennym palenisku palił się ogień, wypełniając pokój ciepłem walczącym z chłodem poranka. Książki obciążały półki tak mocno, że w niektórych miejscach cedrowe deski wyginały się na środku. W jednym kącie było dużo książek ułożonych w wysokie kolumny, sięgające niemal sufitu, tworząc labirynt papieru i skóry blokujący wąską klatkę schodową prowadzącą na wyższe piętra. Tak bardzo przypominało mi to wnętrze domu mojego mistrza, że aż zapiekły mnie oczy.

Tom i ja nie byliśmy sami. Naprzeciwko drzwi stała krótka, drewniana lada. Za nią spokojnie siedział na stołku starszy

mężczyzna o rzadkich, białych włosach i ostrym podbródku. Miał zamknięte oczy.

Właściciel, Isaac Chandler. Jego głos był miękki jak szept.

– W czym mogę pomóc?

– Szukam pewnych informacji – odpowiedziałem.

Machnął chudą ręką na setki tomów. Chyba powinienem być bardziej dokładny.

– Muszę wiedzieć, co znaczą niektóre symbole. Otworzył oczy.

– Proszę, podejdź bliżej. Wzrok mnie zawodzi.

Podszedłem do lady, Tom za mną. Gdy się zbliżyliśmy, zobaczyłem, co ma na myśli. Oczy Isaaca zaciągnięte były bielmem, jakby wkradła się w nie poranna mgła.

– Przekleństwo miłośników książek – powiedział. – Wolałbym stracić serce. Ale Bóg zdaje się nigdy nie pytać o zdanie. – Westchnął. – Kim jesteś?

Tom był spięty. Pytanie zbiło mnie z tropu. Obwoływacz sprawił, że nie mogłem użyć prawdziwego nazwiska.

– Jestem... James Parrett – odpowiedziałem, czując, jak twarz robi mi się gorąca. – Jestem uczniem... Andrew Churcha w Gildii Aptekarzy. Mistrz wysłał mnie, abym zapytał o symbole, które znalazł w pewnym starym tekście.

– Zapomniałeś swojego fartucha.

Spojrzałem w dół na swój zestaw ulicznika, bez śladu niebieskiego fartucha.

– Ja... uch... zniszczyłem go w laboratorium. Ja... oblałem go olejem szklanym.

– Niebezpieczna substancja – powiedział Isaac. – Ale użyteczna, w odpowiednich okolicznościach. – Skinął głową. – No dobrze. Cóż to za symbole?

Trochę liczyłem, że powiem po prostu: „Szukam książki o symbolach”, a on wskaże mi jedną i powie: „Oczywiście, tu jest dokładnie to, czego szukasz”. Mistrz Benedict wysłał mnie do Isaaca po klucz, ale kazał też nikomu nie mówić. Nie mogłem być pewny, czy chciał włączyć księgarza w to ostrzeżenie. Zdecydowałem się przedstawić Isaacowi tylko część prawdy.

– Jest kilka znaków – powiedziałem. – Miecz skierowany w dół. Trójkąt skierowany do góry. Kolejny trójkąt, z linią w poprzek, jak ośnieżona góra. Takie rzeczy.

Przez moment nie byłem pewny, czy myślał, czy mnie nie dosłyszał. Potem się odezwał:

– Symbole mogą znaczyć prawie wszystko. Ważny jest kontekst.

Wydawał się na coś czekać.

– To są symbole składników.

– Składników.

– Tak. – Czekałem. Ale kiedy nie odpowiedział, dodałem: – Klucz.

Przez chwilę nic nie mówił. Następnie przekręcił się na krześle.

– Myślę, że nie mogę ci pomóc.

Poczułem ciężar na sercu.

– Ale... mój mistrz powiedział, że tylko wy możecie.

– Uczysz się na aptekarza – rzekł.

– Tak.

– Więc umiesz czytać łacinę.

– Tak.

Wskazał do góry.

– Co tu jest napisane?

Za nim, na najwyższej belce półki, w drewnie wypalona była inskrypcja. Przeczytałem ją.

– *Et cognoscetis veritatem, et veritas liberabit vos.*

– Co to znaczy?

– To cytat z Biblii. Ewangelia Świętego Jana. „I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

Skinął głową.

– I oto jest twoja odpowiedź, młody... przepraszam, moje uszy też już nie są takie jak dawniej. Powiedziałeś, że jak masz na imię?

Przyglądałem mu się.

– Powiedziałem, że James Parrett. – Czekał. – Ale nie była to prawda – dodałem.

Tom złapał mnie za ramię.

– Nie.

Strząsnąłem jego dłoń.

– Naprawdę nazywam się Christopher Rowe.  
Isaac nie spuszczał ze mnie swoich zaciągniętych bielmem oczu.

– Znałem twojego mistrza.

– Wiem.

– Benedict był moim przyjacielem. Często wspominał swojego ucznia. Nawet jeśli nie od niego bym go słyszał, to i tak znałbym twoje imię z dzisiejszego porannego wołania. Christopher Rowe, morderca, zbuntowany przeciw okrucieństwu mistrza.

– Nigdy nie skrzywdziłbym mistrza Benedicta – powiedziałem. – Nie mógłbym.

– Skąd mam to wiedzieć? Przychodzisz tu z dziwnym imieniem, nie swoim, i jak myślę, z dziwną, również nie swoją twarzą. Opowiadasz mi historyjki, później chcesz, żebym ci uwierzył na słowo. Dlaczego miałbym ci wierzyć, Christopherze Rowe?

Pomyślałem o powodach, innych historyjkach. Wymówkach. Kłamstwach. Byłem zdesperowany. Potrzebowałem czegoś, by go przekonać, albo tu kończył się trop.

Zajrzałem w swoje serce. Wszystko, co widziałem, to twarz mego mistrza. W niej znalazłem odpowiedź.

– Byłem sierotą – zacząłem. – Mistrzowie, którzy mnie przyjęli, karmili mnie, uczyli, dawali schronienie. Zawsze będę im za to wdzięczny. Ale sierociniec nie był życzliwym miejscem. Mistrzowie byli surowi, a ręce ich aż świerbiły, zawsze gotowe kogoś ukarać. A chłopcy, cóż, niektórzy byli okrutni. Żyliśmy razem, ale prawda jest taka, że każdy z nas dorastał sam. Kiedy Mistrz Benedict mnie przyjął, zmienił cały mój świat. Troszczył się o mnie.

– Głos mi drżał. – Pokazał mi coś, o istnieniu czego nie wiedziałem. Był dziwny. Ludzki. Nigdy nie przestawał być dobry. Był moim ojcem, prawdziwym ojcem, w jedyny sposób, który się liczy. I kochałem go. – Otarłem oczy rękawem. Smugi fioletu rozmazały się. – Nie ma pan żadnego powodu, by mi wierzyć – ciągnąłem. – Nie musi pan. Jeśli naprawdę był pan przyjacielem Benedicta Blackthorna, to wie pan, że nigdy, przenigdy nie mógłbym go zabić. Ponieważ nigdy, przenigdy, ani przez chwilę nie był on okrutny.

Isaac mrugnął powoli, przyglądając mi się. Tom stał jak posąg.

Isaac podniósł się ze swojego piszczącego stołka. Spod szaty wyjął zwisający na sznurku srebrny klucz. Podał go Tomowi.

– Zamknij frontowe drzwi.

Tom spojrział na mnie nerwowo, ale posłuchał. Isaac zwrócił się do półki za sobą z napisem na górze i wyciągnął do przodu trzy książki z różnych półek. Kiedy przesunął ostatnią, półka wydała głośnie „klak”. Otworzyła się. Chłodne powietrze powiało z ciemności za nią.

Isaac wziął klucz od Toma i lampkę z lady. Zapalił ją i przeszedł przez sekretne drzwi. W przyćmionym świetle płomienia widziałem tylko szczyt schodów prowadzących w dół.

Isaac odwrócił się.

– Więc? – zapytał. – Idziecie czy nie?

## Rozdział 29

Naliczyłem sto stopni, nim się poddałem. Schodziły spiralą w dół, bez niczego, co znaczyłoby poziom, na którym byliśmy. Ściany nie miały żadnych obrazów ani miejsc na pochodnie, tylko niezliczone pęknięcia w skale. Jedyna rzecz, która ulegała zmianie – inna niż ból w moich plecach – to powietrze, które z każdym krokiem robiło się coraz chłodniejsze.

W końcu dotarliśmy na dół. Schody kończyły się niewielką komnatą, która rozszerzała się, by zmieścić podwójne drzwi tak duże, że wejście do siedziby Gildii Aptekarzy wyglądało na mysią norkę. W każdym panelu dębowego drewna był wyrzeźbiony krzyż o równych i rozwidlonych ramionach. Wciąż trzymała się na nich farba, biała na powierzchni, czerwona w krzyżu, złota dookoła.

Isaac dotknął jednej z wypolerowanych mosiężnych gałek.

– Czy mógłbym wykorzystać twą młodość, Thomasie?

Tom wystąpił posłusznie do przodu i przyłożył ramię do drzwi. Wtem wytrzeszczył oczy i zamarł.

– Skąd zna pan moje imię?

– Benedict raz wspomniał, że jego uczeń ma przyjaciela tak wiernego, że niezależnie od tego, jak absurdalne kombinacje chłopak wymyślał, Thomas Bailey zawsze był u jego boku. Christopher jest poszukiwany za morderstwo. Jego głowa jest warta dwadzieścia funtów. I nie tylko ludzie króla na nią polują. A mimo to tu jesteś, Thomasie. Kimże innym mógłbyś być?

Zarumieniłem się. Tom odwrócił się do mnie zwycięsko.

– Mówiłem ci, że to intrygi.

Ogromne drzwi otworzyły się, chwiejąc się na grubych zawiasach. To, co było za nimi, sprawiło, że prawie padłem na kolana.

Byliśmy w jaskini. Rozciągała się tak daleko, że światło z naszej lampy nie sięgało do jej końca. Wszędzie stały regały, całe dziesiątki, rzędy zbudowane, jakby miały służyć tytanom starożytnej Grecji. Wszystkie wznosiły się aż po sufit, tak że trzeba by drabiny wysokiej jak dom, by dosięgnąć najwyższych półek. I były tam drabiny z mocnymi szczeblami i kółkami na dole, osadzonymi

w szynach w podłodze.

Nigdy nie widziałem tylu książek. Regały aż trzeszczały pod nimi, grożąc pęknięciem i gradem papieru spod samych niebios. Były tam nie tylko tomy. Zwoje ułożono w piramidy na jednej z półek, pożółkłe i z upływem czasu kruszejące.

Kamienne płyty z dziwnymi znakami wyrytymi na powierzchni opierały się o siebie. W jednym rzędzie ciemnoczerwone tabliczki były poznaczone tajemniczymi liniami i strzałkami zaschniętymi w glinie tysiące lat temu. Tom wycofał się, aż jego ręka dotknęła mojego ramienia.

– Gdzie jesteśmy?

– Głęboko pod miastem, w skarbcu zbudowanym przez templariuszy – odpowiedział Isaac. – Tu przechowywali skradzione dobra, aż papież Klemens rozwiązał ich zakon i spalił wszystkich na stosie. Skarbiec został zapisany w sekrecie rodowi Mortimerów trzysta pięćdziesiąt lat temu. Zanim zapytacie, odpowiem: nie wiem, co stało się ze złotem templariuszy. Nie ma to znaczenia. My wypełniliśmy go czymś o wiele bardziej wartościowym. To, co tu widzicie, to pełne zbiory, które zdobyliśmy ja i bracia przede mną. To wieki wiedzy z każdej cywilizacji, z każdego zakątka świata. Są dostępne dla tych, którzy szukają prawdy. Tych, niestety, jest niewielu.

– Mówi pan „my” – wtrąciłem. – Czy mistrz Benedict był jednym z was?

– Był. Było nas siedmiu. Wszyscy poza mną albo nie żyją, albo opuścili miasto.

– Kim jesteście? – dociekałem.

– Jesteśmy alchemikami – odpowiedział Isaac.

– Ludźmi, którzy zmieniają ołów w złoto?

– Myślałem, że to byli oszuści – bąknął Tom, zanim uświadomił sobie, że obrażanie człowieka, gdy jest się głęboko wewnątrz jego sekretnego podziemnego skarbcza, to nie jest dobry pomysł.

Isaac nie był urażony.

– Większość z nich tak. I, Christopherze, transmutacja ołowiu w złoto jest jedną z tajemnic, której poszukują alchemicy. Ale wieki



ułudy przysłoniły przyczynę stanu rzeczy.

Isaac kroczył naprzód. Podążaliśmy za nim, a stuk naszych obcasów na kamieniu niósł się echem przez jaskinię. Gdy dotarliśmy do drabiny przy półce, osiem rzędów dalej, Isaac pchnął ją, przesuwając po podłodze na piszczących kółkach.

– Oczyszczanie materiałów bazowych – zamiana ołowiu w złoto – jest jedynie środkiem do celu – mówił. – Naprawdę poszukujemy błogosławionej wiedzy o samym Bogu. Chcemy odkryć Prima Materia, Pierwszą Materię, czystą energię, z której nasz Pan stworzył Wszechświat. Dzięki temu mamy nadzieję prawdziwie zrozumieć nasz śmiertelny świat.

Drabina zatrzymała się z łoskotem w jednej trzeciej regału. Isaac powiódł palcami po grzbietach ksiąg w drugim rzędzie od dołu, szukając bardziej na dotyk niż wzrok. Wyciągnął tom oprawiony w ciemną skórę i skierował go ku mnie.

Okładka była ozdobiona wizerunkiem węża pożerającego własny ogon. Spojrzeliśmy z Tomem po sobie. Rysunek był identyczny jak ten z wężem, który okalał malowidło w krypcie.

– To jest *ouroboros* – powiedział Isaac. – Symbol Prima Materii. Jak on okrąża sam siebie, tak my rozumiemy, że Prima Materia jest sercem Wszechświata.

Wszystkie rzeczy, wszystko, co żyje, pochodzi od Pierwszej Materii. Jeśli miałbyś dostęp do Materii, wtedy też mógłbyś ją kontrolować. To prawdziwy cel alchemika. Aptekarze już odkryli wiele pomniejszych boskich mocy. Srebro leczy. Aloes łagodzi. Olej szklany rozpuszcza. Jednak one wszystkie są jedynie cieniem Prima Materii. Wyobraź sobie remedia, które mógłbyś stworzyć, znając jej sekret. Może umiałbyś nawet powstrzymać śmierć.

– Tego szukał mistrz Benedict – powiedziałem.

– Tak. I myślę, że ty też. To mnie zaskoczyło.

– Nic o tym nie wiem.

– Jeszcze nie. Ale jeśli Benedict cię tu przysłał, to chciał, żebyś zrozumiał.

– Pokazał nam, jak znaleźć drzwi pod... – zacząłem, ale Isaac uniósł rękę.

– Stop – powiedział. – Nie mnie wiedzieć, nad czym Benedict pracował. Nie jestem aptekarzem, ja tylko prowadzę bibliotekę. Są tajemnice, którymi się nie dzielimy nawet między sobą. Tak chronimy bractwo przed tymi, którzy chcieliby nadużyć wiedzy o naszych odkryciach.

Pomyślałem o ofiarach Kultu. Były torturowane dla uzyskania informacji. Ale jeśli każdy mężczyzna znał tylko kawałek układanki, to wszystko, co mordercy by od nich otrzymali, stanowiło tylko skrawki informacji prowadzące do kolejnej osoby. Nie powstrzymało to morderców, ale opóźniło ich działania na całe miesiące, aż w końcu dotarli do mojego mistrza. Otruł się dlatego, by nie powiedzieć Watowi tego, co chłopak chciał usłyszeć. Zachował ostatni sekret dla mnie.

– Czy nie martwi się pan, że się o panu dowiedzą? – zapytałem.

– Ta biblioteka to cel mojego życia. Nie mogę jej opuścić. – Isaac wzruszył ramionami. – Jak zawsze, przyszłość jest w rękach Boga. Jeśli po mnie przyjdą, to tak się stanie.

Mogłem temu zapobiec.

– Znaleźliśmy zamknięte drzwi. Mistrz Benedict powiedział, że pan ma klucz.

Isaac wrócił do popychania drabiny, przesuwając się wzdłuż alejki.

– Symbole, które opisałeś, są alchemiczne. Dotyczą instrukcji zapisanych szyfrem, by ukryć je przed ciekawskimi. Poza pierwszym symbolem – zwróconym w dół mieczem. Nie dotyczy instrukcji. To symbol Michała Archanioła.

Tom zadrżał. Ja też.

– Czy to... czy to alchemicy są Kultem Archanioła? – zapytał Tom.

– Nie ma Kultu Archanioła – odpowiedział Isaac.

Spojrzałem na Toma, który zdawał się tak samo zdezorientowany jak ja.

– Ale... jak to możliwe? Te morderstwa...

– ...są dziełem złych ludzi. Ale ich cel nie ma nic wspólnego z Kultem.

Przynajmniej nie w takim sensie, w którym ludzie nad nami

używają tego słowa. – Isaac wskazał na otaczający nas księgozbiór. – Trzymanie naszych odkryć w ukryciu nie jest jedynym powodem, dla którego pracujemy w sekrecie. Alchemicy w przeszłości byli oskarżani o straszne zbrodnie: zdradę, herezję, czarnoksięstwo. Ale my, szukający darów Boga dla Jego sług, nie jesteśmy mordercami. To zabójcy ukradli tę nazwę, szerząc strach i kłamstwa, owijając świętą pracę w coś złowieszczonego. W ten sposób maskują prawdziwe motywy.

Pomyślałem o tym, co wyjawiał mi Oswyn.

– Powiedział pan, że alchemicy szukają wiedzy, by uczynić świat lepszym. Mnie powiedziano, że Kult – mordercy – chce władzy.

– I tak jest. – Isaac przestał popychać drabinę i spojrzał w górę. – Tam. Trzecia półka od góry. Tam z niebieskim grzbietem. Proszę bardzo.

Wspiąłem się po drabinie, wyciągnąłem książkę, którą opisał, i zniosłem ją na dół.

– Otwórz – powiedział Isaac.

Za okładkę zatknięty był kawałek pergaminu. Na nim widniała tabela zapisana ręką mistrza Benedicta. Symbole, całe ich rzędy, zostały nabazgrane na papierze, obok każdego z nich był napis.

– Oto klucz, którego szukasz – powiedział Isaac. – Weź go. To prezent od Benedicta dla ciebie.

To było to. Nareszcie znalazłem ostatni fragment wiadomości mistrza Benedicta. Wpatrzyłem się w niego, pełen podziwu, dumy... i strachu.

Ręka Isaaca na moim ramieniu sprawiła, że podskoczyłem.

– Uważaj, Christopherze. To, co robisz, jest niebezpieczne.

Nie musiał mi przypominać, ilu ludzi chciało mojej śmierci. Ale nie to miał na myśli.

– Z tym dziedzictwem przyjdzie ci dokonać wyboru – powiedział. – Wiedza może zdziałać wielkie cuda, ale może też przynieść wielkie cierpienie. Co zrobisz z tą wiedzą, jest dylematem, z którym Benedict zawsze miał problem. Być może, koniec końców, mógł wygrać, tylko oddając tę walkę tobie.

Zamrugąłem.

– Ja... nie rozumiem.

Isaac westchnął.

– Ten, kto powiedział ci, że mordercy szukają władzy, miał rację. Archanioł Michał jest generałem Boga. Prowadzi armie nieba w niekończącej się walce przeciwko siłom piekielnym.

Isaac otworzył księgę z *ouroboresem* na okładce i pokazał nam ilustrację w środku. Był tam anioł, z rozwianymi włosami i rozpostartymi skrzydłami, wbijający miecz w smoka.

– By go wywyższyć – mówił Isaac – Pan obdarował Michała wyjątkową mocą.

Przewrócił stronę, ukazując inną ilustrację. Tu Archanioł stał ponad poskręcany, zniekształconymi piekielnymi sylwetkami. Miał wysoko uniesioną rękę, która świeciła świętym ogniem. Demony poniżej płonęły w Bożym świetle, krzycząc.

– Tak jak lecznicze remedia aptekarzy przyjmują wiele form, tak i Pierwsza Materia przyjmuje wiele form. Ogień Archanioła jest żywą esencją Prima Materii. To niepohamowana boska moc.

Isaac zwrócił się do mnie.

– Powiedziałem ci, że nie ma prawdziwego Kultu, jedynie mordercy kryjący się za tą nazwą. Ten aspekt Prima Materii, Ogień Archanioła, jest tym, czego poszukują. Jakkolwiek złe były ich dotychczasowe zbrodnie, jeśli to odnajdą, staną się one dużo, dużo gorsze.

– Dlaczego? – zapytał nerwowo Tom. – Co zrobią?

– Angielskie pola bitew kiedyś były pełne rycerzy. – Isaac rozłożył ręce, jakby zarysowywał scenę. – Okryci płytową zbroją byli nieprzeniknieni, jak panowie ziemi, szczytowe osiągnięcie pięciu tysięcy lat wojny. Powiedz mi: kiedy ostatnio widziałeś rycerza w zbroi? – Oparł się o regał. – Broń palna usunęła rycerzy z pola bitwy. Ich zbroja, źródło ich siły, okazała się bezużyteczna wobec zwykłych ludzi uzbrojonych w czarny proch. Teraz wyobraź sobie bój z Archaniołem Michałem po swojej stronie. Proch nie byłby bardziej wyrafinowany, nie miałby większej potęgi niż kamień z procy. Człowiek, który odkryje Ogień, może zmienić świat. A jeśli nieodpowiedni ludzie się do niego dobiorą... – Popatrzył w dal. –

Armia idąca z Archaniołem będzie niepokonana.

## Rozdział 30

Wróciliśmy do krypty pod mauzoleum w ogrodzie Mortimerów. Tom trzymał pochodnię. Ja niosłem pergamin, klucz mojego mistrza.

Po tym, co Isaac nam pokazał, przyglądaliśmy się z Tomem malowidłu w nowym świetle. Widzieliśmy *ouroborsa*, Pierwszą Materię, węża połykającego własny ogon. Zналиśmy też postaci w środku. Boży generał, Archanioł Michał, wbijał miecz w szatana, smoka, a diabelskie sługi wiły się poniżej, połykając ciemność.

Uzbrojeni w klucz mistrza Benedicta w końcu wiedzieliśmy, czym je otruć.

– Wiemy już, że to jest merkuriusz – powiedziałem, wskazując dziurę po lewej. – Ten u góry to...



– ...powietrze? – zdziwiłem się.

Tom sięgnął do góry i włożył palec w otwór.

– Czy tam nie ma już powietrza?

# VOCABULARIUM ALCHEMIAE

<p><b>TRZY ZASADY</b></p> <p>⊖ sól siła kurcząca      krystalizacja kurczenie</p> <p>♁ siarka siła rozszerzająca      rozpuszczanie parowanie</p> <p>♀ merkuriusz siła scalająca      równoważenie soli i siarki</p>	<p><b>CZTERY ŻYWIÓŁY</b></p> <p>▽ ziemia      zimna i sucha      melancholiczna</p> <p>▽ woda      zimna i mokra      flegmatyczna</p> <p>△ powietrze      gorące i mokre      sangwiniczne</p> <p>△ ogień      gorący i suchy      choleryczny</p>																																				
<p><b>METALE PLANETARNE</b></p> <p>☉ złoto / Słońce</p> <p>♃ srebro / Księżyc      ♃ cyna / Jowisz</p> <p>♂ żelazo / Mars      ♀ ołów / Wenus</p> <p>♀ merkuriusz / Merkury      ♄ miedź / Saturn</p>	<p><b>MINERAŁY ZIEMNE</b></p> <p>⊖ saletra      ♄ realgar</p> <p>♁ wapno palone      ♁ cynober</p> <p>*O* szlamak rodzimy      ♁ sól stała</p> <p>♁ glejta      ♁ markazyt</p>																																				
<p><b>ROZPUSZCZALNIKI</b></p> <p>∇ aqua fortis      ♁ aqua regia</p> <p>⊕ ocet      ⚡ ocet destylowany</p> <p>⊕<sub>2</sub> olej szklany</p>	<p><b>WAGI I MINERAŁY</b></p> <p>♁ jeden funt      ⚖ jeden skrupuł</p> <p>♁ jedna uncja      ♁ jedna szczypta</p> <p>♁ jeden dram      ⚖ jedna pinta</p> <p>ANA równa ilość</p>																																				
<p><b>INSTRUKCJE / PROCESY</b></p> <table border="0"> <tbody> <tr> <td>⊥ wyprażenie</td> <td>♁ sublimacja</td> <td>Σ cukier</td> <td>♁ miód</td> </tr> <tr> <td>♁ zagęszczenie</td> <td>♁ separacja</td> <td>♁ duch</td> <td>♁ wosk</td> </tr> <tr> <td>♁ krzepnięcie</td> <td>♁ tworzenie</td> <td>♁ esencja</td> <td>♁ proszek</td> </tr> <tr> <td>♁ rozpuszczanie</td> <td>♁ fermentacja</td> <td>♁ destylator</td> <td>♁ destylować</td> </tr> <tr> <td>♁ wytrawianie</td> <td>♁ powielenie</td> <td>♁ brać</td> <td>♁ mieszać</td> </tr> <tr> <td>♁ wytrącanie</td> <td>☉ caput mortuum</td> <td>♁ alkohol</td> <td>♁ złożyć</td> </tr> <tr> <td>♁ oczyścić</td> <td>♁ oleć</td> <td>♁ odparować</td> <td>♁ zbiornik na destylat</td> </tr> <tr> <td>♁ rozwarzać</td> <td>♁ filtrować</td> <td>♁ noc</td> <td>♁ gotować</td> </tr> <tr> <td></td> <td></td> <td>♁ dzień</td> <td></td> </tr> </tbody> </table>		⊥ wyprażenie	♁ sublimacja	Σ cukier	♁ miód	♁ zagęszczenie	♁ separacja	♁ duch	♁ wosk	♁ krzepnięcie	♁ tworzenie	♁ esencja	♁ proszek	♁ rozpuszczanie	♁ fermentacja	♁ destylator	♁ destylować	♁ wytrawianie	♁ powielenie	♁ brać	♁ mieszać	♁ wytrącanie	☉ caput mortuum	♁ alkohol	♁ złożyć	♁ oczyścić	♁ oleć	♁ odparować	♁ zbiornik na destylat	♁ rozwarzać	♁ filtrować	♁ noc	♁ gotować			♁ dzień	
⊥ wyprażenie	♁ sublimacja	Σ cukier	♁ miód																																		
♁ zagęszczenie	♁ separacja	♁ duch	♁ wosk																																		
♁ krzepnięcie	♁ tworzenie	♁ esencja	♁ proszek																																		
♁ rozpuszczanie	♁ fermentacja	♁ destylator	♁ destylować																																		
♁ wytrawianie	♁ powielenie	♁ brać	♁ mieszać																																		
♁ wytrącanie	☉ caput mortuum	♁ alkohol	♁ złożyć																																		
♁ oczyścić	♁ oleć	♁ odparować	♁ zbiornik na destylat																																		
♁ rozwarzać	♁ filtrować	♁ noc	♁ gotować																																		
		♁ dzień																																			

– Może w tym tkwi sekret. – Odwróciłem się do stołów ze składnikami. – Nic nie powinno tam być. Ale jeśli nie masz klucza, włożysz tam różne rzeczy, próbując go złamać. Więc zamek nie zadziała.

Całkiem sprytnie – pomyślałem.

– Dobra – przytaknął Tom. – Więc co z ostatnim?

Pozostały trzy symbole do dopasowania.



Trójkąt zwrócony ku dołowi. Woda.

Dziwaczna drabinka ze specjalnym zygzakiem na dole. Mieszać.

Okrąg z poziomą linią przez środek. Sól.

Woda, mieszać, sól.

– Czy to znaczy... słona woda? – zapytał Tom.

– Tak bym zgadywał – odpowiedziałem.

Powietrze na górze, merkuriusz po lewej, słona woda po prawej. Przygotowaliśmy się. Nalałem wody do kreski jednej ze zlewek. Wsypałem czubatą łyżkę soli z drugiego stołu. Zamieszałem, co sprawiło, że płyn był mętnotniały. Druga zlewka, wypełniona merkuriuszem, poszła do Toma.

Staliśmy przed smokami. Skinąłem do Toma.

Powoli wlał merkuriusza. Usłyszeliśmy lekki stuk zza płyty.

Przechyliłem zlewkę ze słoną wodą. Chlupnęła do środka.

Nic.

– Czy...

Klak.

Ściana się rozpieczętowała. Pojawiło się łączenie okrężające wewnętrzną linię *ouroborosa*. Płomień pochodni zadrżał, gdy podmuch powietrza przeleciał obok, świszcząc w naszych uszach jak oddech.

Środek malowidła otworzył się. Archanioł Michał czekał.

Wszedłem do środka.

Za pieczęcią znajdował się nowy, szeroki korytarz. Nie było tu żadnych uchwytów na pochodnie, żadnych kości, tylko lita skała. Przejście wiodło przez kolejnych dwadzieścia stóp. Kończyło się drewnianymi drzwiami.

– Patrz – zwrócił uwagę Tom.

Przyglądał się tyłowi malowidła. Był ze szkła, więc mogliśmy



zobaczyć mechanizm za nim, tak jak w mojej kostce zagadce. Po prawej mercuriusz przytrzymał dźwignię przytwierdzoną z boku do zamka. U góry, gdzie zostawiliśmy samo powietrze, była kolejna dźwignia. Jeśli cokolwiek zostałoby wlane do środka, przytrzymałoby to przeciwwagę, która wymuszała, by zamek pozostał zamknięty.

Najbardziej niezwykła rzecz znajdowała się jednak po drugiej stronie. Słona woda wypełniła ceramiczny słoje. U góry, między dwoma metalowymi zębami, trzaskały iskry, jaśniejsze niż z krzesiwa. Wyglądały jak maleńkie błyskawice. Z każdą przychodził też trzask jak tyci grom.

Tom przeżegnał się.

– Co to jest, w imię Boże?

Patrzyliśmy z podziwem, ale światło błyskało tylko kilka sekund. Słona woda wyciekła przez dziurki w dnie ceramicznego słoja i popłynęła w dół szklaną miedzianą rurką do płaskiego naczynia pod drzwiami. Iskry skończyły się pojawiać i zamek zamknął się ze szczękiem. Mercuriusz przesaczył się przez inną rurkę wprost do szklanego słoja obok naczynia. Gdy nie było wystarczającego obciążenia do przytrzymania dźwigni, mechanizm się zresetował. Obawiałem się, że będziemy zamknięci za malowidłem, dopóki nie zobaczyłem, że po tej stronie była klamka. Nie potrzebowaliśmy składników, by się wydostać.

Poszliśmy korytarzem w dół, do ostatniego wejścia. Nie było żadnej łamigłówki, żadnego klucza, tylko zwykła żelazna klamka w drzwiach. Otworzyłem je. Światło z naszej pochodni wypełniło warsztat za nimi i serce mi urosło.

Czułem się, jakbym wrócił do domu.

Piec, taki jak nasz, stał w rogu: żelazo miał wygięte jak spłaszczona cebula, ogromne zapasy drewna i węgla, przewód kominowy przebity przez kamienny sufit. Naprzeciwko stał destylator, pod nim ogromna zlewka zbierała krople. Stoły były pokryte na wpół skończonymi eksperymentami. Półki na ścianach wypełnione były książkami, dokumentami i zwojami, które aż zsuwały się na podłogę. Skrzynia z lodem, oprawiona brukiem, stała

przy destylatorze, a obok na zydelku tykał zegar z wahadłem. Objąłem się ramionami i wyraźnie czułem obecność mojego mistrza.

Nie wszystko było takie samo. Znajdowały się tu dodatkowe pomieszczenia, po jednym w każdej z trzech ścian. Sądząc po słojach w środku, te po prawej i lewej służyły jako magazyny składników. Z miejsca, w którym stałem, nie mogłem zajrzeć do pokoju po przeciwnej stronie.

– Co to jest? – zapytał Tom.

Drewniane deski za nami przytwierdzone były do ściany rzędami gwoździ. Zwisało z nich kilka kartek zapisanych słowami, diagramami i symbolami. Większość z nich znaczyły grube, czarne przekreślenia.

– To porażki – stwierdziłem. – Przed nami są receptury. Skreślenie oznacza, że nie zadziałały.

Większość papierów należała do mistrza Benedicta, ale nie wszystkie. Część prac zapisana była ręką Hugh, litery były grube i zaokrąglone. Byli też inni autorzy, których nie rozpoznawałem: przynajmniej trzech innych, sądząc po charakterach pisma.

– To ich sekretne laboratorium – powiedziałem. – To tu mistrz Benedict przychodził wieczorami.

Więcej papierów, całe stosy, spoczywały poniżej tablicy z gwoździami. Musiały być tam tysiące stron. W pierwszych stosach i na tablicach, większość była spisana ręką mistrza Benedicta. Gdy przeglądałem inne, litery zmieniały się, pergamin stawał się coraz bardziej kruchy. Naliczyłem co najmniej dwudziestu autorów, zanim przestałem. To były lata prac, dziesięciolecia. Może wieki.

– Christopherze.

Tom patrzył na pomieszczenie naprzeciwko wejścia. Przed nim, na podłodze, były ciemnobrązowe smugi rozmazane na kamieniu. Obok nich stało wiadro pełne szmat, a każda zabarwiona na ten sam kolor.

To była krew. Zasnęta krew. I było jej dużo.

Drzwi do pomieszczenia pozostały otwarte. Ściany wokół były spalone. Wewnątrz pokój był czarny od sadzy i miał też blizny, wycięte kawałki skały. Na środku pomieszczenia stał wgnieciony

żelazny stół. Na nim była ciężka zlewka ze szkła, a jej szeroką szyjkę zamknięto korkiem. Była napełniona żółtawym płynem, do kreski oznaczającej trzy czwarte.

Podniosłem ją. Płyn wewnątrz chlupotał, był maziowaty.

– Co to jest? – zapytał Tom.

Pokręciłem głową.

– Nie wiem.

Spojrzał na płyn, gdy przekręcałem zlewkę, patrząc, jak spływa po ściankach.

– Wygląda jak olej.

Wyciągnąłem korek i zanurzyłem palec w substancji. W dotyku też przypominała olej. Pachniała lekko owocowo i trochę egzotycznie, jak banany z tropikalnych wysp. Przyłożyłem palec do czubka języka.

– Jest słodkie – powiedziałem zdziwiony.

Język mi mrowił jak po syropie z ostrej papryki. Nigdy wcześniej nie próbowałem czegoś takiego.

Zakorkowałem zlewkę z powrotem i podałem Tomowi, który przyjrzał się płynowi. Wróciłem do ławy roboczej. Wszędzie leżały papiery, zapisane pismem mojego mistrza. Obok był długi zwój lontu armatniego. Pod ławą leżały kolejne dwa motki lontu, więcej, niż widziałem u nas w sklepie. Spojrzałem na pomieszczenie, z którego wyjęliśmy zlewkę, na zwęglenie pokrywające ściany.

Czyżby mistrz Benedict palił proch?

Po przeciwnej stronie ławy stał krótki walec, wysoki może na trzy cale i o jednym calu średnicy. Był owinięty cienką skórką natłuszczonego pergaminu. U góry zatknięty był knot z lontu armatniego, długi na prawie dwie stopy. Wyglądał jak dziwna naoliwiona świeczka. Obok na podłodze stało wiadro trocin.

Przypomniałem sobie Dzień Dębowego Jabłka. Wracając z Tomem do domu, widzieliśmy, jak lord Ashcombe znalazł ciało Hugh. Użyłem trocin, by sprzątnąć krew dzika. Mistrz Benedict przyglądał się zafascynowany.

A teraz trociny były tutaj.

Pergamin wokół cylindra był zwinięty. Rozwinąłem go. Walec był

pełen trocin, mokrych i klejących. Były przesiąknięte płynem ze zlewki.

Przeszukałem papiery na ławie. Znalazłem ten, spisany gładką ręką mistrza Benedicta. Były na nim skreślenia i poprawki na całej stronie. Ale kiedy czytało się nieskreślone linijki, pojawiała się receptura:

Ogień Archanioła

Napełnij zlewkę dymiącą *aqua fortis*. Zanurz zlewkę w lodowej kąpeli. Dodaj z najwyższą uwagą dymiący olej szklany. Dodaj więcej lodu do kąpeli, aż prawie zamarznie. Dodaj, małymi kroplami, słodki syrop z oliwy i glejty. Mieszaj z największą ostrożnością przez kwadrans. Przelej na wodę, a mikstura osiadzie na dnie. Weź miksturę i koniecznie małymi kroplami dodaj do natronu. Powtórz wszystko trzy razy. Końcowy płyn będzie miał wygląd i konsystencję oliwy.

Zrobił to. Mistrz Benedict odkrył surową esencję Prima Materii. Spojrzałem na Toma. Wciąż trzymał zlewkę w ręce. Serce mi łomotało. Tom odsunął się o krok.

– Co się stało?

– To jest to. – Wskazałem na zlewkę. – To Ogień Archanioła. Przyjrzał mu się.

– Jak... jak to działa? Pije się go?

– Nie jestem pewien. – Posmakowałem.

Mój język wciąż piekł. Zaczynała mnie boleć głowa, głucho dudniło mi i pulsowało w skroniach. Czy coś sobie zrobiłem? Czy to z powodu Ognia?

Otworzyłem dłoń, jak widziałem to na obrazach przedstawiających Michała Archanioła, które pokazał nam Isaac. Nie pojawił się żaden promień światła.

– Może lepiej to odłóż – powiedziałem.

Tom był równie zadowolony, że mógł się tego pozbyć, jak zawiedziony. Rozumiałem go. Nie każdego dnia trzymało się moc Boga w swoich dłoniach.

Przejrzałem więcej papierów. Były to w większości surowe notatki

z eksperymentów mojego mistrza. Znalazłem osobną recepturę, jak zrobić „słodki syrop z oliwy i glejty”. Hugh sporządził na marginesie notatkę, że syrop może być dobry do medycznych cukierków.

Gdy odwracałem strony, zauważyłem coś jeszcze. Na dole jednej z nich było więcej notatek mojego mistrza. Moją uwagę przyciągnęło jedno znajome słowo przy ostatnim dopisku na dole.

Trociny są kluczem. Zmieszane z Ogniem Archanioła. Niestabilność mikstury jest opanowana miękką naturą trocin i Ogień Archanioła staje się stabilny. Wtedy jedynie ogień go wyzwala. Miej baczenie, bo to jedyny sposób, by człowiek mógł bezpiecznie dotykać mocy Boga.

Zmarszczyłem czoło. Mistrz Benedict pisał, że Ogień Archanioła potrzebował trocin, by bezpiecznie się z nim obchodzić. Ale trociny nie były częścią pierwotnej receptury. Nie były też zmieszane z płynem w zlewce. Zdziwiony, zacząłem czytać to, co było napisane wcześniej.

Było to ostrzeżenie napisane drżącą ręką mojego mistrza:

Moc jest zbyt wielka. Ogień Archanioła nigdy nie był przeznaczony dla śmiertelników. Najłżejszy wstrząs sprowadza gniew Boga na człowieka. Co ja zrobiłem?

Wstałem, trzęsąc się, z kartką w ręce. Obok wiadomości były ledwo widoczne brązowe smugi, zaschnięta krew, która brudziła podłogę przy pomieszczeniu, w którym znaleźliśmy płyn, tam, gdzie teraz stał Tom.

Ten pokój był komorą testową. W głowie mi dudniło, ból wzrastał się z każdą chwilą. Spojrzałem na blizny w kamieniu, zwęglenie na drzwiach, wiadro, krew. Wstałem od stołu. Stół przewrócił się i upadł na podłogę.

– Tom. – Głos odmawiał mi posłuszeństwa. Pobiegłem do komory testowej.

– Tom!

Położył zlewkę na wygiętym żelaznym stole. Wciąż był pochylony, przypatrując się jej. Podskoczył, kiedy go zawołałem.

– Co się stało? – zapytał, a jego noga uderzyła w stół.

Zlewka przesunęła się ku jednemu z wygięć. Balansowała przez

chwile, aż przewróciła się w dół nachylenia. Zjechała w kierunku krawędzi, nabierając prędkości.

Pomyślałem o krwi na podłodze. O poparzonym ramieniu mojego mistrza. I o ciele Hugh – znalezionym w chrześcijańskim grobie w ogrodzie w Dniu Dębowego Jabłka – zwęglonym, szerniałym, rozdartym.

Złapałem Toma za kołnierz. Mocno go pociągnąłem. Upadł ze mną, na zewnątrz komory testowej. Rozłożyliśmy się na podłodze.

Zlewka zjechała ze stołu.

Próbowałem zamknąć drzwi kopnięciem.

Wtedy przyszła moc Boga.

## Rozdział 31

Czułem kamień na twarzy. Był zimny.

Jestem na podłodze – pomyślałem.

Próbowałem sobie przypomnieć, jak się tu znalazłem.

Papiery. Coś czytałem. Coś złego.

Moja prawa ręka była skręcona. Nie czułem jej, wydawało mi się, jakbym leżał na jakiejś pałce, a nie na ręce. Przesunąłem się, żeby ją wyciągnąć. Życie w nią powróciło, mrowienie gryzło mi skórę.

Usiadłem i zakaszlałem. Wciągnąłem w płuca gryzący dym, ale gorsze było to, co z nich wyrzuciłem. Moja głowa miała w środku krasnoluda, którego młot dźwięczał na kowadle. Przyłożyłem rękę do skroni. Była czerwona, ciepła i mokra.

Obok mnie leżał chłopak. Był zwinięty w kulkę i pochlipywał. Wyglądał na zbyt dużego dzieciaka, by pochlipywać.

Chwila. To był Tom. Pociągnąłem go tu ze sobą, tuż przed eksplozją. W kącie tlił się ogień. Lampka upadła i zbiła się, podpalając olej.

Próbowałem wstać. Padłem na kolana.

Spróbuj ponownie – pomyślałem.

Tym razem podziałało.

Sięgnąłem po klamkę drzwi do komory testowej, ale jej nie było. Właściwie nie było całych drzwi. Leżały obok Toma. Kawałek pozostał w przejściu, chwiejąc się na górnym zawiasie.

Dzwoniło mi w uszach. Musiałem ugasić ogień. W kącie stał kubeł z piachem. Wysypałem go na płomień, które zdawały się teraz mniejsze niż widziane z podłogi. Ogień znikł. Powietrze wypełniło się dymem.

– Tom – szepnąłem. Przestał szlochać. – Wszystko w porządku? Przeturlał się. Jego głos świszczął.

– Głowa ci krwawi.

– Nic mi nie jest. – Usiadłem przy stole, odsunąłem papiery i położyłem policzek na drewnie.

Proch. Olej szklany. Dendera.

Zawsze mówiłem, że bycie aptekarzem jest niebezpieczne. Ale to,

co mistrz Benedict uwolnił, a Oswyn przewidział, okrywało codzienną pracę wstydem. Ogień Archanioła przyniósł nowe blizny w ścianach, oderwał kawałki skał wielkie jak pięść. Wiedziałem teraz, że ślady krwi na podłodze należały do Hugh. Nie został zamordowany. Padł przed mocą boskiego generała, rozerwany na kawałki w podobnym wypadku, który o mało nie zabił mnie i Toma.

Pomyślałem o smutnym, nabazgranym wyznaniu mojego mistrza: „Ogień Archanioła nigdy nie był przeznaczony dla śmiertelników. Co ja zrobiłem?”.

Pomyślałem też o tym, jak chował swojego przyjaciela, najlepiej, jak umiał, w poświęconej ziemi pod kamiennym aniołem. Benedict Blackthorn, pracujący sam w ciemnościach, nie mógł nikomu powiedzieć, co tu zaszło. Na samą myśl o nim poczułem ukłucie w sercu.

Obsesja mojego mistrza na punkcie tego, jak Prima Materia mogła być użyta do poprawy ludzkiego życia, sprawiała, że tu wracał. Kontynuował prace, nawet po tym, co stało się z Hugh. Chciał znaleźć sposób na oczyszczenie Ognia Archanioła, by ze śmiercionośnej broni stał się czymś niosącym pomoc, jak dzieła alchemików, którzy zmieniali ołów w złoto, czy aptekarzy zmieniających truciznę dendery w lek na astmę. I przynajmniej częściowo odniósł sukces. Trociny – moje trociny – zmieniły naturę Ognia Archanioła i złagodziły boski gniew. Walec z lontem został strącony ze stołu roboczego przez eksplozję, ale nie wybuchł, uderzając o podłogę. Mistrz Benedict miał rację. Po zmieszaniu z trocinami broń potrzebowała ognia, by uwolnić swoją moc.

Moc. Czy to słowo wystarczyło, by opisać okrutny boski dar?

„Nie mów nikomu”, ostrzegł mnie mistrz. Teraz zrozumiałem jego słowa. Pamiętam, jak pytał mnie, czy chciałem życia, które mi dał, gdy pozwolił mi odejść. Przez chwilę zastanawiałem się, co by zrobił, gdybym z niej skorzystał, ale była to tylko strata czasu. Nigdy bym nie wybrał nic innego, nigdy bym go nie zostawił. Nawet teraz, choć byłem wstrząśnięty, czułem wielką dumę, że mi zaufał.

„Z tym dziedzictwem przyjdzie ci dokonać wyboru” – powiedział



Isaac. Teraz to też rozumiałem. Wysyłając mnie tu, mistrz Benedict pozostawił ostateczną decyzję dotyczącą Ognia Archanioła w moich rękach. Co zrobię z jego odkryciem? Będę pracował jak mój mistrz, próbując zmienić naturę Ognia, by odkryć uzdrawiającą moc Boga? Ukryję ją, nie mówiąc o tym nikomu? Czy może zniszczę go i na zawsze pozostawię poza zasięgiem ludzkości?

Mistrz Benedict szukał surowej mocy Wszechświata, by kształtować ją dla dobra ludzi, a zamiast tego znalazł nieziemską broń. Jego przyjaciel Hugh zmarł przez nią, a dziesięciu innych zostało zamordowanych w trakcie poszukiwań. Pierwsza lekcja, którą dał mi mistrz Benedict – mówiła o tym, że nasze receptury to tylko narzędzia prowadzone sercem i rękoma tych, którzy ich używali. Mordercy pokazali, jakie były ich serca. Jeśli to narzędzie wpadłoby w ich ręce, zginęłoby o wiele więcej ludzi.

„Armia idąca z Archaniołem będzie niepokonana”. A śmiertelny generał, który nią dowodził, mógł zrobić, co tylko zechciał. Kto by go powstrzymał? Kto stanąłby przeciwko Wszechmocnemu? Człowiek mógłby obalić Jego Wysokość Karola i ogłosić się królem. „Zabić króla, przekonać parlament do dostosowania się i Anglia będzie ich” – powiedział Oswyn. A co dalej? Reszta świata?

Czekała nas kolejna wojna. Z Ogniem Archanioła byłaby to rzeź.

Wybuch namieszał mi w głowie. Ale strząsnął też pajęczyny.

Przypomniałem sobie Wata w jego niebieskim fartuchu; Wata ze Stubbem, nazywającego go mistrzem; Wata w siedzibie Gildii, konspiracyjnego z Martinem i Słoniem. I już wiedziałem.

Znałem już prawdę o morderstwach, prawdę o Kulcie Archanioła. I miałem plan.

Tom stał za mną, gdy kończyłem pisać drugi list, z ręką przyciśniętą do policzka.

– Oszalałeś – stwierdził. – Ogień opalił ci mózg.

Złożyłem oba listy i polałem ich brzegi woskiem, by je zapieczętować.

– Myślisz, że to nie zadziała?

– Jeśli przez „zadziała” rozumiesz: „zabije cię”, to jasne, zadziała.

– Jak dobrze pójdzie – powiedziałem – nie będę musiał wracać

do laboratorium. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Oczywiście. Bo wszystkie twoje plany odnoszą takie sukcesy. Napisałem imiona na listach, które zapieczętowałem.

– Po prostu je dostarcz – poleciłem. – I cokolwiek się stanie, nie wracaj.

– Co? Nie. Mówiłem już, że cię nie zostawię, żebyś...

– Nie tym razem. Mówię poważnie, Tom. Słyszysz mnie? Zrobiłeś już więcej, niż mógłbym kiedykolwiek pomyśleć. Jestem ci bardzo wdzięczny. Ale teraz musisz się trzymać ode mnie z daleka, dobrze?

– Próbowałem zaprotestować, ale mu przeszkodziłem. – Proszę, Tom. Trzymaj się z daleka. Obiecuj mi.

Zaszurał butami po kamieniu, miał spuszczoną głowę.

– Obiecuję.

Podąłem mu listy i wskazałem zegar z wahadłem. Ogień Archanioła zarysował jego szybkę.

– Pamiętaj, jutro rano...

– ...dostarcz pierwszy list o dziewiątej, a drugi o jedenastej. Pamiętam. Odwrócił się, by odejść. Ponownie się odwrócił. Przytulił mnie, ściskając zbyt mocno, bym mógł oddychać.

Składniki, których potrzebowałem, były w magazynach. Mistrz Benedict miał przygotowaną dużą porcję słodkiego syropu, która spoczywała w pięciogalonowym dzbanie na ławie, więc pozostawało mi tylko przestrzeżać receptury. Zapowiadała się najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Musiałem się skupić, by powstrzymać drżenie rąk, cały czas byłem przerażony ponad miarę.

Wskazówki zegara zdawały się przesuwać szybciej. Kiedy skończyłem, było po północy. Zanim przygotowałem pokój, była prawie siódma. Nareszcie wszystko było gotowe.

Jeszcze kilka godzin. Tylko tyle. Kilka godzin i to wszystko dobiegnie końca, w taki czy inny sposób.

Opuściłem laboratorium i wyszedłem na powierzchnię, w słońce wstające nad ogrodem rodziny Mortimerów. Usiadłem na trawie jak wiosenne jagnię i czekałem na przyjście wilków.

**Czwartek, 2 czerwca 1665 roku**  
**Świętego Erazma Obrońcy**

## Rozdział 32

Zamknąłem oczy. Trawa, nieprzycinana, drapała mnie na karku, jej szerokie źdźbła łaskotały moją skórę. Południowe słońce ogrzewało moją twarz. Usłyszałem gruchanie i podniosłem się na łokciu, by zobaczyć stadko gołębi na płocie. Szukałem Bridget, ale jej nie było. Nie widziałem jej od dwóch dni. Zastanawiałem się, co się z nią stało.

Nic z tym teraz nie zrobię. Westchnąłem i zmrużyłem oczy. Przez ostatnie pół godziny słyszałem dźwięki dochodzące z dworku za mną. Sprawiały, że serce mi łomotało, ale z tym też nic nie mogłem zrobić. Pozostawało czekać, zastanawiać się i martwić.

Z alejki dobiegł kolejny dźwięk, łopot skrzydeł odfruwających ptaków.

Koniec czasu.

Mężczyzna wyszedł z labiryntu. Przeszedł przez bramę, poza lwy, i ruszył w górę ścieżki. Zatrzymał się przed mauzoleum, opierając ramieniem o kamień ścian.

– Całe miasto cię szuka – powiedział.

– To chyba mam szczęście, że nikt tu nie mieszka – odrzekłem.

– Raczej szkoda. Dom Mortimerów jest naprawdę piękny.

Serce zabiło mi szybciej.

– Zna go pan?

Oswyn uśmiechnął się lekko.

– Byłem tu kiedyś. Chociaż nigdy w ogrodzie. – Przechylił głowę.

– Ktoś zniszczył zamek w moim gabinecie wczoraj po południu. Czy to byłeś ty?

– Przepraszam, mistrzu Colthurst. Zamknięto mnie.

– Jak się wydostałeś?

– Modlitwą – odpowiedziałem.

Uśmiech Oswyna zrobił się szerszy.

– Benedict dobrze zrobił, wybierając ciebie.

Nie zareagowałem.

– Otrzymałem twoją wiadomość. – Oswyn pokazał list, który mu wysłałem.

– Piszesz, że nie masz nic wspólnego z Kultem Archanioła i nie jesteś winny morderstw zarzucanych ci przez Richarda Ashcombe'a.

– To prawda – powiedziałem.

– Piszesz też, że odkryłeś coś ważnego i potrzebujesz mojej pomocy. Byłem, łagodnie to ujmując, zaskoczony. Przy tym wszystkim myślałem, że już opuściłeś Londyn.

– Musiałem najpierw coś załatwić.

– Na pewno. – Wyprostował się. – Więc czego ode mnie chcesz?

Oddech drżał mi w piersi. Musiałem się postarać, by się nie trząść.

– Znalazłem Ogień – powiedziałem.

– Och?

– Stubb i Wat szukali go w sklepie mojego mistrza.

– Pamiętam.

– Mistrz Benedict ukrył recepturę w tej kostce zagadce, którą mi dał.

– Czyżby... – Oswyn podrapał się po policzku. – I...?

– Ja... Myślałem, że będzie pan chciał go zobaczyć.

– Dlaczego miałbym tego chcieć?

– Bo... dlatego Stubb zabił mojego mistrza. I tego pragnie Kult.

– Co to ma wspólnego ze mną?

Zamrugalem i próbowałem znaleźć odpowiedź.

Oswyn się zaśmiał.

– Liczyłeś, że rzucę się na tę recepturę.

– Nie, ja...

– I co dalej? Wrobiłbyś mnie w przyznanie się, że cały ten czas próbowałem zdobyć Ogień Archanioła? Podejrzewam, że chciałbyś też, bym przyznał się do morderstwa Benedicta, skoro już do tego doszliśmy.

Moja twarz zrobiła się gorąca.

– Christopherze. – Oswyn pokręcił głową. – Próbujesz grać w grę, choć nie wiesz, jak poruszać pionkami.

– Ja... ja nie... – zacząłem.

– Jeśli chcesz wygrać, musisz myśleć kilka kroków do przodu. Pozwól, że ci coś powiem. – Oswyn podniósł głos tak, że odbijał się echem od ścian. – Zabiłem twojego mistrza.

Nie mogłem się ruszyć.

– Zabiłem też Nathaniela Stubba – ciągnął. – I jego uczniów, i Henry’ego Mortimera, i Olivera Pembroke’a, i wielu, wielu innych. Nie własną ręką. Ale ja wysłałem tych, którzy to zrobili. – Wrócił do normalnego tonu. – Czy to ci wystarczy?

Zaparło mi dech w piersiach. Nie – pomyślałem. – Nie wystarczy.

Drzwi do dworku za mną otworzyły się z hukiem. Lord Ashcombe wypadł na zewnątrz z pistoletem w dłoni. Czterech piechurów za nim, z włócznieami w gotowości. Dwóch z nich to ci sami ludzie króla, którzy zawsze stali u jego boku.

– Witaj, Richardzie – powiedział Oswyn. Uśmiechał się. – Cóż za niespodzianka.

– Oswynie Colthurst, jesteś aresztowany – powiedział lord Ashcombe.

Oswyn zrobił krok w tył.

– Da się to zauważyć.

To było zbyt łatwe. Spojrzałem poza Oswyna, za bramę, na ceglana ścianę za nią.

– Lordzie... – zacząłem.

– Nie masz dokąd uciec, purytaninie – mówił lord Ashcombe.

Oswyn znowu postąpił do tyłu.

– Czemuż to, Richardzie? Jeśli ucieknę do labiryntu, to... co? Spotkam strażników, których tam schowałeś, by odcięli mi drogę?

Oczy lorda Ashcombe’a się zwężyły.

– Mój panie, zaczekaj... – zacząłem, ale Oswyn mi przerwał.

– Kilka kroków do przodu, Christopherze – powiedział.

Następnie schował się za mauzoleum.

Z labiryntu wylała się armia Oswyna.

## Rozdział 33

Było ich siedmiu. Każdy miał pistolet. Inne sztuki broni wisały im u pasów.

Był tam Słoń z czerwoną szyją i schodzącą z niej skórą. Był też Martin z rozerwanym policzkiem i szczerbatą szczęką. Prowadził ich Wat, jego twarz upstrzona była bliznami, w każdej z dłoni miał pistolet skałkowy.

Lord Ashcombe zareagował jak błyskawica. Szybko wystrzelił z pistoletu, z trzaskiem i kłębem dymu. Jeden z ludzi Oswyna padł z rozprutym gardłem.

Wojsko Oswyna odpowiedziało. Sześć strzałów, niczym petardy ołowianego śrutu, pomknęło z ciemnoszarej chmury. Kula z muszkietu rozviała mi włosy, uderzając w ramę okna za mną i śląc dookoła deszcz drzazg. Trzy kolejne strzały świsnęły obok, jeden – rozbijając szybę, pozostałe – krusząc kamień. Dwa trafiły w cel. Kolano jednego z żołnierzy zapadło się, przewracając go na ziemię. Oko drugiego stało się miazgą z czerwonego mięszu.

Dałem nura w trawę i zakryłem głowę, jakby moje ręce mogły powstrzymać wrzeszczący ołów. Lord Ashcombe też się uchylił, lecz za późno. Wat wypalił z drugiego pistoletu. Królewskim strażnikiem targnęło do tyłu, aż stęknął. Upuścił swoją broń i złapał się za ramię tuż nad łokciem. Krew przeciekała mu przez palce.

Ludzie Oswyna odrzucili swoje pistolety, zużywszy amunicję. Biegli. Odczołgałem się z drogi, ale nie natarli na mnie.

Po dwóch poległych żołnierzach lorda Ashcombe'a ludzie Iróla zostali osaczeni. Jeden trafił najbliższego zbira Oswyna włócznią w pierś, zanim upadł pod gradem mieczy. Drugi został oszołomiony, nie zdążywszy nawet wyprowadzić ataku, i przyjął cios pałką w czaszkę. Zachwiał się. Kolejne uderzenie w czubek głowy powaliło go na dobre.

Ranny lord Ashcombe walczył jak lew. Lewą ręką rzucił nóż z biodra tak, że trafił jednego z ludzi Oswyna w szyję. Podniósł włócznię z ziemi i cisnął nią, przebijając kolejnemu pierś. Martin natarł na niego z uniesionym mieczem. Lord Ashcombe złapał

włócznie jednego z poległych towarzyszy broni i zrobiwszy zwód, trafił w cel. Martin padł z szeroko otwartymi oczami, bo grot włócznie tkwił głęboko w jego trzewiach.

Upadek chłopaka wyrwał broń z rąk lorda Ashcombe'a. Złapał za swój miecz przy pasie, ale palce, mokre od własnej krwi, ślizgały się po rękojeści.

I wtedy dopadł go Wat.

Zamachnął się toporem. Pierwsze uderzenie, niskie i ukośne, trafiło w dłoń przy mieczu. Dwa z palców lorda Ashcombe'a upadły na ziemię, razem ze złamaną rękojeścią. Drugie uderzenie leciało w dół. Trafiło lorda Ashcombe'a w policzek. Królewski strażnik zwalił się na trawę, trzymając rękę przy twarzy.

Wat usiadł na nim okrakiem, szczerząc się szeroko. Oburącz podniósł swój topór.

– Stój!

Oswyn nadbiegł ku nam zza mauzoleum. Uśmiech Wata zamarł.

– Stój, do cholery! – zawołał Oswyn. – Nie zabijaj go! – Odciągnął Wata. – Jeszcze nie.

Wat wyrwał się z uchwytu Oswyna. Żołnierz, który stracił kolano od kuli z muszkietu, czołgał się w kierunku tylnych drzwi dworku, zostawiając za sobą smugę krwi lśniąca w trawie. Wat ruszył na niego jak burza i rąbnął go toporem w plecy. Żołnierz przestał się ruszać.

Wszystko skończyło się w kilka sekund. Siedziałem tam, na trawie, bez ruchu. Porzucony miecz leżał dwie stopy ode mnie, połyskując w słońcu.

Oswyn podszedł, nie spuszczając ze mnie wzroku. Od niechcienia wsunął stopę pod ostrze i kopnął je. Przekoziołkowało i wylądowało w zaroślach, dość daleko, by być użyteczne.

– Nie chciałbym, żeby coś ci przyszło do głowy – powiedział.

Oddech lorda Ashcombe'a świszczał mu w gardle. Nie miał lewego oka. Jego zbliżowaciały policzek był rozcięty tak, że pod spodem widać było zęby zbroczone czerwienią. Wciąż jednak pozostawał lwem.

– Zdrajca – splunął.



– Ja? – Oswyn zaśmiał się niewesoło. – Ten łajdak, którego nazywasz królem, przepija swoje dni na tronie, a to ja jestem zdrajcą? Lud Anglii popadł w rozpustę i korupcję, ale to ja jestem zdrajcą? Ty jesteś zdrajcą, Richardzie. Ty i każdy mąż, który za nim podąża. I będziesz osądzony za swoje grzechy.

– Więc wyślij mnie do Boga. Poczekam na ciebie, opowiem ci, co powiedział.

Oswyn nachylił się.

– Och, zamierzam, Richardzie. Ale najpierw ujrysz śmierć swojego króla. I mnie namaszczonego na nowego Lorda Protektora.

– Nigdy przed tobą nie uklękne – powiedział lord Ashcombe.

– Uklękiesz. – Oswyn wygładził przód swojej kamizeli. – Choćbym musiał ci do tego obciąć stopy.

Słoń ukląkł obok Martina. Chłopak wyciągnął włócznię. Teraz miał ręce przy brzuchu, próbując zatrzymać trzewia w środku. Płakał.

– Pomóż mi. Proszę, pomóż mi.

Oswyn spojrzał na Słonia, który odciągnął dłonie Martina, by przyrzeć się ranie. Słoń pokręcił głową. Oswyn przytaknął, a wtedy olbrzym wsunął swe ostrze za ucho Martina. Uczeń zeszywniał i ucichł, łzy wciąż spływały z niewidzących oczu.

Oswyn kiwnął na mnie.

Słoń wstał.

Niezdarnie rzuciłem się do tyłu, wbijając palce w trawę. Uderzyłem głową o ścianę dworku.

– Uspokój się – powiedział Oswyn. – On cię tylko przeszuka.

Słoń odrzucił swój nóż tak, że drżące ostrze utknęło w ziemi. Pochylił się i obmacał moje ubranie. Byłem zbyt wystraszony, by zaprotestować.

– Co zrobiliście z żołnierzami lorda Ashcombe’a ukrywającymi się w labiryncie? – zapytał Oswyn Wata.

Ten wytarł ostrze toporu w tabard jednego z ludzi króla.

– Zabiliśmy ich.

– A ciała?

– Wciąż są w labiryncie. Nikt nas nie widział.

Ręce Słonia znalazły pas mojego mistrza pod koszulą. Zerwał go ze mnie i rzucił Oswynowi.

– Tylko to.

Oswyn przyjrzał się zaciekawiony.

– Masz tu praktycznie całą farmakopeę. – Nagle spojrzał na mnie zaskoczony. – Olej szklany. W zamku. Tak uciekłeś ode mnie z gabinetu.

Ucieczka była dokładnie tym, o czym teraz myślałem, ale nie miałem dokąd się przeczłgać.

– Skąd wiedzieliście o lordzie Ashcombie? – Głos mi drżał. – Skąd wiedzieliście, że będzie na was czekał?

– Och, miałem szpiega w jego służbie od miesięcy – powiedział Oswyn. – Nie każdy, kto nosi barwy króla, mu służy. Niektórzy wierzą w wyższą ideę. Chociaż spora ilość złota też ma swoje uroki.

Oswyn odwrócił się do lorda Ashcombe'a, czekając na odpowiedź, ale królewski strażnik nic nie mówił. Oswyn wzruszył ramionami.

– Gdy nasz Richard opuścił Tower ze swoimi ludźmi – ciągnął Oswyn – mój szpieg wysłał mi gońca, przekazując informację, że wysłałeś list do lorda Ashcombe'a, proponując plan, by zastawić pułapkę na przywódcę Kultu Archanioła. Zanim otrzymałem twoją wiadomość w siedzibie, wiedziałem już, dlaczego chciałeś, bym tu przyszedł, i wiedziałem, że ludzie lorda Ashcombe'a będą kryć się w labiryncie. Dość łatwo było rozbić twoją zasadzkę i pokrzyżować wam obu plany. Właściwie nawet mi pomogłeś. Chciałem pozbyć się królewskiego strażnika od jakiegoś czasu. Dałeś mi ku temu świetną okazję. Dwie pieczenie na jednym ogniu, jak to mawiają. – Oswyn się uśmiechnął. – Rozumiesz, co mam na myśli, Christopherze? Kilka kroków do przodu. – Oswyn powiódł palcami po flakonach w pasie. – Lepszym pytaniem jest, skąd ty wiedziałeś? Kiedy uciekłeś z siedziby w niedzielę rano po tym, jak kazałem ci czekać, byłem pewien, że mnie zdemaskowałeś. Ale wróciłeś tego popołudnia, więc oczywiście nie wiedziałeś, że stoję za morderstwami. Co mnie wydało?

– Wat – odpowiedziałem. Oswyn spojrzał ostro na okrutnego chłopaka, który rozłożył ręce, jakby chcąc uniknąć obciążenia winą.

– Mówił pan, że testował każdego ucznia w Gildii Aptekarzy. Powiedział pan, że nigdy nie słyszał o Wacie. Ale on pojawił się w siedzibie.

Skarciłem się w myślach. Doszedłem do tego o dzień za późno.

– Kiedy przyszedłem tamtego ranka – mówiłem – odźwierny nie chciał mnie wpuścić, mimo że byłem uczniem. Nie wpuściłby też Wata, chyba że miałby on prawo być tam w niedzielę. Więc Wat musiał być częścią Gildii. A powiedział pan, że nie jest. Był tylko jeden powód, by skłamać. – Nie był on uczniem Stubba – powiedziałem – tylko pańskim.

Myślałem, że Oswyn będzie zły. Zamiast tego wyglądał na zachwyconego.

– Chciałem cię zabić tamtego ranka – zwrócił się do mnie – tak jak zdecydowałem się pozbyć Stubba. Pracował dla mnie, jak niewątpliwie już zgadłeś, ale stał się zbyt dużym obciążeniem. Złoto Stubba było przydatne w naszej sprawie – między innymi opłacało naszego szpiega – ale mężczyzna zaczynał być zbyt nachalny w swoich żądaniach, a to, że dał ci się podsłuchać w warsztacie twojego mistrza, było niewybaczalne. Musiał zostać wyeliminowany. Jeśli chodzi o ciebie – kontynuował Oswyn – kiedy uciekłeś z siedziby, wpadłem w szal. Teraz się cieszę.

Chociaż wiedziałem, że ta chwila nadchodzi, i chociaż starałem się na nią przygotować, zaczynałem się trząść.

– Dlaczego?

– Ponieważ, Christopherze, nawet cię lubię. Co ważniejsze, masz coś, czego mi potrzeba. – Kucnął obok mnie. – I tym razem zamierzam to otrzymać.

## Rozdział 34

– Nic nie mam – bąknąłem. – Mówiłem, że miałem, aby was tu ściągnąć. Oswyn wyglądał na rozczarowanego.

– Nie będę cię obrażał, udając, że jesteś głupi. Prosiłbym, byś okazał mi choć tyle samo grzeczności. Daj mi przepis na Ogień Archanioła.

– Mistrz Benedict nigdy mi o nim nie mówił.

– W to wierzę. Nie naraziłby cię na niebezpieczeństwo, jeśli nie byłoby to absolutnie konieczne.

– Nigdy nie było żadnego przepisu w kostce zagadce. – Próbowałem powstrzymać drżenie głosu. – Powiedziałem to tylko po to, żeby się pan przyznał.

– Och, to wiem.

– Więc wie pan, że naprawdę nie mam...

Oswyn mi przerwał.

– Opuściłeś siedzibę. W niedzielę, po tym, jak ostrzegałem cię, byś z nikim nie rozmawiał, po tym, jak ostrzegałem cię, że Stubb może przyjść, po tym, jak kazałem ci czekać na mnie, i tak wyszedłeś. Jeśli nie uciekałeś przede mną, tylko jedna rzecz mogła cię stamtąd wywabić. Benedict musiał dać ci coś, zanim zmarł. Jeśli nie była to receptura na Ogień, to było to coś, by go odnaleźć. List. Wiadomość. Mapa.

Teraz przyprowadziłeś mnie do domu Mortimerów. Gdy pojaliśmy Henry'ego Mortimera trzy miesiące temu, zaklinał się, że nic nie wie. Po jego śmierci moi ludzie przeszukali to miejsce od strychu po piwnice. Szukaliśmy całe dni. Nic nie znaleźliśmy. A oto tu jesteś. Oczekujesz, że uwierzę w taki przypadek?

Nie miałem na to dobrej odpowiedzi.

– Po co właściwie potrzebny wam Ogień? – zapytałem.

– Próbowałem ci powiedzieć wtedy w siedzibie. Chcę uczynić świat lepszym.

Przyglądałem mu się. Zaśmiałbym się, gdybym nie był dość wystraszony, by zmoczyć spodnie.

Oswyn zmarszczył czoło.

– Wciąż jesteś młody, Christopherze, więc myślisz, że Król Karol jest czarujący. Nazywacie go „Wesołym Monarchą”, ty i reszta jego psów, zlizująca resztki z jego stołu. Czemu kłaniasz się tym szczyrom? Co im zawdzięczasz – ty, ze wszystkich tych ludzi, który dorastałeś, nie mając nic? Czy nie widzisz, jakimi naprawdę są pasożytami? Są skorumpowani, niegodziwi, do cna zepsuci. Mimo to wynoszą się ponad porządnych, rzetelnych ludzi, podczas gdy nasz król – wypluł to słowo, jakby było zatrute – zatracą się w dekadencji. A dokąd ten nikkzemnik pójdzie, tam podążą ludzie.

Lord Ashcombe przesunął się, wspierając o ścianę dworku. Krwawił tak mocno, że nie byłem pewien, czy przeżyje.

– Wiedziałem, że jesteś ze zdrajcami Cromwella – powiedział lord Ashcombe niewyraźnie z powodu odniesionych ran. – Nigdy nie powinienem był słuchać waszego Wielkiego Mistrza. Powinienem był cię powiesić w dzień powrotu Jego Wysokości.

– Błąd, którego już nigdy nie naprawisz. – Oswyn znów odwrócił się do mnie. – Te szkodniki mogą mieć swoje tytuły, Christopherze, ale nie mają prawa do władzy. Ono należy do prawdziwych Anglików, takich jak ty i ja. Cromwell zaczął rewolucję, ale nie było mu dane jej dokończyć. Nam się uda. Stworzymy coś lepszego i będzie to dar Archanioła, który ocali nas wszystkich. Anglia zmieni się wedle naszej woli. Albo Ogień wypali ich domostwa.

– Jesteś szalony – powiedziałem.

– Christopherze.

– Nie – splunąłem. – Myślisz, że jesteś taki szlachetny. Udajesz troskę o ludzi, podczas gdy mordujesz każdego, kto stanie ci na drodze. Nie tego uczył mnie mój mistrz. Mówisz tyle o porządnych, rzetelnych ludziach, ale wszystko, co cię obchodzi, to władza. Jesteś po prostu kolejnym tyranem.

Oswyn pokręcił głową.

– Jesteś na mnie zły. Rozumiem. Żałuję śmierci Benedicta, naprawdę. Ale nie miałem wyboru. Nigdy nie dałby mi Ognia. Nie popełniaj tego samego błędu, Christopherze. Wciąż jest dla ciebie miejsce w naszej przyszłości.

– Mówiłem ci. Nic nie wiem. – Głos mi drżał.

Wat wodził paznokciem po krawędzi swojego noża.

– Daj mi się nim zająć, mistrzu.

Oswyn obrócił się raptownie, rozzłoszczony.

– Zamilcz. Gdyby nie twoja nieudolność, już mielibyśmy, czego nam trzeba.

– Wskazał na lorda Ashcombe'a opierającego się o ścianę. – Zwiąż go. Ja zajmę się chłopcem.

– Nic nie wiem – powtórzyłem.

Oswyn przyjrzał się pasowi mojego mistrza.

– Zdejmij koszulę.

Wciąż miałem na sobie dziwaczne ubrania, które dał mi doktor Parrett. Trzymałem się ich bardziej niż czegokolwiek, co kiedykolwiek posiadałem.

Wat i Słoń zdjęli pasy martwych żołnierzy i użyli ich do spętania lorda Ashcombe'a. Kiedy skończyli, Oswyn pokierował ich do mnie.

Próbowałem się odczołgać. Słoń mnie przytrzymał. Wat wyjął swój nóż, ten sam, którym zabił mojego mistrza. Rozciął moją koszulę i rozdarł mi ją na piersi.

Oswyn przeglądał pas, aż znalazł ten flakon, którego szukał. Zatyczka była nowsza niż inne, świeża. Uzupełniłem flakon w laboratorium pod ziemią.

– Wiem, że nie jest ci to obce – powiedział.

Wyjął korek, złamał pieczęć z czerwonego wosku i wyciągnął sznurek.

– Proszę – powiedziałem.

Oswyn trzymał otwarty flakonik nad moją klatką piersiową. Czuję kwaśny odór.

– Proszę – powtórzyłem.

– Powiedz mi, gdzie jest receptura, Christopherze. Nie odpowiedziałem.

Flakonik przechylił się i jedna, dwie, trzy krople spadły na moją pierś, rozbryzgując się tuż nad moim sercem.

Na początku nie czułem nic. Miałem wrażenie, że to chłodne krople wody na mojej skórze w wiosennym słońcu.

Wtedy zaczęło piec.

Wieczność. Wydawało mi się, że minęła wieczność, nim olej szklany przestał rozdzierać moje ciało.

Nie patrzyłem w dół. Nie chciałem wiedzieć.

– Zakończ to, Christopherze – mówił Oswyn. – Powiedz mi, gdzie ukryłeś recepturę.

– Nie – powiedziałem.

Oswyn pokręcił głową.

– Nie widzisz.

Uniósł flakonik do góry. Jego ręka zasłaniała mi słońce.

– A jeśli nie będziesz widział – powiedział – to po co ci oczy?

Przechylił flakonik po raz kolejny, powoli, dokładnie nad moją twarzą. Olej szklany przesunął się ku brzegowi szkła.

Nie mogłem. Po prostu nie mogłem.

Powiedziałem mu.

## Rozdział 35

Sarkofag w mauzoleum odsunął się na bok. Oswyn przyglądał się ciemności w dole. Pokazał na skrepowanego lorda Ashcombe'a przerzuconego przez ramię Słonia.

– Znieś go pierwszego.

– Po prostu go zrzuć – powiedział Wat. Oswyn wyglądał na zdenerwowanego.

– Jeśli chciałbym, żeby był martwy, czy już by nie był?

Słoń zszedł po drabinie z lordem Ashcombe'em brudzącym mu kamizelkę krwią. Wat, nadąsany, wziął pochodnię z uchwytu w ścianie i podążył za nimi w dół. Czekałem na brzegu, przytrzymując rozdarty brzeg mojej koszuli. Pod nimi moja poparzona pierś wciąż płonęła. Oswyn poprowadził mnie w kierunku drabiny, jego ręka na moich plecach była zaskakująco delikatna.

– Szkoda, że nie wybrałem ciebie – powiedział.

Oswyn był zafascynowany metalowymi drzwiami za malowidłem. Był jeszcze bardziej podekscytowany, gdy pokazałem mu, jak się otwierają. Gapił się na ich przeszklony tył, zarzucając mnie pytaniami o mechanizm. Przez chwilę zdawało się, jakby zapomniał, po co naprawdę tu przyszedł. Szybko jednak pogonił nas dalej, ku laboratorium.

Wat prowadził. Drewniane drzwi pchnięte do środka zadudniły o beczkę z octem, którą postawiłem po prawej stronie, częściowo blokując wejście. Słoń położył półprzytomnego lorda Ashcombe'a w jedynym miejscu, gdzie się dało, przy ścianie po lewej, obok wielkiego pieca. Przesunąłem się i stanąłem obok niego.

Oswyn przyglądał się przyrządom, ławom roboczym i notatkom, które je pokrywały. Zobaczył pergamin zwieszający się z gwoździ na tablicy, stosy papierów poniżej.

– Całe te lata... – szepnął.

Przysunąłem się bliżej pieca.

Oswyn obrócił się ku mnie.

– Gdzie to jest?



Zamarłem.

– Jest... na ławie. W papierach.

Ruszył. Wstrzymał się. Potarł kciukiem brodę.

– Idź sprawdzić – powiedział do Wata.

Wat przeszedł do środka laboratorium, pulchnymi palcami rozgarniając szklane zlewki.

Oswyn nie spuszczał mnie z oczu.

– Jest tam?

Wat wzruszył ramionami.

– Jest tu dużo notatek. Ledwo mogę je odczytać. – Przebiegł wzrokiem po papierach. – Nie widzę tego.

Zrobiłem kolejny krok w tył. Moje ramię dotknęło pieca.

Oczy Oswyna zwięzły się.

– Co robisz? Nie ruszaj się.

Jego głos sprowadził na mnie uwagę Słonia. Szybko sięgnąłem w jamę pieca i chwyciłem walec, który schowałem w środku.

Nie byłem dość szybki. Zanim zdążyłem zrobić cokolwiek więcej, Słoń wbił mi pięść w żołądek. Ból brzucha rozniósł się nowym ogniem, jaśniejszym niż oparzenia na mojej piersi. Każdy mięsień w moim ciele przeszedł skurcz. Próbowałem nabrać powietrza, ale nie mogłem oddychać.

Wat dopadł mnie i złapał za nadgarstek. Uderzył nim o żelazo raz i drugi. Palce mi zdrewniały. Walec wyślizgnął mi się i upadł na podłogę. Odturlał się, wijąc knotem jak biczem, zostawiając za sobą tłustą smugę na kamieniu.

Oswyn podniósł go i trzymał jak dziecko. Wat złapał mnie za włosy i uniósł pięść.

– Nie – powiedział Oswyn. – Jeszcze z nim nie skończyłem.

Wat rzucił mnie na podłogę obok lorda Ashcombe'a. Moje płuca zaczęły znów działać. Wessałem powietrze, zachłystując się. Wat kopnął mnie w bok, na wszelki wypadek. Skuliłem się tyłem do niego, głaszcząc swój poobijany nadgarstek.

Słoń zajrzał do pieca w poszukiwaniu innych pułapek.

– Nic więcej.

Oswyn przyglądał się walcowi z przyspieszonym oddechem.

Rozwinął pergamin, w który był zawinięty, i wetknął palec do środka. Był mokry. Roztarł oleistą substancję między palcami. Powąchał ją, później knot.

– Lont armatni. – Oswyn skinął na uczniów. – Oczyszćcie ten ką. Dajcie lampę.

Słoń ruszył się, by wykonać polecenie.

– Nie – powiedziałem.

Spojrzeli na mnie.

– Nie podpalajcie tego – błagałem. – Wszyscy zginiemy.

– To tylko duża petarda – zachnął się Wat.

– Nie.

Oczy Oswyna znów się zwężyły, ale rozejrzał się po laboratorium. Zobaczył komorę testową po drugiej stronie, jej obłupane, poczerńnięte ściany, połamane drzwi.

– Nie rozumiecie – powiedziałem. – Jest ponad wszystko, co sobie wyobrażaliście. Jesteśmy jedynie ludźmi, śmiertelnymi ludźmi. Ogień Archanioła nigdy nie był dla nas.

Oswyn spojrzał na mnie.

– Proszę, mistrzu Colthurst – mówiłem. – Jeśli to odpalicie, zniszczycie nas wszystkich.

Oswyn pozostał w bezruchu, myśląc. Przez chwilę wydawało mi się, że może posłucha.

Wtedy podał walec Watowi. Wskazał na komorę testową.

– Odpal to tam.

Wat złapał zawiniątko, jakby była to świeczka. Zabrał je do komory testowej i ustawił na wgłębionym żelaznym stole. Ogniem z lampy podpalił knot.

Lont trzaskał i iskrzył, tańcząc w kierunku tłuszczu.

Powoli prześlizgnąłem się do tyłu. Złapałem przód tabardu lorda Ashcombe'a. Czuję bicie jego serca.

Wat wyszedł z komory testowej, obserwując walec. Oswyn i Słoń przysunęli się bliżej.

Pociągnąłem za kamizelę lorda Ashcombe'a. Spojrzał na mnie.

– Wstawaj – szepnąłem.

Królewski strażnik dwukrotnie zamrugął. Następnie z trudem

podniósł się na nogi. Pomagałem mu stać.

Lont wypalił się poniżej papieru. Przez sekundę nic się nie działo.

– Mówiłem wam – powiedział Wat. I wtedy świat stanął w płomieniach.

Wybuch zdawał się kruszyć ziemię. Ściany się zatrzęśły. Kawałki komory testowej wyleciały na zewnątrz, kamyki odbijały się od sufitu. Beczka oleju do lamp – ta, którą zaciągnąłem w narożnik komory testowej, nim wyszedłem do ogrodu – eksplodowała, śląc na zewnątrz płonące z jękiem paliwo jak wypuszczone z piekła widma.

Palący się podmuch powietrza rzucił Wata na ławę, rozrzucając papiery jak ognisty śnieg. Słoń przewrócił się na podłogę. Siła gorącego powietrza przycisnęła mnie do lorda Ashcombe'a, który wybałuszył oczy, wstrzymując oddech.

Oswyn pozostał na środku pomieszczenia. Żelazny stół, rozdarty na kawałki, posłał ze świstem postrzępiony kawałek metalu tuż obok jego twarzy. Ledwo drgnął. Po prostu stał jak posąg i patrzył w twarz Boga.

Powietrze zdawało się huczeć całą wieczność, płomienie kręciły się po suficie wirami. Wtem znikły i wszystko, co zostało, to syk niczym chóru węży.

Wat szamotał się, rozpaczliwie bijąc płomienie, które zajęły jego rękaw. Słoń pozostał na ziemi z otwartymi ustami.

Oswyn ruszył do przodu z blaskiem w oczach.

– Wspaniale – zachrypiał. – Wspaniale.

Dym palił mnie w gardło. Ponownie pociągnąłem za tabard lorda Ashcombe'a. Nasze spojrzenia się spotkały.

Oswyn rozkazywał drżącym głosem.

– Przeszukajcie pokój. Zajrzyjcie wszędzie. Znajdźcie recepturę. – Odwrócił się do mnie i lorda Ashcombe'a. – Dziękuję ci – powiedział.

Zdawał się mówić szczerze.

Jego uczniowie zostali w miejscu. Wat dyszał w kącie, nareszcie ugasiwszy płomienie na koszuli. Słoń patrzył przerażony na zniszczoną komorę testową.

– Szybko – pogonił ich Oswyn.

Powietrze wciąż wirowało. Pociągnąłem jeszcze raz za tabard lorda Ashcombe'a i niespiesznie powiodłem wzrokiem w kierunku otwartego, pustego paleniska. Lord Ashcombe prześledził moje spojrzenie i popatrzył na mnie. Przytaknąłem lekko. Nie miałem pojęcia, czy zrozumiał.

Słoń zmarszczył czoło.

– Mistrzu?

– Słucham? – odpowiedział Oswyn, wciąż drżąc.

– Sufit się pali.

Słoń wskazał górę. Przyklejony do kamienia lont gnał z sykiem w kierunku walca zamaskowanego na szaro popiołem, przyklejonego do sufitu na jajko i mąkę.

Oswyn rozejrzał się po pomieszczeniu. W czterech innych miejscach na suficie lont armatni trzaskał, podpalony płomieniami z Ognia Archanioła. Na końcu każdego czekało kolejne zawiniątko, porządnie przyklejone.

Oczy Oswyna rozszerzyły się.

Chwyciłem lorda Ashcombe'a i go pociągnąłem. Resztką sił zanurkował do pieca. Wgramoliłem się obok, przyciskając swoją głowę do jego i zasłaniając nam uszy.

Płonące lonty dosięgły zawiniątek.

– Dobry Boże – powiedział Oswyn.

Tym razem Bóg odpowiedział.

## Rozdział 36

Zły sen.

Powieki mi drgały.

To wszystko – pomyślałem – to tylko zły sen. Śpij dalej.

– Nie – odezwał się znajomy głos. – Obudź się, Christopherze.

– Mistrzu? – powiedziałem. Głowa mi pękała. – Czy to ty?

– Tak – odpowiedział. – Chcę, żebyś się teraz obudził.

– Proszę, mistrzu. Jeszcze tylko kilka minut. Zaraz przygotuję sklep.

– Nie, Christopherze. – Szturchnął mnie w plecy. Ból. – Musisz wstać. Teraz. Spiesz się.

Jęknąłem.

Głowa mi pękała.

Otworzyłem oczy. A przynajmniej tak mi się wydawało. Było ciemno.

Czy nie spałem?

Czy żyłem?

Bolało mnie wszystko.

Nie sądziłem, żeby to działało się po śmierci. Dzwoniło mi w uszach, jakbym spędził noc w dzwonnicy w Świętym Pawle. Każda kość w moim ciele była jakby nadepnięta przez słońca. Prawdziwego.

Przekręciłem się. Na wpół wyczołgałem się, na wpół spadłem na skałę poniżej. Moje ciało uderzyło o podłogę, rozsyłając wszędzie nowe błyskawice bólu. Leżałem tam chwilę, niezdolny, by się ruszyć.

Oczy mnie piekły. Nos był zatkany zapachem dymu i miedzi. Coś wbijało mi się w plecy, w miejscu, gdzie mistrz mnie szturchnął. Wykręciłem ramię, chwytając coś palcami. Był to kawałek kamienia, zatknięty w moim ciele jak grot strzały.

Wyciągnąłem go. Mój jęk był pierwszym dźwiękiem, jaki wydałem.

Było jasno, jeśli można to tak nazwać. Powietrze zasnuły gęste chmury kamiennego pyłu. Mieszanina szarości. Rozejrzałem się po tym, co zostało z laboratorium.

Sufit się zapadł, miażdżąc pod sobą ławy robocze. Wszędzie był

papier, płonący w powietrzu, usłany strzaskanym szkłem, które lśniło jak diamentowy pył. W jednym kącie palił się leniwie stos pergaminu.

Spojrzałem na piec, nasze schronienie przed pięcioma zawiniątkami z Ogniem Archanioła przyklejonymi do sufitu. Lord Ashcombe leżał wewnątrz, jego pierś powoli unosiła się i opadała. Żelazne palenisko było szare od popiołu. Z jednej strony wgięło się do środka, jakby trafione kulą z wielkiej armaty.

Tam wcześniej była moja głowa. Dotknąłem włosów. Fala bólu przeszła mi po czaszce. Skuliłem się na podłodze, łapiąc powietrze, aż nieznośne pulsowanie ustało.

Próbowałem wstać. Nogi mnie nie słuchały. Krople czerwieni rozprysły się na kamieniu pod moją twarzą. Minęła minuta, nim zorientowałem się, że spadły ze mnie. Krwawiły mi uszy.

Krew przypomniała mi, że nie byliśmy sami. Chociaż może teraz byliśmy. Pył się przeredził, ale nikogo nie widziałem. Tam, gdzie stali Oswyn i Słoń, były tylko gruzy.

Było tu coś jeszcze – pomyślałem. Ktoś jeszcze. Powód, dla którego mój mistrz mnie obudził.

Wat.

Wat wczołgał się w kąt przed eksplozją i uchronił się przed zapadającym się sufitem. Nie wyszedł jednak z tego bez szwanku. Leżał bezwładnie na stercie kamieni. Jego lewa dłoń bezwładnie zwisała z ramienia. Lewa strona twarzy była poczerniała i skurczona. Język ognia wciąż chwiał się na zwęglonym materiale jego rękawa. Prawe oko – jedyne, które mu zostało – patrzyło wprost na mnie. Mrugnęło.

Christopherze – powiedziałem sobie. – Wstawaj.

Ale to Wat się ruszył. Podniósł swoje ciało z rumowiska. Zachwiał się, opadł na kolana. Dyszał, splunął na kamień. Cały czas się na mnie gapił.

Christopherze. Wstawaj.

Wat podniósł się na nogi. Zrobił krok. I kolejny. Jego poczerniałe palce chwyciły nóż. Jakim sposobem wciąż miał nóż?

Mój umysł krzyczał. Nie mogłem się ruszyć. Lord Ashcombe drgnął

i zwlókł się z pieca, ale nie był w stanie zatrzymać chłopaka. Chwytałem się spękanej skały, próbując uciec.

Bezskutecznie. Stopa Wata nacisnęła na moje biodro, przewracając mnie na plecy. Usiadł na mnie okrakiem. Jego głowa chwiała się, jakby nie mógł nad nią zapanować.

Widział wystarczająco dużo. Uniósł ostrze.

Wtedy to zobaczyłem. Kątem oka ujrzałem zbliżający się wałek do ciasta. Ja naprawdę śnię – pomyślałem.

Wałek do ciasta, w wiśniowoczerwonym kolorze, był długi jak ramię i szeroki jak drzewo. Stuknął Wata w czaszkę. Jego widzące oko zaszklilo się.

Kolejne uderzenie rozeszło się z głębokim, solidnym łupnięciem! od czubka jego głowy. Wat zwałił się na podłogę.

Gapiałem się na nieprzytomnego chłopaka bez zrozumienia.

Tom nachylił się. Położył dłoń na mojej piersi i z troską się nade mną pochylił.

– Szszsz szszko fposzsz ku? – zapytał.

Jego głos brzmiał, jakby dochodził spod wody. Potrząsnąłem głową, by uciszyć dźwięczenie w jej środku. Zły pomysł. Obróciłem się i zwymiotowałem. Żółć, kwas, zmieszane z popiołem, gorzkie. I jeszcze raz.

Tom mnie trzymał. Tym razem, mimo dźwięczenia w uszach, zrozumiałem, co mówił.

– Czy wszystko w porządku? – spytał.

– Wróciłeś – wychrypiałem.

– Oczywiście. Obietnica, którą kazałeś mi złożyć, była głupia.

– Przepraszam. – Opadłem na niego bezwładnie. – Czy to naprawdę był wałek do ciasta? – zapytałem.

Tom wyglądał na speszonego.

– To jedyna broń, jaką umiem się posługiwać.

Tom powiedział mi później, że wdrapałem się po drabinie. Nie pamiętam, żebym to robił. Pamiętałem za to, że niósł lorda Ashcombe'a przewieszzonego przez ramię i wy dostał nas na ulicę, gdzie o mało nie zostaliśmy rozjechani przez czterokonny powóz.

Stangret ściągnął lejce, zatrzymując pojazd. Szarpnięty lejcami

koń szturchnął mnie nosem w głowę i dmuchnął mi śliną w ucho.

Stangret zwyzywał nas od góry do dołu. Z wnętrza wychylił się spocony arystokrata, by także nam naubliżyć. Nagle zobaczył krew i mężczyznę, którego Tom niósł.

Lord Ashcombe otworzył swoje oko.

– Do Tower! – warknął.

Arystokrata zbladł. Pot płynął po jego czole strumieniami. Wygramolił się z powozu i przewrócił na bruk.

Tom zapakował nas do środka. Stangret pognął tam, gdzie kazał mu lord Ashcombe, dziko popędzając konie przez ulice.

Strażnik w bramie Tower patrzył z zaciekawieniem, jak Tom wyciąga królewskiego strażnika. Kiedy zobaczył, kogo chłopak niósł, aż upuścił włócznię. Kilkunastu ludzi króla wybiegło, by mu pomóc.

Półprzytomny lord Ashcombe wskazał na mnie.

– Weźcie tego – powiedział i zemdłał.

Twarde ramiona chwyciły mnie z każdej strony. Nie stawiałem oporu. I tak nie mogłem nic zrobić.

Ludzie króla wrzucili mnie do pustej sali. Dwóch żołnierzy wsadziło mnie na twarde krzesło i stało obok. Nie byłem pewien, ile to trwało – chyba więcej niż godzinę – zanim przyszedł jakiś oficjel. Odziany w biały len, zmierzył mnie wzrokiem spod peruki.

– Chodź ze mną – powiedział.

Spróbowałem wstać. Strażnicy musieli pomóc mi wejść po schodach. To było daleko, a moje nogi były słabe. Ludzie króla mnie nieśli. Człowiek w lnie poprowadził nas przez pasiaste, drewniane drzwi do jednej z sypialni Tower. Królewscy żołnierze postawili mnie.

Słońce wlewało się przez okno ciepłym blaskiem. Dwa krzesła spoczywały przed pustym kominkiem, wymoszczone pluszowymi, niebieskimi poduchami, które pasowały do jedwabi na łożu z baldachimem. Na pościeli rozłożony były jedwabna szmaragdowozielona koszula i ciemnoniebieskie bawełniane spodnie, poniżej stały miękkie buty z cienkiego zamszu. Solidny dębowy stół podtrzymywał kryształową misę. Była pełna owoców: jabłek, pomarańczy, granatów i winogron.



– Lord Ashcombe polecił, byś dla własnej ochrony pozostał w Tower – rzekł człowiek odziany w len. – Mam nadzieję, że te komnaty będą odpowiednie. – Wskazał na drzwi po lewej. – W pokoju obok jest już przygotowana kąpiel.

Zza drzwi niosła się woń wody różanej. Mieszała mi się z zapachem krwi na mojej skórze.

– Królewski lekarz zajmie się twoimi ranami, gdy tylko skończy zajmować się lordem Ashcombe'em – powiedział człowiek w lnie. – Do tego czasu, czy czegoś jeszcze sobie życzysz?

Z trudem wydobyłem z siebie głos.

– Gdzie jest Tom?

– Kto?

– Mój przyjaciel. Czy tu jest? Czy wszystko z nim w porządku?

Człowiek w lnie wzruszył ramionami.

– Byłeś jedyną osobą, której życzył tu sobie lord Ashcombe.

Dywan pod moimi stopami był ciepły i miękki. Spojrzałem w dół. Gdzieś po drodze zgubiłem buty.

Popatrzyłem na misę z owocami.

– Czy mógłbym się poczęstować?

– Oczywiście – odpowiedział. – Musisz umierać z głodu. Zaraz przyniosę solidny posiłek.

Zgodnie z danym słowem dwadzieścia minut później wrócił z czwórką służących. Ustawili na stole srebrną zastawę. Podali pieczoną gęś, duszoną wołowinę z sosem, pikantną rybę, warzywa w przyprawach i białym sosie oraz ciasto truskawkowe. Powąchałem słodki olej na wciąż parującej gęsi.

Dopiero gdy wyszli, zacząłem płakać.

**Od 3 czerwca do 21 czerwca 1665 roku**  
**Koniec wiosny**

## Rozdział 37

Trzy dni po tym, jak osadzono mnie w Tower, zostałem zabrany na spotkanie z lordem Ashcombe'em.

Leżał w łóżku w pokoju takim jak mój, otoczony uwijającymi się nad nim królewskimi lekarzami. Grube, białe bandaże obwiązywały mu głowę, pokrywając lewą stronę twarzy. Szkarłatna szrama przesączyła się przez nie na policzku. Kolejny bandaż owijał jego prawą rękę, a pąsowe plamy znaczyły miejsce, gdzie Wat uciął mu palce.

Lord Ashcombe przegonił lekarzy, jakby byli muchami. Gestem zaprosił mnie bliżej i wymamrotał coś w swoje bandaże.

– Ja... nie rozumiem – powiedziałem.

Lord Ashcombe wyglądał na zirytowanego, chociaż nie mogłem być tego pewien. Spróbował jeszcze raz, wolniej, sepleniąc przez bawełnę.

– Zastawiłeś... pułapkę. Skłoniłem głowę.

– Przepraszam, milordzie. Nigdy nie miałem zamiaru was skrzywdzić. Chciałem, żeby mistrz Colthurst się przyznał, żebyś zrozumiał, że to on jest mordercą. Nie wiedziałem, że przyprowdzi tylu ludzi.

Machnął ręką na moje przeprosiny.

– Nie... na dole... w laboratorium... Ogień Archanioła.

– Tak, milordzie. Nie mogłem ryzykować, że Oswyn go znajdzie i z nim ucieknie.

– Twoja pułapka. Wiedziłeś... że go dostaniesz... jeśli... zejdziesz na dół.

– Miałem nadzieję.

– Ale... dałeś się torturować... tym płynem... najpierw.

Powiodłem palcami po piersi. Zanim królewscy lekarze opatrzyli mi rany, widziałem swoje roztopione ciało. Własną mapę piekła, na zawsze wypaloną na mojej skórze.

– Tak.

– Dlaczego?

„Przewidzieć kilka kroków do przodu”, mówił Oswyn. Ale ktoś już

mnie tego nauczył wcześniej, człowiek dużo lepszy, niż Oswyn kiedykolwiek mógłby być. Znał sekrety w sekretach. Szyfry w szyfrach.

Pułapki w pułapkach.

– Oswyn doskonale wiedział, że bardzo kochałem mojego mistrza – powiedziałem. – Po tym, jak mistrz Benedict starał się trzymać Ogień Archanioła w bezpiecznym miejscu, wiedział, że oddając go jemu – komukolwiek – zdradziłbym wszystko, co mój mistrz mi ofiarował.

Jeśli powiedziałbym mu o laboratorium, Oswyn mógł zwietrzyć kolejny podstęp. Nie mogłem tego ryzykować. Potrzebowałem, by myślał, że mnie pokonał. Musiał wierzyć, że zwyciężył.

Lord Ashcombe przechylił głowę.

– Użyłeś... jego natury... przeciw niemu. Przytaknąłem.

Lord Ashcombe przyglądał mi się chwilę. Następnie położył głowę na poduszce i zamknął oko.

Zabrano mnie z powrotem do pokoju.

Trzymali mnie w Tower dwa kolejne tygodnie, podczas gdy powoli kurujący się lord Ashcombe dyrygował ze swojego łoża poszukiwaniami wszystkich powiązanych z planem obalenia króla przez Oswyna. Wyśledził jeszcze kilku mężów zamieszanych w tę intrygę, w tym dwóch aptekarzy, trzech ziemian i księcia, jedenastego w kolejce do tronu. Był też zdrajca wśród ludzi króla, którego przesłuchanie doprowadziło do pojmania pozostałych. Człowiek odziany w len powiedział mi, że wszyscy z nich – poza zdrajcą, który zmarł podczas przesłuchania – mieli mieć wymierzoną sprawiedliwość na placu na północ od Tower. Wzięliby mnie na oglądanie egzekucji, gdybym chciał. Nie chciałem. Tego dnia słyszałem tłum aż ze skweru, ryczący o krew i wiwatujący za każdym razem, gdy ją otrzymał. Zamknięcie okna nie pomogło. Położyłem się na łóżku i zakryłem uszy, starając się zastrzymać te dźwięki.

Poza tym nie przeszkadzało mi przebywanie w Tower. Nie dlatego, że nie miałem dokąd pójść. Człowiek w Inie powiedział mi, że obwoływacz ogłosił moją niewinność miastu, ale wątpiłem, czy

zmieniłoby to zdanie ojca Toma na mój temat. Żałowałem, że Toma nie było tu ze mną. Zapytałem, czy mogę go zobaczyć, ale strażnik burknął tylko: „Żadnych gości”. Zostawiałem więc otwarte okno w nadziei, że może Bridget mnie tu znajdzie. Ale jej też nie widziałem.

Żywili mnie i przynosili mi wieści ze świata. Niektóre dobre – po niedawnym wypowiedzeniu wojny Holendrom angielska flota walczyła z ponad setką okrętów pod Lowestoft i zadała im dotkliwą porażkę – ale martwiły mnie coraz częstsze doniesienia o zarazie w zachodnich parafiach Londynu. Jak do tej pory nikt wewnątrz murów miejskich nie zachorował, ale liczba ofiar na obrzeżach miasta wzrosła do czterdziestu osób i podnosiła się z tygodnia na tydzień. Bałem się, że z coraz gorętszym czerwcem sprawy mogą znacznie się pogorszyć.

Mimo to mogłem tylko czekać. Gdy mnie w końcu wypuszczono, ludzie króla odstawili mnie do powozu za okratowaną bramę. Woźnica powiedział, że ma rozkazy zabrać mnie prosto do siedziby Gildii Aptekarzy, gdzie Rada Gildii zaaranżowała przesłuchanie, by zdecydować, co ze mną zrobić.

– Ale jest niedziela – powiedziałem.

Woźnica wzruszył ramionami.

– Robię, co mi kazano.

Niecierpliwie wskazał mi, bym wsiadł. Przygotowałem się na wyboistą drogę.

Przesłuchanie odbywało się w Wielkiej Hali. Ostatnim razem, gdy tam byłem, Oswyn siedział przy wspaniałym stole, przesywając mnie pytaniami, a inni aptekarze, rozsadzeni po obu jego stronach, bacznie mi się przyglądali. Tym razem Wielki Mistrz sir Edward Thorpe siedział pośrodku, zmęczony i znużony. Sekretarz Gildii, Valentine Grey, zamował miejsce po jego prawicy, wyglądając na jeszcze bardziej zdenerwowanego, niż gdy widziałem go ostatnio. Miejsce na lewo od nich było puste.

Sir Edward nie tracił czasu.

– Rozmawialiśmy o twojej sprawie – powiedział. – Członkowie zgadzają się z tym, że byłeś źle potraktowany. W ramach

kompensacji przyznajemy ci dziesięć funtów. Dodatkowo pokryjemy opłatę nie wyższą niż kolejne dziesięć funtów za rozpoczęcie nauk w innej gildii.

Ale...

– Co się stanie z moimi dotychczasowymi naukami? – zapytałem.

Sir Edward odchrząknął.

– Członkowie Gildii uznali, że wobec zastanych okoliczności najlepiej się stanie, jeśli nie będziesz się już uczył na aptekarza.

Przewróciła mi się treść żołądka. Obawiałem się najgorszego. Zdawało się, że to właśnie otrzymałem.

– Proszę... Wielki Mistrzu... bycie aptekarzem to to, czego pragnę. Proszę, pozwólcie mi zostać.

– Twoje zaangażowanie dobrze o tobie świadczy – mówił – ale nie możemy pozwolić, by ostatecznie... wydarzenia... były jeszcze bardziej powiązane z naszą Gildią.

– To nie moja wina. Ja nic nie zrobiłem!

– Jednakowoż wierzymy, że to działanie najlepsze dla wszystkich.

I doprawdy, panie Rowe, nie mamy gdzie cię umieścić. Żaden mistrz nie potrzebuje obecnie nowego ucznia.

Rozejrzałem się po sali. Kilku aptekarzy przyglądało mi się z zaciekawieniem. Większość unikała jednak mojego wzroku.

Skurcz w żołądku wzrósł. Rozumiałem to. Bali się. Każdy, kto by mnie przyjął, zdawałby się pożądać mojej wiedzy o Ogniu Archanioła. Intryga Oswyna – i czystka lorda Ashcombe'a – uczyniły mnie nietykalnym. – A... co się stanie z Blackthorn? – zapytałem.

– Sklep wróci na własność do Gildii – odparł sir Edward.

– A co z testamentem mistrza Benedicta?

– Nie możemy go znaleźć.

– Dlatego, że Oswyn go ukradł – powiedziałem, podnosząc głos.

– Nie ma na to żadnych dowodów – rzekł Valentine. – Kompensacja, którą ci oferujemy, to więcej niż dość, by...

– Nie chcę waszych pieniędzy! – krzyknąłem. – Chcę swoje życie z powrotem!

Twarz Valentine'a Greya nabiegła czerwienią. Już miał coś powiedzieć, gdy ciężkie drzwi za mną się uchylły. Poirytowany,

spojrzał za mnie.

– Czego?

– Wybaczcie, mistrzowie – odezwał się urzędnik w drzwiach, ocierając skroń. – Jest dwóch petentów, którzy chcieliby pomówić z Radą. – Spojrzał za siebie niepewnie. – Jeden z nich to lord Ashcombe.

Sir Edward zerknął na Valentine'a, który wyprostował się na krześle, wciąż czerwony.

– Bardzo proszę.

Do sali wszedł królewski strażnik. Jego bandaż zniknął. Miał prostą, czarną przepaskę na oku. Jego policzek wciąż trzymały szwy, pętle nici znaczyły zaognioną, czerwoną linię od przepaski po kącik ust, wykręcając ją na bok. Okaleczona ręka była okryta rękawicą.

Za nim pojawiła się jeszcze większa niespodzianka. Księgarz Isaac wszedł ostrożnie i stanął przed Radą, a jego rzadkie, siwe włosy falowały przy każdym ruchu. W rękach miał zwój pergaminu. Zamglone bielmem oczy ledwo na mnie spojrzały, gdy zajmował miejsce obok królewskiego strażnika.

Sir Edward pokiwał głową.

– Richardzie. I... Isaacu, tak? Witajcie. Co możemy dla was zrobić?

– Dla mnie? – odpowiedział pytaniem lord Ashcombe. – Nic. – Cięcie na jego policzku zdawało się sprawiać, że głos był jeszcze bardziej szorstki niż wcześniej. – Jestem tu w imieniu Jego Królewskiej Mości Karola Drugiego, z Łaski Bożej Króla Anglii, Szkocji, Francji i Irlandii, Obrońcy Wiary.

Na sali zrobiło się jeszcze ciszej. Dało się słyszeć nawet oddechy.

– Rozumiem – powiedział sir Edward. – Czym możemy służyć Jego Wysokości?

– Król pragnie ogłosić, że Christopher Rowe, uczeń w Gildii Aptekarzy, jest prawdziwym przyjacielem Korony. Co więcej, Jego Wysokość rozumie, że czyny Oswyna Colthursta nie były poparte przez Gildię, i pragnie potwierdzić swoją bliską więź z wami, którzy wiernie wspieraliście go przeciw purytańskim zdrajcom, gdy

powrócił z Francji.

Sir Edward powoli skinął głową.

– Jesteśmy wdzięczni za zaufanie Jego Wysokości.

– Król ma także nadzieję, że nowy mistrz Christophera będzie równie uprzejmy i utalentowany w zarządzaniu majątkiem Christophera jak szanowny Benedict Blackthorn.

Valentine mrugnął.

– Majątkiem?

Isaac uniósł zwój, który przyniósł.

– Jeśli mogę, sir Edwardzie. – Dokuśtykał do stołu i podał pergamin Wielkiemu Mistrzowi. – Przez ostatnie kilka miesięcy Benedict zaczął obawiać się o swoje bezpieczeństwo. Wiem, że zarejestrował nowy testament w Gildii Aptekarzy. Zostawił też jedną kopię u mnie. – Isaac uśmiechnął się. – Na wszelki wypadek.

Sir Edward czytał na głos.

– „Niniejszym zostawiam wszystkie moje doczesne dobra mojemu uczniowi, Christopherowi Rowe’owi z Blackthorn, do zarządzania przez Hugh Cogghalla do dnia, gdy Christopher zostanie pełnoprawnym członkiem Gildii”.

Zamurowało mnie.

Valentine Grey też nie mógł w to uwierzyć.

– Proszę mi to pokazać. – Wyrwał zwój z rąk sir Edwarda i przyjrzał mu się.

– Skąd mamy wiedzieć, że testament jest prawomocny?

– Jest odpowiednio poświadczony. – Isaac wskazał podpisy na dole.

– Przez Hugh Cogghalla i lorda Henry’ego Mortimera. Obaj nie żyją.

– Jego Wysokość osobiście poświadczy testament – odezwał się lord Ashcombe. – Jeśli to konieczne.

Sir Edward poruszył się na krześle.

– Jestem pewien, że możemy przyjąć dokument jako obowiązujący. Jednakowoż pozostaje problem. Jak Valentine zauważył, Hugh nie żyje. Wdowa po nim, która prawnie została by nowym opiekunem, nie jest członkiem Gildii i nie może prowadzić



apteki. A Christopher – tu zrobił pauzę – wciąż jest uczniem.

Serce mi urosło.

– Jego Wysokość wziął to pod uwagę – powiedział lord Ashcombe.  
– Zaproponował działać jako opiekun sklepu, utrzymując jego profity do czasu, aż Christopher będzie pełnoletni. W tym czasie zgadza się też wypłacać hojne stypendium, by pokryć pensję nowego mistrza uczącego Christophera.

– A kto powinien nim zostać? – zapytał sir Edward.

Lord Ashcombe wzruszył ramionami.

– To wasza decyzja. Jego Wysokość nigdy nie ośmieliłby się ingerować w sprawy Gildii.

Nie wiedziałem, że Valentine może stać się jeszcze bardziej czerwony. Sir Edward uśmiechnął się gorzko.

– Nie – powiedział. – Oczywiście, że by się nie ośmielił.

Przechyliłem głowę do tyłu, zamknąłem oczy i pozwoliłem słońcu ogrzać moją twarz.

– Christopherze!

Tom, uśmiechając się szeroko, biegł przez ulicę przed siedzibą Gildii. Przemknął przez tłuszcę świń, które zablokowały przejście, i objął mnie w uścisku.

– Uuuch – powiedziałem. Postawił mnie na ziemi. – Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Isaac po mnie posłał. Co się stało?

Powiedziałem mu. Też nie mógł w to uwierzyć.

– Twój własny sklep?

– No, nie jest jeszcze do końca mój. Wciąż jestem uczniem. Nie będę go miał jeszcze przez lata.

– Więc przydzielą ci nowego mistrza? Kogo?

– Nie wiem. – Martwiło mnie to. Zastanawiałem się, czy ktoś taki jak Valentine – lub, jeszcze gorzej, jak Nathaniel Stubb – nie przyjąłby tej propozycji ze złości.

– No proszę. – Isaac przeszedł przez wielkie drzwi siedziby, wspierając się na ramieniu lorda Ashcombe'a. – Bliźniacze słupy kłopotów.

Królewski strażnik sięgnął za pas i wyciągnął coś srebrnego.

– To chyba twoje – powiedział do mnie. – Tym razem już oficjalnie.

Podał mi moją kostkę zagadkę. Przycisnąłem ją do piersi.

– Dziękuję – powiedziałem. – Dziękuję wam obu. – Spojrzałem na lorda Ashcombe'a. – Jestem bardzo wdzięczny za to, co zrobiliście.

Chrząknął.

– Nie powinieneś być. Nie zjednałem ci tam przyjaciół.

– Ale... Jego Wysokość powiedział...

– Och, nikt nie wystąpi przeciwko tobie, nie publicznie. Niektórzy będą próbowali ci się przypodobać, by zyskać przychylność Jego Wysokości. Inni cię znienawidzą i będą chcieli cię zdyskredytować. Możliwe jest też, że w Gildii nadal pozostał ktoś, kto współpracował z Oswynem. Będziesz musiał bardzo uważać, kogo nazywasz przyjacielem.

Zerknąłem na Toma, który próbował uniknąć pędu rozkwiczanych świń, a następnie na Isaaca, który przytaknął.

– To, niestety, zawsze jest dobra rada. – Zwrócił się do lorda Ashcombe'a: – Pozwolisz, milordzie, bym pomówił z Christopherem na osobności?

Gdy lord Ashcombe skinął głową, Isaac położył rękę na moim ramieniu i poprowadził mnie parę kroków dalej.

– Musieliśmy pogrzebać Benedicta, gdy byłeś w Tower – powiedział cicho.

– Ale myślę, że dobrze by było zorganizować kameralne spotkanie. Tylko dla tych z nas, którzy go kochali.

Przytaknąłem, wdzięczny.

– To byłoby miłe.

– W takim razie przyjdź do mnie jutro i to zorganizujemy. – Isaac się uśmiechnął. – Znam kilka historii, które myślę, że chciałbyś usłyszeć.

Pożegnał się z naszą trójką i ruszył w kierunku domu. Wizja spotkania ku czci mojego mistrza sprawiła, że znów zastanawiałem się, kto będzie nowym mistrzem. Po tym, co powiedział królewski strażnik, miałem jeszcze więcej powodów do obaw.

– Czy naprawdę wierzysz, milordzie, że jacyś ludzie Oswyna wciąż są na wolności? – zapytałem.

– Tacy ludzie zawsze się znajdują – odpowiedział lord Ashcombe. – Nieważne, komu służą. Wiesz, że wciąż nie znaleziono Wata.

Tego nie wiedziałem. Wiadomość przeszła mnie dreszczem.

– Ale... pańscy ludzie poszli go pojmać, gdy był nieprzytomny w laboratorium.

– Poszli. Ale kiedy tam dotarli, Wata już nie było. Spojrzałem na ulicę.

– Myślicie, że wróci? – Nie dopowiedziałem, że po zemstę. Lord Ashcombe wzruszył ramionami.

– Bardziej prawdopodobne, że opuścił miasto. Niełatwo jest się ukryć bez połowy twarzy. – Królewski strażnik powiódł palcami po własnej bliźnie. – Przypomniało mi to, że Wat nie był jedynym powodem, dla którego wróciliśmy do laboratorium. Część papierów przetrwała wybuch. Aptekarze Jego Wysokości właśnie je przeglądają.

Przełknąłem ślinę.

– Tak, milordzie?

– Nie mogą znaleźć przepisu na Ogień Archanioła.

Moja twarz była gorąca.

– Był na ławie – powiedziałem. – Dokładnie tam, gdzie stał Oswyn. On... mógł zostać zniszczony przez eksplozję.

Lord Ashcombe przyjrzał mi się.

– Wydaje mi się, że przypominam sobie Wata mówiącego, że go tam nie było.

– Wat nie był zbyt mądry.

– Nie – zgodził się lord Ashcombe, mrużąc oko. – Myślę, że nie był. Tom przestępował z nogi na nogę.

– Jestem pewien, że dasz mi znać, jeśli cokolwiek się stanie. Skinąłem głową. Nie ufałem swojemu głosowi.

– A co do ciebie, chłopcze – królewski strażnik spojrzał na Toma – potężnie miotasz wałkiem do ciasta.

Tom się zaczerwienił.

– Dz-dziękuję, milordzie – wyjąkał, niepewny, czy powinien być

dumny, czy zawstydzony.

– Podejdz do Tower, jeśli będziesz chciał nauczyć się władać prawdziwą bronią.

Tom wytrzeszczył oczy.

– Czy jako żołnierz? Ja?

– Jeśli przejdiesz szkolenie...

Tom wgapił się w dwóch ludzi króla czekających na lorda Ashcombe'a. Spojrzeli na niego speszeni.

– Ja? – powtórzył Tom, zarumieniony ze szczęścia.

– Byłbyś w tym świetny – powiedziałem. Odwróciłem się do lorda Ashcombe'a. – Powinniście zobaczyć, jak walczy ze sklepowym niedźwiedziem.

Lord Ashcombe pokręcił głową, odchodząc.

– Nawet nie chcę wiedzieć, co to znaczy.

Znak wciąż wisiał nad frontowymi drzwiami. „Blackthorn – głosił – ulga na wszelakie złośliwe humory”. Drewno trzeba było odmalować. Musiałbym też poprawić róg jednorożca, wyblakły od londyńskiej pogody. Poza tym nic bym nie zmienił. Nigdy nic bym nie zmienił.

Sklep potrzebował jednak porządnego wysprzątania i nie musiałem czekać na nowego mistrza, by wiedzieć, do kogo należała ta robota. Tom pomógł mi zabrać się do tego, gdy tylko weszliśmy do środka. Zmiał słomę, która wypadła z wypchanych zwierząt.

– Christopherze? – zaczął.

– Tak?

– To nie była prawda? To, co powiedziałeś lordowi Ashcombe'owi.

– Przestał zamiatać i oparł się o miotłę. – Przepis na Ogień Archanioła nie leżał na ławie.

Pokręciłem głową.

– Nie chciałem zostawiać go na oczach Oswyna.

– W takim razie, co z nim zrobiłeś?

– Schowałem za skrzynię z lodem. Zanim poszedłem do ogrodu, natłuściłem recepturę w skórzanej kieszeni i schowałem z tyłu, za cegłami.

Otworzył szeroko oczy.

– Więc wciąż tam jest?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Lód już się stopił. Jeśli woda przeszła przez tłuszcz, atrament się rozmazał. – Spojrzałem za okno.  
– Naprawdę nie wiem.

Ogień Archaniola. Staralem się o nim nie myśleć. Staralem się nie myśleć o niczym, co stało się tamtego dnia. Wszystko, czego chciałem, to powrócić do dawnego życia. Do dni u boku mistrza Benedicta, słuchania jego głosu. Nocnego czytania przy ogniu. Do tego sklepu. Naszego domu.

Rozejrzałem się dookoła. Sklep wyglądał prawie tak jak w dniu, gdy uciekliśmy od Wata i Stubba tamtej okropnej nocy. Plama czerni była tam, gdzie zaproszyłem ogień, a kilka śladów stóp znaczyło pozostałości po rozsypanych składnikach. Nie chciałem oglądać bałaganu w warsztacie. Może jakieś składniki albo ekwipunek dały się jeszcze uratować? Mógłbym też kupić więcej, by naprawić to, co zostało zniszczone. Wtedy wszystko byłoby jak dawniej.

Nie – pomyślałem. – Nie wszystko.

Spojrzałem za pustą ladę, gdzie wieszałem pas mojego mistrza. Oczy mnie zapiekły.

Wciąż za tobą tęsknię – powiedziałem w sercu. – Ale dotrzymałem twojej tajemnicy. I powstrzymałem twoich morderców. Czy dałem sobie radę? Czy jesteś ze mnie dumny?

Coś stuknęło w okno.

Obróciłem się. Na zewnątrz, na parapecie przechadzał się pulchny, pstrokaty gołąb. Poruszał główką, dziobiąc w szybę.

Pobiegłem do drzwi frontowych i je otworzyłem. Bridget zeskoczyła z parapetu z łopotem skrzydeł i wmaszerowała do środka.

Zagruchała do mnie. Podniosłem ją i przytuliłem do policzka. Czulem miękkość jej piór i bicie malutkiego serca. Odwróciłem się tak, by widzieć nasz dom, i po cichu zawołałem do niego po raz ostatni.

Dziękuję ci, mistrzu.

## Kilka uwag historycznych

W czasach Christophera angielska pisownia nie była ustandaryzowana. Na przykład widywano „Clerkenwell Green” pisane jako „Clarckenwell Greene” czy „Clerkenwelle Grene”, lub jakkolwiek pisarz uważał za stosowne. W tej książce angielskie imiona, tytuły i nazwy są przytoczone zgodnie ze współczesnymi zasadami. Wiele opisanych tu miejsc nadal istnieje, więc jeśli kiedyś znajdziecie się na (już niebrukowanych) ulicach Londynu, to odkrywajcie okolice, po których przechadzał się Christopher.

Kolejna zmiana dotyczy kalendarza. W 1665 roku Anglia wciąż używała starego kalendarza juliańskiego (wprowadzonego w 46 roku p.n.e. przez rzymskiego generała i męża stanu Juliusza Cezara), podczas gdy większość Europy używała nowszego kalendarza gregoriańskiego (wprowadzonego w 1582 roku n.e. przez papieża Grzegorza XIII, kalendarza, którego używamy do dziś). Między kalendarzami były dwie podstawowe różnice. Po pierwsze, w Anglii juliański rok zaczynał się 25 marca, nie 1 stycznia. Po drugie, sposób, w jaki kalendarz juliański dodawał dni przestępne, sprawił, że od swojego wprowadzenia spóźniał się wobec kalendarza gregoriańskiego o dziesięć dni (na przykład przesilenie letnie 21 czerwca wypadało według kalendarza juliańskiego 11 czerwca).

Nie trzeba dodawać, że różnice te mogły wprawiać w nie lada zakłopotanie. Na przykład podróżny mógł odbyć czterodniową podróż morską z Rotterdamu do Londynu, opuszczając Holandię 28 marca 1665 roku (gregoriański) i dobijając do Londynu 22 marca 1664 roku (juliański) – więcej niż rok przed rozpoczęciem podróży! By uniknąć podobnych problemów, wszystkie daty w tej książce podane są według współczesnego gregoriańskiego systemu.

## Podziękowania

Wiele magii dzieje się za kurtyną. Na podziękowania zasługują następujący czarodzieje:

Mój agent, Dan „The Lion” Lazar, oraz Cecilia de la Campa i Torie Doherty-Munro.

Moja redaktor w Aladdin, Liesa „Batgirl” Abrams, oraz Mara Anastas, Mary Marotta, Jon Anderson, Katherine Devendorf, Karin Paprocki, Julie Doebler, Emma Sector, Jodie Hockensmith, Michael Selleck, Gary Urda, Christina Pecorale i cały wspaniały zespół sprzedaży, Lucille Rettino, Carolyn Swerdloff, Michelle Leo i Stephanie Voros.

Mój redaktor w Puffin UK, Ben „Temple Raider” Horslen, oraz Francesca Dow, Wendy Shakespeare, Jacqui McDonough, Hannah Maloco, Carolyn McGlone, oraz wszyscy dostarczyciele przygód z Puffina.

Moi rodacy z Simon & Schuster Canada, podczas i po pracy: Kevin Hanson, Shara Alexa, Michelle Blackwell, Amy Cormier, Amy Jacobson, Lorraine Kelly, Brendan May, David Millar, Nancy Purcell, Felicia Quon, Andrea Seto, Martha Sharpe oraz Rita Silva.

Wszyscy wydawcy na całym świecie, którzy przyjęli *Klucz Blackthorna*. Wszyscy przemili użytkownicy Latin Discussion Forum, zwłaszcza Pacis Puella; oraz Terry Bailey i Alma za pomoc w tłumaczeniu. Wszystkie błędy, które zostały, popełniłem ja.

I w końcu, najbardziej, Ty, Drogi Czytelniku, dla którego ta historia była spisana. Dziękuję ci, że dałeś Christopherowi dom.

Przekład: Aleksandra Stan  
Redakcja: Agnieszka Jędrzejczak-Sprycha  
Korekta: Marcin Grabski, Anna Jagiełło  
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4308-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**